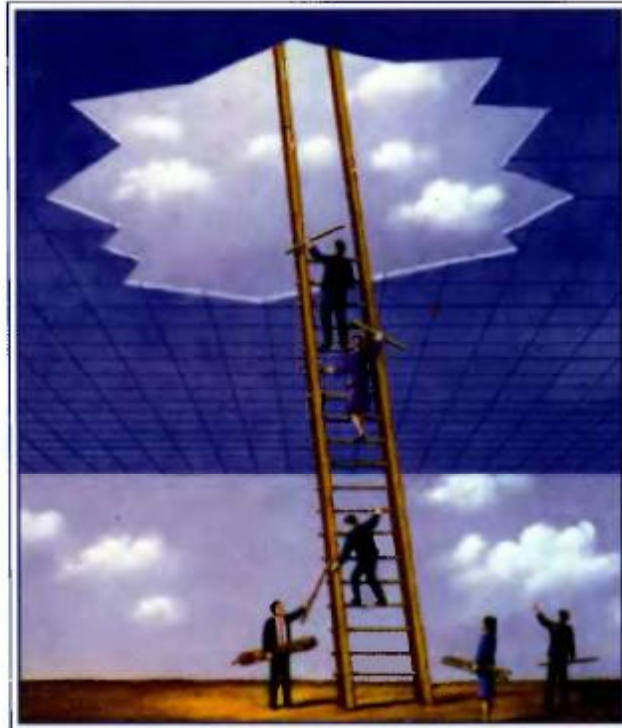


CARLOS FUENTES



Kryształowa
granica

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału:
LA FRONTERA DE CRISTAL
UNA NOVELA EN NUEVE CUENTOS

Copyright © 1995 by Carlos Fuentes
Copyright for Polish Translation © 1999 by Marcin Małkowski

Ilustracja na okładce: Rafał Olbiński

Redaktor prowadzący serię: Andrzej Appel

Redakcja: Wiesława Karaczewska

Redakcja techniczna: Barbara Wójcik

Łamanie: Grażyna Janecka

Korekta: Jadwiga Gayczak

ISBN 83-7255-257-6

Biblioteczka Interesującej Prozy Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

Łódzka Drukarnia Dzielowa SA 90-215 Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45

MEKSYKANKA

Hectorowi Aguilarowi Caminowi

1

Przyjezdny nie znajdzie w Campazas absolutnie nic interesującego". To katagoryczne stwierdzenie przewodnika „Guide Bleu” wywołało cień uśmiechu na ustach Micheliny Laborde, psując na chwilę doskonałą symetrię pięknego oblicza - jej „meksykańskiej maseczki”, jak to ujął pewien francuski wielbiciel - tych doskonałych kości, właściwych meksykańskim pięknościom, dla których czas, jak się zdaje, nie istnieje. Doskonałych nawet po śmierci, dodał elegant, i to się już Michelinie nie spodobało.

Była młodą kobietą o wyrafinowanych gustach, tak ją wychowano, wysublimowano, taką ją odziedziczono. Pochodziła ze „starego rodu”, ale przed stu laty jej wychowanie nie różniłoby się zbyt od obecnego. „Zmienił się świat, my - nie” - mawiała jej babka, ciągle będąca podporą domowego ogniska. Tylko że dawniej więcej władzy stało za dobrymi manierami. Były przecież hacjendy, przywileje sądowe i błogosławieństwa Kościoła. Istniały też krynoliny. Łatwiej było ukryć defekty fizyczne, obnażane przez współczesną modę. Niebieskie dzinsy podkreślają obfite pośladki i chude nogi. „Nasze kobiety mają budowę drozda - miała jeszcze w uszach głos swojego dziadka (niech spoczywa w spokoju) - są chude w łydkach, szerokie w biodrach”.

Oczyma wyobraźni widziała się w krynolinie i czuła się w niej swobodniej niż w dzinsach. Jak pięknie jest pomarzyć, że nikt na Ciebie nie patrzy, że można założyć nogę na nogę, zdobyć się nawet na odwagę, żeby nic nie mieć pod krynoliną, czuć chłodny i nieskrępowany podmuch powietrza w owe wspomniane już pośladki, w najgłębsze szczeliny wstydu, wiedząc, że mężczyźni muszą ją sobie wyobrazić! Nienawidziła mody topless na plażach; była zacieklą przeciwniczką bikini i tylko w ostateczności, z wielką niechęcią, zdecydowała się na włożenie minispódniczki.

Zarumieniała się, myśląc o tym wszystkim, kiedy stewardesa zbliżyła się, by szeptem powiadomić ją o zbliżającym się lądowaniu na lotnisku w Campazas.

Spodziewała się dojrzeć miasto pośród pustyni, łyse wzgórze i niespokojny pył. Nie dostrzegła nic. Jej spojrzeniem zawładnęło przywidzenie: rzeka w oddali, a za nią złote kopuły, wieże ze szkła, skrzyżowania dróg niczym gigantycznych szamerunków z kamienia... No tak, ale to było po drugiej stronie kryształowej granicy. Tam w dole, przewodnik miał rację, nie było nic.

Czekał na nią don Leonardo, jej ojciec chrzestny. To on ją zaprosił, poznawszy ją w stolicy zaledwie sześć miesięcy temu.

- Wybierz się do mnie, oprowadzę cię po moich ziemiach. Spodoba ci się, kochana chrześnico. Przyślę po ciebie swój prywatny samolot.

Jej samej, co tu dużo kryć, podobał się chrzestny. Był mężczyzną pięćdziesięcioletnim, o dwadzieścia pięć lat starszym od niej, mocno zbudowanym, z baczkami, wysokim czołem, ale posiadał idealny, klasyczny profil, niczym rzymski cesarz, oraz uśmiech i wzrok nieuznający sprzeciwu. A przede wszystkim miał rozmarzone oczy, które mówiły jej: tak długo na ciebie czekałem.

Michelina wzgardziłaby samą doskonałą urodą; mężczyźni tylko przystojni zawsze ją rozczarowywali. Czuli się urodziwsi niż ona sama. Ich zewnętrzne piękno przydawało im nieznośnych manier tyrana. Ojciec chrzestny don Leonardo, owszem, miał też doskonały profil, ale równoważyły go policzki, łysina i sam wiek... Uśmiech natomiast mówił: nie bierz mnie tak na serio, całkiem jeszcze ze mnie niezły swawolnik i żartowniś, ale znowu wzrok krył nieokreśloną namiętność, chyba na serio się zakocham, wyznawał jej, mogę żądać wszystkiego, bo mogę także dać wszystko, o czym myślisz.

- O czym myślisz, Michelino?

- Ach, ojciec chrzestny, o tym, że poznaliśmy się, kiedy przyszedłem na świat. Czemu ojciec chrzestny mówi, że zaledwie przed sześciu...

Przerwał jej:

- To już po raz trzeci cię poznaję, chrześnico. Za każdym razem jest to jakby pierwszy raz. Ile razy jeszcze?

- Oby jak najwięcej - odparła, nie sądząc, że się zarumieni, choć i tak nikt by tego nie zauważył, bo właśnie spędziła dziesięć dni w Zihuatanejo i nikt nie odróżniłby, czy to rumieniec, czy opalenizna. Ale ona była kobietą organizującą całkowicie przestrzeń, w której się znajdowała. Pasowała do miejsc, które odwiedzała, upiększała je. Chór zachwyconych gwizdów witał ją w miejscach pu-

blicznych, na lotnisku w Campazas również. Ale kiedy podrywacze zauważyli, z kim idzie, zapadło pełne szacunku milczenie.

Don Leonardo Barroso był tutaj, na północy, człowiekiem bardzo wpływowym, ale w stolicy również. Ojciec Micheliny Laborde poprosił, by trzymał ją do chrztu ówczesny minister, z powodów oczywistych: protekcja, ambicja, mała działka władzy.

Władza!

Śmiechu warte. Ojciec chrzestny osobiście tłumaczył im to, kiedy był w stolicy sześć miesięcy temu. Zdrowie Meksyku zasada się na wymianie swych elit co sześć miesięcy. Po dobroci lub nie. Kiedy rodzima arystokracja staje się wieczna, wyrzucamy ją kopniakiem. Rozsądek społeczny i polityczny kraju polega raczej na umiejętności wycofania się na czas i pozostawienia otwartych drzwi dla stałej odnowy. W polityce zasada braku reelekcji to nasz wentyl bezpieczeństwa. Tu nie może być dyktatury takiego Somozy czy Trujillo. Nie ma osób niezastąpionych. Sześć latek i do domu. Dużo nakradł? Tym lepiej. Taka jest cena, którą musi zapłacić społeczeństwo w zamian za jego odejście i późniejsze milczenie. Wyobraźcie sobie, że Stalin rządziłby tylko sześć lat, po czym pokojowo przekazał władzę Trockiemu, ten Kamieniewowi, ten znów Buchari-nowi, i tak dalej. Dzisiaj Związek Radziecki byłby naprawdę pierwszym mocarstwem świata. W Meksyku nawet król Hiszpanii nie przyznawał kreolom tytułów szlacheckich na stałe, a republika nie uznała arystokracji...

- Ale zawsze były różnice - przerwała mu babka Laborde siedząca na wprost swoich pudeł z pamiątkami. - To znaczy zawsze byli przyzwoici ludzie. Śmiać mi się chce z tych, co chełpią się swoim szlacheństwem z czasów Porfirio Diaza tylko dlatego, że utrzymali się trzydzieści lat przy władzy. Trzydzieści lat to przecież nic! Kiedy nasza rodzina ujrzała, jak zwolennicy Porfirio Diaza weszli do stolicy po rozpoczęciu rewolucji w Tuxtepec, byliśmy przerażeni. Kim są ci rozczochrani przybysze z Oaxaca, straganiarze z Hiszpanii i wytwórcy drewniaków z Francji? Porfirio Diaz! Corcuera! Limantour! Sami dorobkiewicz! Wtedy przyzwoici ludzie, tak jak my, byli zwolennikami Lerdo de Tejada...

Babka Micheliny ma osiemdziesiąt cztery lata i nadal jest tak samo surowa. Bystra, bezkompromisowa, wywodząca swoje prawa z najbardziej ekscentrycznej z władz. Rodzina straciła wpływy po rewolucji i doña Caryca Ycaza de Laborde oddała się pasjonującemu zajęciu kolekcjonowania sprzętów, bibelotów, a nade wszystko czasopism. Ile tylko modnych laleczek (czy może lalusiów) się

pojawiało, czy to był Mamerto, czy Chupamirto, czy Kapitan Tiburón, czy Popeye Marynarz, próbowała uchronić je wszystkie od zapomnienia, zapelniając nimi szafę, reperując je, zszywając, wpychając na powrót watę, kiedy wychodziły z nich wnętrzności.

Pocztówki, plakaty filmowe, opakowania po papierosach, pudełka od zapalek, kapsle od butelek po napojach, komiksy, wszystko to gromadziła Caryca z gorliwością doprowadzającą do rozpaczyny jej dzieci, a nawet wnuki. Było tak aż do chwili, kiedy pewien północnoamerykański dom aukcyjny odkupił od niej roczniki czasopism „Hoy”, „Mañana” oraz „Siempre” za pięćdziesiąt tysięcy dolarów (okrągłą sumkę) i wtedy wszyscy otworzyli szerzej oczy. W swoich szufladach, w swoich szafach staruszka trzymała kopalnię złota, srebro wspomnień, skarby pamięci... Była „carycą nostalgii”, jak to określił jej najbardziej wykształcony wnuk.

Spojrzenie Carycy zachodziło mgłą, gdy patrzyła przez okno na ulicę Rio Sena. Gdybyż tylko miasto zachowało niezmienny wygląd, tak jak jej laleczka Myszki Mimf... Ale o tym nie ma nawet co myśleć. Ona została tutaj i była świadkiem paradoksalnej śmierci miasta, które im bardziej się rozrastało, tym robiło się mniejsze, tak jakby stolica, Meksyk, była nią samą, biedną istotą, która urodziła się, dorosła i - fatalnym zrzędzeniem losu - umarła... Babka z powrotem wsadziła nos w zszywkę zebranych pieczołowicie komiksów z przygodami Chamaco Chico i nie spodziewała się, że ktoś usłyszy lub zrozumie jej lapidarne zdanie:

Plus ca change, plus c'est la rreme chose.

Rodzina poświęciła się służbie dyplomatycznej, aby bez ujmy na honorze zarobić na życie, zachować swoje zwyczaje, kulturę, a nawet iluzoryczne herby szlacheckie. W Paryżu ojciec Micheliny został wyznaczony do towarzyszenia młodemu wówczas deputowanemu Leonardowi Barroso i z każdym kieliszkiem burgunda, z każdą kolacją w „Grand Vefour”, z każdą wycieczką do zamków nad Loarą wdzięczność don Leonarda wobec tego attache ze starego rodu rosła, rozciągając się także na jego żonę, a zaraz potem nowo narodzoną córkę. To nie oni go poprosili, on sam się zaofiarował:

Pozwólcie mi być ojcem chrzestnym małej.

Michelina Laborde e Ycaza, mieszkanka stolicy. Znać ją z kolorowych stron czasopism dla kobiet. Klasyczna kreolska twarz, biała karnacja, choć ze

śródziemnomorskim odcieniem, oliwka i rafinowany cukier, doskonała symetria podłużnych czarnych oczu, chronionych przez chmurność powiek i cień burzy pod rzęsami; linia prostego nosa, nieruchomego, choć o drgających skrzydełkach, niespokojnych i niepokojących, tak jakby jakiś wampir próbował wyrwać się z zamkniętej w tym świetlistym ciele nocy. Także kości policzkowe, pozornie delikatne, niczym skorupka przepiórczego jajka pod roześmianą skórą, próbowały przesunąć się bliżej, niż pozwalała na to skóra, ku wnętrzu doskonale foremnej czaszki. I wreszcie długie czarne włosy Micheliny, rozwiane, błyszczące, pachnące bardziej mydłem niż lakierem, były zgubnym, przyprawiającym o dreszcz zwiastunem całej reszty ukrytych aksamitności. Wszystko to dzielił dołeczek w brodzie, głęboki przecinek, cezura, bruzdka w skórze...

O tym wszystkim myślał don Leonardo, kiedy ujrzał Michelinę już dorosłą i zaraz też powiedział sobie: muszę ją mieć dla swojego syna.

2

Znająca świat, ładna, wyrafinowana Meksykanka ze stolicy bez zdziwienia spojrzała na zarys miasta Campazas. Na jego rynek w tumanach kurzu i na skromny, choć dumnie wyglądający kościółek o rozpadających się ścianach i bramie wyniosłej, rzeźbionej, ogłaszającej: aż tu dotarł barok, aż na ten skraj pustyni. Aż tu, dalej już nie. Żebracy i bezdomne psy. Stragany na rynku zaopatrzone w towar jakimś magicznym sposobem i piękne oraz płynące z głośników pospolite melodie i szemrzące bolera. Królestwo napojów gazowanych. Czy istnieje kraj, w którym spożywa się więcej oranżady? Dym papierosów z ciemnego tytoniu, lekko pogrubionych pośrodku i mocno odurzających. Zapach prażonych orzeszków.

- Nie zdziw się wyglądem twojej matki chrzestnej - mówił do Micheliny don Leonardo, jakby chciał odwrócić jej uwagę od szpetoty miasteczka. - Zdecydowała się zrobić sobie lifting, no wiesz. Pojechała do Brazylii, do tego sławnego Pitanguay. Wróciła tak odmłodzona, że wprost nie do poznania.

- Niezbyt dobrze ją pamiętam. - Michelina uśmiechnęła się.

- Właściwie to chciałem ją odesłać z powrotem. „To nie moja żona - mówiłem - nie w takiej się zakochałem...”

- Trudno mi porównywać - odparła Michelina tonem, w którym zabrzmiała niezamierzona zazdrość.

Don Leonardo zaśmiał się, a ona znów zaczęła myśleć o niegdysiejszej modzie, o krynolinach skrywających ciało i woalkach zasłaniających twarz, czyniących kobietę tajemniczą, nawet pożądaną. Dawniej światła były niskie. Świeca i welon... Było za dużo zakonnic w historii jej rodziny i niewiele istniało rzeczy, które pobudzały wyobraźnię Micheliny tak bardzo, jak świadomość powołania, klasztor, dobrowolna klauzura, a kiedy ona sama już była w środku, bezpieczna - możliwość uwolnienia nadnaturalnych mocy fantazji: kogo kochać, kogo pożądać, do kogo się modlić, z czego się spowiadać... Mając dwanaście lat, Michelina chciała zamknąć się w jakimś starym kolonialnym klasztorze, modlić się, biczować, polewać lodowatą wodą i jeszcze żarliwiej się modlić: „Chcę na zawsze pozostać dziewczynką. Najświętsza Panienko, uchroni mnie, nie rób ze mnie kobiety...”

Szofer zatrąbił przed ogromną okratowaną bramą z kutego żelaza, podobną do tych, jakie widziała w filmach o Hollywood - takie prowadziły do studiów filmowych. A tak, powiedział jej ojciec chrzestny, tutaj nasza dzielnica nazywana jest Disneylandem, ludzie stąd, z północy, lubią żartować, ale musimy gdzieś mieszkać, chrześnico, a teraz potrzebna jest ochrona, nie ma rady, trzeba się bronić, bronić swego.

- Ileż bym dał, aby drzwi mogły stać otworem, tak jak dawniej, tu, na północy. Ale teraz nawet jankesi potrzebują uzbrojonej ochrony i psów policyjnych. Być bogatym to grzech.

Przed chwilą wzrok Micheliny oderwał się od wizji kolonialnych meksykańskich klasztorów i francuskich zamków - miała teraz przed sobą rzeczywisty widok ogrodzonych murem budowli, na wpół fortec, na wpół mauzoleów, greckich kapiteli, kolumn, posągów bóstw pośród liści winorośli, meczetów arabskich z fontannami i gipsowymi minaretami; wiernych kopii Tary, rezydencji z „Przeminęło z wiatrem”, z jej neoklasycznym portykiem. Ani jednej dachówki, ani jednej wypalanej na słońcu cegły, sam marmur, cement, kamień, gips, żelazne kraty, i jeszcze więcej krat, zakratowany labirynt i prawie niesłyszalny trzask otwieranych drzwi samochodów i zastały zapach benzyny, wydalany przez stada mercedesów, porsche'ów, BMW, odpoczywających jak mastodonty w jaskiniach garaży.

Dom rodziny Barroso był w stylu tudorowsko-normandzkim, o dwustronnym spadzistym dachu w łupkowo-niebieskawym odcieniu, oczywiście z nieociosanego kamienia; okna, gdzie tylko spojrzeć, wypełniono barwnymi szkiełkami w oprawie z ołowiu. Brakowało tylko rzeki Avon przepływającej przez ogród i głowy Anny Boleyn zatkniętej na jakiejś żerdzi.

Mercedes zatrzymał się, kierowca w niebieskim garniturze, o twarzy spofalonego skunksa, wysiadł żwawo i pędząc, aby otworzyć drzwi samochodu szefowi i jego chrześnicy, zdążył jeszcze zapiąć po drodze marynarkę. Michelina i ojciec chrzestny wysiedli, don Leonardo podał jej rękę i poprowadził ją ku wejściu do rezydencji, drzwi się otworzyły, doña Lucila Barroso uśmiechnęła się do Micheliny - chrzestny przesadzał, żona wyglądała starzej niż on - uścisnęła dziewczynę, z tyłu stał Marianito Spadkobierca, który nigdy nie podróżował, mało wychodził z domu, Michelina go nie знаła, a najwyższy czas, żeby poznała, chłopak bardzo powściągliwy, bardzo poważny i oficjalny, czytający dniami i nocami, skłonny do zaszywania się na ranczu, już czas, by się trochę ożywił, właśnie skończył dwadzieścia jeden lat; tej samej nocy meksykanka i prowincjusz, córka chrzestna i syn, mieli wybrać się razem na tańce po drugiej stronie granicy, w Stanach Zjednoczonych, pół godziny drogi stąd, potańczyć, poznać się, dopasować, no, czemu by nie? To naturalne...

3

Marianito wrócił sam, zapłakany. Doña Lucila usłyszała, jak potknął się na schodach, i zaraz pomyślała o niemożliwym: złodziej, Leonardo, złodziej dostał się do domu! To niemożliwe, ochrona, kraty. Ojciec chrzestny wybiegł w szlafroku i znalazł swego syna klęczącego na półpiętrze i wymiotującego. Pomógł mu wstać, pogłaskał go po głowie, żal ścisnął ojcu gardło, syn zbrukał rzygowinami jego piękny, wzorzysty londyński szlafrok liberty. Don Leonardo pomógł synowi dotrzeć do ciemnej, nieoświetlonej sypialni, jakiej się zawsze domagał ten chłopiec, podczas gdy ojciec żartował: Chyba jesteś kotem. Widzisz

w ciemności. Stracisz wzrok. Jak ty to robisz, że czytasz po ciemku?

- Co się stało, synku?

- Nic, tato, nic.

- Co ci zrobiła? Powiedz mi tylko, co ci zrobiła, synku.

- Nic, tato. Naprawdę. Nic mi nie zrobiła.

- Nie była miła dla ciebie?

- Bardzo miła, tato. Za bardzo. Nic mi nie zrobiła. To ja...

To on. Zawstydził się. W samochodzie Michelina próbowała prowadzić miłą konwersację o książkach i podróżach. Przynajmniej tam było cicho, szofer zachowywał się dyskretnie. W dyskoteci - koszmar. Hałas nie do wytrzymania. Okrutne światła, straszne jak białe brzytwy, prześladowały właśnie jego, tak jakby go szukały, tylko jego, a ją nawet ciemności szanowały, pragnęły jej, otulały ją z miłością, ona zaś poruszała się i tańczyła w mroku, cudowna, tato, to cudowna dziewczyna...

- Zaledwie dość dobra dla ciebie, synu.

- Gdybyś widział, jak ją wszyscy podziwiali, jak mi jej zazdrościli, tato.

- To miło. Prawda, Mariano? Człowiek czuje, że żyje, kiedy mu zazdroszą jego starej. Ale co się stało? Co się stało? Żle cię potraktowała?

- Nie, ona jest bardzo dobrze wychowana, zbyt dobrze wychowana, powiedziałbym, wszystko robi jak należy, poza tym widać, że jest ze stolicy, że podróżowała tu i tam, ma w sobie to, co najlepsze. Dlaczego jej nie prześladowały światła dyskoteki, tylko mnie?...

- Ale poleciała... czyż nie tak?

- Nie, to ja wyszedłem, wziąłem taksówkę, a jej zostawiłem szofera i mercedesa...

- Ale ja pytam, czy poleciała na ciebie...

- Nie, kupiłem butelkę Jacka Danielsa, wypilem ją, od razu poczułem, że umieram, wziąłem taksówkę, mówię ci, przejechałem z powrotem granicę, sam nie wiem, co mówię...

- Poniżyła cię, czyż nie tak?

Powiedział swemu ojcu, że nie, a może zresztą tak, poprawność Micheliny, jej poprawność go poniżała, jej współczucie mu ubliżało, Michelina wyglądała jak zakonnica w habicie od Ives St. Laurenta, zamiast włosiennicy nosiła jedną z tych torebek Coco Chanel, ze złotym łańcuchem, tańczyła w ciemnościach, tańczyła z ciemnościami, a nie z nim, jego oddawała brzytwom migotliwego światła, śnieżnobiałego, zmrożonego, żeby wszyscy mogli go lepiej widzieć i śmiać się z niego, czuć odrazę, żądać, by go wyrzucono, psuje każdą zabawę, dlaczego pozwolono mu tu wejść, musi być potworem, a przecież chciał jedynie pobyc z nią w mroku, skryć się pod osłoną własnej osobowości, która zawsze go chroniła, zaręczam ci, tato, że nie chciałem jej dotknąć, tylko poprosiłem ją o to, co ona sama mi dawała, o trochę litości w jej ramionach, w jej pocałunku, cóż jej szkodziło raz mnie pocałować? Przecież ty mnie całujesz, tato, ty się nie brzydzisz.

Don Leonardo pogłaskał syna po głowie, z zazdrością spojrział na jego bujną, jasnobrązową czuprynę, przypominającą lwia grzywę, on sam tak szybko wyłysiał. Pocałował go w czoło i pomógł mu się ułożyć w łóżku, ukołysał go jak wtedy, gdy Marianito był dzieckiem, a nie pobłogosławił syna tylko dlatego, że w to nie wierzył, ale niemal chciał mu zanucić jakąś piosenkę. Było mu jednak głupio śpiewać kołysankę. Prawdę mówiąc, pamiętał tylko bolera, a te wszystkie mówiły o poniżonych mężczyznach i fałszywych kobietach.

- Przeleciałeś ją, synu. Prawda, że ją przeleciałeś?

4

Przyjęcie powitalne z okazji przyjazdu Micheliny okazało się wielkim sukcesem, przede wszystkim dlatego, że doña Lucila zażądała, aby domownicy płci męskiej - don Leonardo i Marianito - dosłownie rozplynęli się na ten czas.

- Pojedźcie na ranczo i nie wracajcie za wcześnie. Chcemy, żeby to była czysto babska feta, żebyśmy mogły czuć się swobodnie i plotkować sobie bez przeszkód.

Leonardo uzbroił się w cierpliwość. Wiedział, że Michelina nie wytrzyma długo głupot opowiadanych za każdym razem, gdy się spotyka ta kupa starych

bab. Marianito nie czuł się jeszcze na siłach, by wyjechać, ale Leonardo zataił to przed Lucilą; chłopak zresztą nigdy nie zwracał na siebie uwagi, był taki cichy, przemykał się jak cień... Don Leonardo wybrał się z kilkoma jankesami do restauracji po drugiej strony granicy. Jeść kolację o szóstej wieczorem, co za pomysł! Wrócił, kiedy zabawa osiągała apogeum, położył tylko palec na ustach, gdy zobaczył indiańskiego chłopca na posługi, aby ten nic nikomu nie powiedział. Tak czy siak, ten Indianiec pochodził z plemienia Pacuache z Coahuila i nie mówił ani słowa po hiszpańsku, właśnie dlatego doña Lucila zawsze go zatrudniała, damy mogły sobie wtedy rozmawiać, o czym tylko chciały, bez świadków. Poza tym ten indiański młodzieniec był szczupły i piękny jak pustynny bóg; skóry nie miał, co prawda, w odcieniu białego marmuru, lecz raczej mahoni, i kiedy damy były już po kilku głębszych, rozbierały go i rozkazywały mu przechadzać się nago z tacą na głowie. Były bardzo zżyte, jak siostry, zachowywały się bez zbędnej pruderii. A co sobie wyobrażają takie mieszkanki stolicy, że tylko dlatego, że one są z północy, mają być zaraz jak te ciemne Indianki? Zawsze można wyskoczyć tu czy tam: przecież granica jest dwa kroki stąd, w pół godziny człowiek jest u Cartiera, Saksa, Neimana-Marcusa. Nie mają co się tak wywyższać te meksykanki z Dystryktu Federalnego, skazane na ubieranie się w Perisur. Ale proszę o dyskrecję, doña Lucila podniosła palec wskazujący do warg, właśnie idzie chrześnica Leonarda, mówią, że jest bardzo wyniosła, że objechała pół świata i w ogóle jest bardzo chic, jak to się mówi, a więc, moje drogie, proszę zachowujcie się naturalnie, ale jej nie obrażcie.

Michelina była jedyną kobietą w tym gronie, która nie przeszła jeszcze operacji plastycznej, więc siedziała uprzejmie uśmiechnięta pośród dwudziestki bogatych i wyperfumowanych kobiet. Ubrane po drugiej stronie granicy, obwieszane biżuterią, prawie wszystkie z włosami ufarbowanymi na kolor mahoni, jedne w fantazyjnych okularach, inne w wodnistych szklach kontaktowych, absolutnie wyzwolone, były zdania, że jeśli tylko meksykanka zechce im wtórować, to okay, ale gdyby okazała się sztywna, nawet nie warto na nią zwracać uwagi... Taka to była ta babska bibka, i piło się tu przesłodzone likiery, bo szybciej i przyjemniej uderzały do głowy, tak jakby życie było niekończącym się deserem. (Deser? Duser? Danser? Co za bzdury plotę, Lucilita, a jestem dopiero po pierwszej zakonnicy...) Wrzucały do słodkiej anyżówki kostki lodu i w efekcie otrzymywały tak zwaną zakonnice, mętnego drinka, szybko uderzającego do głowy, to tak jakby napić się nieba, dziewczęta, jakby upić się chmurami; zaczęły śpiewać: „Ty i te chmury w szaleństwie pogrążacie mnie, ty i te chmury w końcu zabijecie mnie...”

Roześmiały się wszystkie, wypłyły jeszcze po zakonnicy i któraś rzuciła do Micheliny, żeby się uśmiechnęła, bo sama wygląda jak zakonnica, kiedy tak siedzi w środku salonu na pufie obitym liliowym brokatem, doskonale sztywna i symetryczna. Ta twoja chrześnica to nie ma w sobie nic krzywego, co, Lucilita? Słuchaj, to jest chrześnica mego męża, w każdym razie nie moja. Jaka doskonała uroda, oczy piękne, prosty nosek, podbródek przedzielony dołkiem na pół, wargi... Roześmiały się, lekko zawstydzone, spojrzały na Lucilę, rumieniąc się, ale Lucila jakby nigdy nic, zamknęła się w skorupie, te uwagi spływały po niej jak woda, wraz z innymi świętowała całkowitą nieobecność mężczyzn - no, może z wyjątkiem tego jednego Indianina, który się nie liczy - chrześnica mojego męża jest bardzo wyrafinowana, ale także uprzejma, nie wpędzajcie jej w kompleksy, pozwólcie jej być taką, jaka naprawdę jest, a i my bądźmy takie, jakie jesteśmy, bo w końcu z zakonu wszystkie się wywodzimy, nie zapominajcie, wszystkie przeszliśmy przez szkoły zakonne, wszystkie kiedyś się wyzwoliłyśmy, a więc nie wpędzajcie Micheliny w kompleksy, powtarzam, przecież z powrotem wstąpiłyśmy do zakonu, Lucilita, powiedziała jedna z dam w okularach z oprawką wysadzaną diamentami, jesteśmy sa- miuteńkie, bez mężczyzn, a tylko o nich myślimy!...

To sprowokowało niekończący się ping-pong słowny na temat mężczyzn, ich wad, ich sknerstwa, ich obojętności, ich umiejętności wykręcania się od obowiązków pod pretekstem nadmiaru pracy, ich braku wytrzymałości na ból fizyczny - chciałabym choć raz zobaczyć, jak rodzi jeden z tych tchórzy - ich słabej sprawności seksualnej - właściwie to jak nie rozglądać się za kochankami? Dalej, dalej, Rosalba, co wiesz? No, nie udawajcie niewiniątek, wiem tylko to, co mi mówicie, ja, tak jak mnie tu widzicie, jestem święta, moja ty święta, i znów trochę pośpiewały i znów pośmiały się z mężczyzn „Ambrosio chyba zwariował, zmusił służącą, żeby używała perfum i ogoliła się pod pachami, co wy na to? Biedna lafirynda, od razu jej się przewróciło w głowie”; „Jest taki hojny, bo mamy wspólne konto w Nowym Jorku, ale już ja wiem o jego tajnym koncie w Szwajcarii, znam numer i całą resztę, uwiodłam notariusza, zobaczymy, czy mi sprostą ten mo- czymorda Nicolas”; „Wszyscy oni myślą, że do końca życia będą mieli pieniądze, trzeba znać ich numery kont, załatwić sobie dostęp do kart kredytowych, na wypadek gdyby nas mieli kiedyś porzucić”; „Ja mojemu pierwszemu mężowi wyjęłam za jednym razem sto tysięcy dolarów ze złotej karty, nim się zorientował” „Razem oglądamy filmy porno, bo jak nie, to nie będzie tego, co to wiesz...”, „A pan prezydent do mnie zadzwonił, a pan prezydent mi powiedział, a powierzył mi sekret, a wyróżnił mnie uściskiem, «no to się z nim ożeń»,

powiedziała mu"... Nie odważyły się jednak rozebrać Indianina w obecności Micheliny, która śmiała się razem z nimi, bawiąc się swoim naszyjnikiem z pereł i z wdziękiem przysłuchując się żartom reszty kobiet, doskonała w przyjętej pozycji, ani zbyt daleka, ani zbratana z nimi, bojąc się jedynie, że wszystko może się skończyć jednym wielkim grupowym, spoconym uściskiem, wyładowaniem z siebie wszystkiego, co je boli, płaczem, ogólnym rozżaleniem, przesywającym na wskroś, choć powstrzymywanym pożądaniem, straszliwym potwierdzeniem opinii, że w Campazas nie znajdzie nic interesującego absolutnie nikt, ani przyjezdny z Meksyku, ani miejscowy z północy... Ach, jakąż mam ochotę wsiąść do samolotu i odlecieć do Vail choćby zaraz, ale po co, po to, by znów spotkać niezadowolone meksykańki, przerażone, że wszystkie bogactwa świata są gównem, bo zawsze przecież istnieje coś bardziej i bardziej i bardziej nieosiągalnego, być królową Anglii, sułtanem Brunei, wyglądać jak Kim Basinger albo mieć obok siebie Toma Cruise'a? Kobiety wybuchnęły teraz śmiechem i zaczęły naśladować ruchy narciarza, ale nie były na szczytach Kolorado, tylko na pustyni północnego Meksyku, która gwałtownie rozbłysła na firmamencie w blasku zachodzącego słońca, przesywającego witrażowe szyby posiadłości w stylu tudorowsko-normandzkim, oświetlając oblicza dwudziestu kobiet, barwiąc je na szatańsko czerwony kolor, oślepiając ich szkła kontaktowe i zmuszając wszystkie do wpatrywania się w ten codzienny spektakl rozżarzonej kuli ginącej w ogniu, zabierającej ze sobą w zaświaty swoje skarby, po raz ostatni pokazującej je pośród łysych gór i kamienistych równin, zostawiającej tylko kaktusy niby korony nocy, zabierającej ze sobą: życie, urodę, ambicje, zazdrość, bogactwa. Czy słońce znowu wstanie?

Spojrzenia kobiet utkwily za oknem. Oprócz dwóch par oczu.

Leonardo Barroso wszystko to obserwował zza szkarłatnej zasłony.

Michelina Laborde e Ycaza patrzyła na niego, aż wreszcie i on na nią spojrział.

Oba spojrzenia spotkały się dokładnie w momencie, kiedy nikogo nie interesowało, na co spogląda gość ze stolicy ani czy Leonardo już wrócił. Dwadzieścia kobiet patrzyło w milczeniu na zachód słońca, płacząc, jakby to był ich własny pogrzeb.

Wtedy odezwał się bęben północnomeksykańskiej orkiestry, zagasty pejzaż zaroił się od mężczyzn w kowbojskich kapeluszach i skórzanych kurtkach, urok przysł, wszystkie zapiszczały z uciechą i nie zauważyły nawet, że Michelina

wstała, przeprosiła, skierowała się w stronę zasłony i tam, pośród jej ciężkich fałd, znalazła gorącą rękę swego chrzestnego ojca.

5

Tylko Lucila dosłyszała, z jakim desperackim wizgiem, z jakim piskiem opon wyjechał z garażu kabriolet Lincoln, ale nie przywiązywała do tego wagi, bo samochód, choćby nie wiadomo jak szybko, i tak nie sięgnie granic czerwonego horyzontu. Wydało się to nawet pani Barroso ładną myślą poetycką, ale nie znalazła słów, aby przekazać ją swoim koleżankom, które zresztą i tak już były mocno ubzdryngolone. Może zresztą się przesłyszała, nie był to warkot silnika, lecz pogłos basów w jej zwariowanej głowie.

Leonardo nie był pijany. Jego horyzont miał granicę: granicę ze Stanami Zjednoczonymi. Powietrze szybko zapadającej nocy otrzeźwiło go jeszcze bardziej, rozjaśniło mu myśli i spojrzenie. Prowadził jedną ręką. W drugiej ścisnął dłoń Micheliny. Powiedział jej, iż przykro mu to mówić, ale ona powinna zrozumieć, że będzie miała, co tylko zechce, on nie ma zamiaru się chwalić, ale dla niej będą wszystkie pieniądze, cała władza; teraz widzi przed sobą tylko nagą pustynię, lecz jej życie może być jak tamto zaczarowane miasto z drugiej strony granicy - złote wieże, kryształowe pałace...

- Tak - odpowiedziała mu. - Wiem, zgadzam się.

Leonardo zahamował gwałtownie, wypadając z prostej drogi na pustyni. Z dala pilnowały ich kamienne bryły katedry, teraz rysujące się jak kruche papierowe sylwetki na tle zapadającego wieczoru.

Spojrzał na nią, jakby i on mógł czytać w ciemnościach. Oczy dziewczyny błyszczały. Przynajmniej tyle mieli wspólnego jego syn Marianito i ona, dar widzenia w ciemnościach, patrzenia poprzez noc. Być może bez tego półmroku nie odkryłby tego, co zobaczył w oczach swojej chrześnicy. Światło dnia oślepiłoby spojrzenia, z pewnością. Trzeba było nocy, żeby ujrzeć jasno duszę tej kobiety.

- Tak - powtórzyła. - Wiem i zgadzam się.

Leonardo przywarł z całych sił do kierownicy nieruchomego lincolna, jakby chciał uczepić się skały swego najgłębiej skrywanego bytu. Pieniądze - to on. Władza - to on. Upragniona miłość, zdał sobie sprawę, należała do niego.

- Nie, to nie ja.

- Tak, ty - wyszeptała Michelina. - To ciebie właśnie kocham.

Pocałowała go swymi doskonałymi wargami, a on poczuł na ogolonej brodzie, która właśnie zaczęła odrastać na nowo, dołeczek podzielonego na pół podbródka Micheliny. Wtargnął w otwarte usta swojej chrześnicy, jakby całe światło brało początek z tego języka, tych zębów, tej śliny. Zamknął oczy i zobaczył całe światło świata. Ale nie puścił kierownicy. Jego palce miały głos i krzyczały z pragnienia, by zbliżyć się do ciała Micheliny, szperać pośród jej guzików, odnaleźć, pieścić i uczynić sterczącymi jej sutki, kolejne symetryczne punkty tej doskonałej piękności.

Pocałował ją długim pocałunkiem, badając językiem podniebienie dziewczyny, doskonale uformowane, bez szczelin, i wtedy Bóg i demon, zespoleni znowu, sprawili, że odczuł, iż całuje własnego syna, że język ojca rani się i wykrwawia o ostry jak rafa koralowa brzeg pękniętego podniebienia, że delikatność warg Micheliny zastępowana jest brutalnie przez mięsistość pęczniejącą, podrażnioną, czerwonawą, poranioną, oblepioną śluzem, nasączoną gęstą śliną jego syna.

Czy to samo czuła ona, kiedy Marianito przeleciał ją wczoraj w nocy, nie chcąc później się do tego przyznać? Dlaczego teraz mówiła, że kocha właśnie jego, ojca, jeśli widać było jak na dłoni, że jest tutaj po to, aby uwieść syna, niezadowolonego do uwiedzenia kogokolwiek? Czyż nie przyjechała tutaj, by dopełnić warunków kontraktu zawartego między rodzinami: nieograniczona protekcja, którą miał zapewnić wpływowy polityk Leonardo Barroso zubożałej rodzinie Laborde e Ycaza, w zamian za cudowne dni spędzone w Paryżu, za wina, restauracje, zabytki? Czy po to warto było żyć, pracować, stać się bogaczem? Paryż stanowił rekompensatę, a teraz Paryż to była ona, ona była ucieleśnieniem świata, Europy, dobrego gustu, on zaś ofiarowywał teraz dodatek do jej elegancji i urody - pieniądze, bez których szybko przestałaby być elegancka i piękna i stałaby się tylko ekscentryczną arystokratką, jak jej staruszka babka, pochylona nad swoją kolekcją szpargałów z przeszłości...

Zapraszał ją, aby dotrzymać warunków kontraktu. Został ojcem chrzestnym Micheliny, aby wyróżnić tamtą rodzinę. Teraz ofiarowywał jej ślub ze swoim synem. Największy klejnot.

- Ale ja przecież mam narzeczonego w stolicy.

Leonardo na długą chwilę, aż do bólu oczu, utkwiał wzrok w pustyni.

- Już nie.

- Ja nie kłamię, ojcie chrzestny.

- Wszystko można kupić. Tego mięczaka bardziej interesowały pieniądze niż ty.

- Zrobiłeś to dla mnie. Prawda? Ty też mnie kochasz. Czyż nie tak?

- Nie rozumiesz. Nic nie rozumiesz.

Jego głowę przeszła niewidoczna linia granicy i obietnica tego, co miała ze sobą przynieść. W luksusowych hotelach z drugiej strony znano go, nie proszono o paszport ani bagaże, żeby wynająć mu najdroższy apartament na jedną noc lub na kilka godzin, żeby wstawić mu do pokoju kosz pełen owoców i butelkę zmrożonego szampana, nim jeszcze zdąży wyjść z windy. Salon. Sypialnia. Łazienka. Oboje pod prysznicem namydlają się, pieszczą...

Leonardo zapuścił silnik, zrobił pół obrotu swoim lincolnem i z piskiem opon ruszył z powrotem do Campazas.

6

Babka, Caryca, zgodziła się ze swoją wnuczką. Michelina weźmie ślub w jednej z sukien, które staruszka kolekcjonowała od pokoleń. Dziewczyna mogła przebierać.

Chcę krynoliny, oznajmiła młoda kobieta, zawsze marzyłam o krynolinie, żeby wszyscy się mnie domyślali, wyobrażali mnie sobie i nie wiedzieli dokładnie, jaka naprawdę jest ta panna młoda. W takim razie, orzekła jej babka rozradowana, musisz mieć welon.

Pewnej nocy Michelina przymierzyła strój panny młodej, krynolinę i welon, a potem położyła się spać sama, ostatni raz. Śniła, że jest w klasztorze, przechadza się wśród arkad i patio, kaplic i korytarzy, podczas gdy reszta zakonnic, uwięzionych, spogląda na nią jak zwierzęta przez kratki w drzwiach swoich cel, wykrzykując sprośne uwagi pod jej adresem, jako że wołała miłość mężczyzny od zaślubin z Chrystusem, lżyły ją za złamanie ślubów, porzucenie zakonu i swojej klasy społecznej.

Wtedy Michelina spróbowała uciec od swojego snu, którego przestrzeń była przestrzenią klasztoru, ale zakonnice, zebrane przed ołtarzem, nie pozwalały jej się wydostać; czarne służebne zdzierały z siostr habity, obnażając kobiety do pasa, a one prosiły, by tamte je biczowały; trzeba wypędzić diabła z ich ciał i dać dobry przykład siostrze Michelinie; inne broczyły menstruacyjną krwią na płyty posadzki, później zlizywały własne wydzieliny i mazały nimi krzyże na lodowatym kamieniu; jeszcze inne kładły się obok spoczywających, bolesnych, poranionych Chrystusów w cierniowych koronach, i tu sen Micheliny z miasta Meksyk łączył się ze snem Marianita z Campazas w sypialni bez świateł, bo chłopak też śnił jednym z tych obolałych Chrystusów z meksykańskich kościołów, bardziej obolałych niż Najświętsze Panienki, ich Matki, o Synu spoczywającym w kryształowej trumnie, otoczonym zakurzonymi kwiatami, obracającym się w popiół, ginącym w swojej powrotnej podróży do ducha pozostawiającym jedyne świadectwo po sobie w postaci gwoździ, włóczni, cierniowej korony, gąbki zamoczonej w occie... Jak wielka jest chęć porzucenia niedostatków własnej tymczasowej powłoki cielesnej!

Jaki samotny ten Chrystus, i jak on mu tego zazdrościł! Jeżeli Chrystusa obolałego, wykpionego, poranionego zostawili w świętym spokoju, to dlaczego jego nie? Jego, który chciał tylko mieszkać na ranchu swoich rodziców, cały dzień czytając, nie pragnąc żadnego innego towarzystwa, jak tylko Indianie, naturalni i obojętni na nieprawidłowości przyrody, których jedni nazywają Pacuachos, inni „Indianami, których nie ma”, niewidocznymi jak on, mimetycznymi istotami z tego wielkiego płótna naśladownictwa i przemian, jakim jest pustynia? Czy bardziej był zamknięty, bardziej odizolowany on na swoim ranchu niż jego rodzina w Disneylandzie, bez żadnego kontaktu z Campazas, z resztą kraju, nie wiedząc, co się dzieje tuż za wysokimi murami, pogrążona tylko w konsumpcji artykułów z importu, zatopiona w telewizji kablowej, tak samo wyizolowana jak on? Czemu odmawiali mu jego samotności, jego odosobnienia, jeżeli było ono

mniejsze niż ich odosobnienie - on, który tyle czytał, poznawał rzeczy tak piękne, światy tak doskonałe, na jakie tylko jego wyobraźnia miała ochotę, przeszłości nieskończenie nowatorskie, przyszłości już przepowiedziane, już smakowane.

- Śnił mu się zajac.

- Zajac jest czworonogiem o długich uszach i krótkim ogonku.

- Ma sierść rudawą, a jego potomstwo rodzi się owłosione.

- Jego łapy są dłuższe niż łapy królika. Biega szybko, bo jest bardzo płochliwy.

- Nie kopie nor, jak inne gatunki - robi gniazda, szuka miejsc bezpiecznych, wilgotnych, niedostępnych, gdzie może przebywać w spokoju.

Jest ssakiem. Ssie mleko, pragnie ssać w ciemnościach, chce żeby go ssano, w gnieździe, bez strachu, tak żeby nikt nie widział, jak on to lubi...

Nie było na świecie kobiety, która była w stanie sprostać jego pragnieniu. Mariano chciał przecież jedynie żyć fizycznie, tam gdzie zawsze pragnął żyć w marzeniach i gdzie żył. Na wsi. Bez pieniędzy, pośród książek i Indian, których nie ma, milczących jak on sam. Samotny, bo nie było ani jednej kobiety w świecie, mogącej zaćmić całą przestrzeń, prócz sypialni, gdzie przestrzeń i obecność współistniały. Czy mogła to być Michelina? Czy potrafiłaby uszanować jego samotność? Czy umiałaby uwolnić go od ambicji, spadku, obowiązków towarzyskich, konieczności pokazywania się publicznie?

On nie był winien, że w jego ustach żył ślepy zajac, owłosiony, szybki i głodny, gnieźdzący się na zawsze na jego języku.

W dniu ślubu Michelina pojawiła się w salonie tudorowsko-normandzkiej posiadłości ubrana w swój piękny staroświecki strój: krynolinę, białe atlasowe pantofelki na płaskim obcasie i ciężki biały welon, całkowicie zakrywający jej twarz. Na głowie miała wianek z białych kwiatów pomarańczy. Prowadził ją pod rękę jej ojciec, były ambasador, don Herminio Laborde. Matka Micheliny

nie czuła się na siłach, by wybrać się w podróż aż na północ (złe języki rozpowiadały, że nie chciała się zgodzić na to małżeństwo, ale nie było sposobu, żeby mu zapobiec). Babka, choć staruszka, przyjechałaby z przyjemnością.

- Już ja widziałam wszystkie krzyżówki, jakie tylko można sobie wyobrazić, a może nawet więcej, tak więc jeszcze jedna, choćby to była tygrysica z gorylem, mnie nie zaskoczy, a co dopiero gołębica i królik!

Przypadłości babki nie pozwoliły jej na podróż; w jakiś sposób była jednak obecna w krynolinie, w welonie... Doña Lucila spędziła cały miesiąc w Houston na kupowaniu sobie strojów, jakby to ona była panną młodą, i dziś wyglądała niczym skonfekcjonowana przez cukiernika. Uosabiała najprawdziwszy weselny tort: stożkowa kremowa piramida, zwieńczona czereśnią kapelusza; jej włosy były rozkosznym karmelem, twarz wielką uśmiechniętą bezą, piersi pokładami kremu chantilly, a suknia, udrapowana niczym całun, lśniła tonami jeżynowej konfitury, dekorującej marcepanową masę.

U jej boku nie stał jednak jej syn Mariano. Jego plecy szerokim gestem obejmował sam Leonardo Barroso. Młodzieniec był ubrany z pełną elegancji prostotą, w beżowy gabardynowy garnitur, niebieską koszulę i krawat ze spinką. Żona Leonarda szukała oparcia nie w ramieniu syna, tylko w tłumie przyjaciół, znajomych, ciekawskich, którzy przyszedli na ślub i przyjęcie weselne syna jednego z najbogatszych ludzi itede... Ziemię, urzędy celne, działki budowlane, bogactwo i władza dające kontrolę nad granicą, iluzoryczną, kryształową, pełną porów, przez które każdego roku przepływają miliony osób, pomysłów, towarów, wszystko (szepcem: przemyt, narkotyki, fałszywe pieniądze...) Któż nie miał nic wspólnego lub nie zależał od, albo nie aspirował, aby służyć don Leonardowi Barroso, królowi północnej granicy! Co za nieudacznik ten jego syn! Wszystko musi się jakoś rozłożyć na tym świecie. Syn sprawia, że Barroso jest bardziej ludzki. Ale ta ze stolicy to się całkiem sprzedała, i nie mów mi, że nie! No cóż, ludzi zawsze można kupić, don Enrique. Albo, kupowanie ucłowieczyć, don Raul.

Chociaż w tym czasie uczyniono już wszelkie możliwe ustępstwa na rzecz Kościoła, don Leonardo Barroso hołdował swojemu liberalnemu jakobinizmowi, starej tradycji meksykańskiej reformy i rewolucji.

- Jestem liberałem, ale szanuję religię.

W swojej sypialni, ku przerażeniu Lucili, powiesił reprodukcję „Guerniki” Picassa zamiast Najświętszego Serca Jezusowego - co za obrzydliwe bohomyzy! Nawet dziecko rysuje lepiej. Na szczęście w tych latach para małżeńska spała już w oddzielnych sypialniach, tak więc każde miało swoją własną ikonę nad łóżkiem: Pablo i Jezus, złączeni wizją poświęcenia, śmierci i odkupienia. Don Leonardo unikał kościołów i zarządził cywilną ceremonię ślubną, na dodatek we własnym domu. Niemniej strój panny młodej przydawał obrzędowi wyrazu tajemniczej surowości.

- Jest czarownicą?

- Gdzie tam! Jest jedną z tych, co to napuszone przyjeżdżają ze stolicy, żeby olśnić nas, biednych prowincjuszy.

- To ostatni krzyk mody?

- Nadgryziony przez mole, staruszko, przez mole.

- Nie pokaże nam twarzy?

- Mówią, że jest niczego sobie.

Głosy ucichły. Urzędnik wypowiedział zwyczajowe formuły i przeczytał skróconą wersję pouczenia małżeńskiego. Obowiązki. Prawa. Podwaliny. Wszystko wspólne, zdrowie i choroba, radość i ból, łożę, czas, czasy Ciało. Spojrzenia. Podpisy świadków. Podpisy państwa młodych. Don Leonardo uniósł Michelinie welon i zbliżył twarz Mariani- ta do twarzy jego narzeczonej. Michelina nie umiała powstrzymać odruchu obrzydzenia. Wtedy Leonardo ucałował ich oboje. Najpierw ujął w obie dłonie twarz swego syna i zbliżył tak ukochane przez Michelinę wargi, swawolne i żartobliwe, do warg swojego syna Marianita, po czym ucałował go z tym samym wyrazem oczu, który Michelina już знаła. Mówił on: chyba na serio się zakocham, mogę żądać wszystkiego, bo mogę także dać wszystko...

Wargi oddaliły się od siebie i don Leonardo pogłaskał syna po głowie, pocałował go w te przerażające wargi - czy ty to rozumiesz, Normita - a doña Lucila zbladła i wyglądała, jakby miała zaraz umrzeć, później zaś mężczyzna, popisując się swoją zuchwałością i siłą własnej osobowości - przecież nie bez powodu nazywa się Leonardo Barroso - jeszcze ze śliną swojego syna na ustach uniósł welon pannie młodej - śliczna jak poranek, Rosalba, miałaś rację - i zło-

żył na jej ustach straszliwie długi pocałunek, który z pocałunkiem teścia (czy ojca chrzestnego), mówiąc szczerze, nie miał nic wspólnego.

- Co za ranek, mówię wam, co za ranek! Za nic nie możemy tego przegapić! Campazas nigdy nie będzie już takie samo po tym ślubie!

8

Kabriolet lincoln, tym razem z opuszczonym już składanym dachem, przejechał szybko przez południową pustynię, zimną i uciszoną, napełniając ją piskiem opon i hałasem silnika, płosząc zające, które umykały w podskokach jak najdalej od prostej, nieprzerwanej aż po granicę linii drogi, żeby rozerwać iluzoryczną kryształową błonę rozłuki, kryształową membranę między Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi, i pojechać dalej superauto- stradami północy aż do czarowanego miasta, pokusy pustyni, rozświetlonego, błyszczącego, pełnego Cartierów i Saksów, i Neimanów-Marcusów, i Marriottów, gdzie czekał na nowożeńców luksusowy apartament z szampanem, koszami pełnymi owoców, salonem, przestronnymi szafami, sypialnią z łóżem king size, wieloma lustrami, by podziwiać Michelinę, łazienką o różowych marmurach, by się z nią kąpać, namydlać ją, pieścić, zawstydząć - miała obfitsze pośladki, niż można było przypuszczać, łydki chudsze, ot, budowa drozda - ach, kobieto o wzburzonych oczach, nieruchomym nosku o nerwowo pulsujących skrzydełkach, przez które wymyka ci się noc, rozwartych wilgotnych wargach, w których ginie mój język, nie napotykając raf koralowych ani pieczar stalaktytów, ani uszkodzonych gotyckich sklepień, tylko delikatne łaskotanie twojego podzielonego podbródka, moja ty cudowna, będące zwiastunem innych twoich podwójności, które teraz pieszczę pomału, żeby nic się nie wypaliło między nami, żeby wszystko trwało zawieszony między oczekiwaniem, zaskoczeniem, pragnieniem czegoś jeszcze i jeszcze, tak, ojcie chrzestny, chcę jeszcze, i nic nas już nie rozdzieli, ojcie chrzestny, ty mi to powiedziałaś, pamiętasz, zawsze kiedy mnie zobaczysz, to będzie, jakby to był pierwszy raz, ach, Leonardo, wszystko dlatego, że zakochałam się w twoich oczach, bo mi mówiły tyle rzeczy.

- Mogę żądać wszystkiego, bo mogę też dać wszystko. O czym myślisz, moja chrześnico ze stolicy?

- Właśnie o tym, ojczy chrestny, o tym samym... Przez na wpół otwarte okno wpadły dźwięki piosenki śpiewanej przez Luisa Miguela: „Potrzebuję cię, bardzo cię potrzebuję; a czy ty mnie, nie wiem...” Skąd mieli wiedzieć Leonardo i Michelina, że ta muzyka płynie z rancza Indian, których nie ma, Pacuaches, gdzie Mariano czytał książki, słuchał muzyki i rozkoszował się, odgadując śpiewy ptaków o czwartej nad ranem. Tamtego ranka przeleciał jumbo jet po niebie i ptaki umilkły na zawsze. Jej już nie było...

BÓL

Juliowi Ortedze

1

Juan Zamora poprosił mnie, abym opowiedział tę historię plecami do was. Znaczy, to on będzie stał plecami do czytelnika cały czas. Twierdził, że się wstydzi. Czy raczej jak to on mówi: „Czuję ból”. Ból jako synonim wstydu jest właściwy dla języka Meksykanów; to tak samo jak użyć słowa „leciwy” zamiast „stary”, żeby kogoś nie obrazić, albo powiedzieć o kimś „nie jest z nim dobrze”, aby ulżyć jego śmiertelnej chorobie. Wstyd boli: ból czasami zawstydzają.

Tak więc Juan Zamora nie stanie do was twarzą przez cały czas tej narracji. Będziecie mogli zobaczyć go tylko od strony jego karku, jego pleców. Nie chcę powiedzieć „od tyłu”, bo wiadomo, co się za tym kryje w Meksyku. Dawanie go. Najpodlejszy akt tchórzostwa, oddania lub ohydnej służalczości. Ale to nie jest przypadek Juana Zamory. Nosi uniwersytecki dres, jeden z tych obszernych, rozmiar XXL (Extra Large), które mają z przodu herb uniwersytetu, o dających się łatwo zawinąć rękawach; taki dres wypuszczony na dzinsy sięga aż po uda. Nie, Juan Zamora nalega, abym wam przekazał, że nie da wam go. Nie chce nic więcej, jak tylko podkreślić, że jego wstyd jest taki sam jak jego ból. Nie wini nikogo. To prawda, że świat dał mu wiele i był mu dany tylko taki świat.

Ale w końcu wszystko, co się zdarzyło, zdarzyło się przez niego i w nim. I to się naprawdę liczy.

To historia z czasów boomu naftowego w Meksyku, koniec lat siedemdziesiątych, początek osiemdziesiątych. I to już na samym początku częściowo tłumaczy tożsamość: ból-wstyd, o których mówi Juan Zamora. Wstyd, bo świętowaliśmy to apogeum jak nuworysze. Ból - bo bogactwo zostało źle użyte. Wstyd, bo prezydent powiedział teraz, że naszym problemem jest, jak gospodarować bogactwem. Ból - bo biedacy nadal byli biedni. Wstyd, bo frywolni i rozrzutni, staliśmy się niewolnikami wulgarnego kaprysu i komicznej manii wielkości. Ból - bo nie byliśmy w stanie gospodarować nawet naszym wstydem. Ból i wstyd - bo nie nadajemy się do życia w bogactwie, pasuje do nas tylko bieda, godność, wysiłek... W Meksyku zawsze istnieli ludzie zamieszani w korupcję, autorytaryzm i nadmiar władzy. Ale wybacza się im wszystko, jeżeli przynajm-

niej są poważni. (Czyżby istniała jedna korupcja poważna i druga niepoważna?) Żartobliwość jest nie do zniesienia, nie do wybaczenia, kiedy żartuje się ze wszystkich zrobionych na szaro. Stąd ból i wstyd tamtych lat, kiedy byliśmy milionerami jednego sezonu, żeby w chwilę potem obudzić się jako bankruci, na ulicy, płacząc ze śmiechu, żeby nie śmiać się z bólu.

Juan Zamora stoi więc plecami do was. Dane mu było wyjechać na University of Cornell dzięki stypendium, kiedy miał dwadzieścia trzy lata. Przykładnie uczył się w ostatnich latach szkoły średniej, a później studiował medycynę na UNAM-ie - Państwowym Uniwersytecie w Meksyku - i zarzeka się przed wami, że mógłby na tym poprzestać, gdyby jego matka nie wbiła sobie do głowy, że w epoce boomu gospodarczego Meksyku trzeba mieć studia podyplomowe na jakimś jankeskim uniwersytecie.

Twój ojciec nigdy nie umiał załatwić nic dla siebie. Być przez dwadzieścia lat sekretarzem osobistym don Leonarda Barroso i umrzeć bez grosza przy duszy! O czym on myślał przez cały ten czas? Ani o tobie, ani o mnie, Juani- to, możesz być tego pewien.

A co on ci mówił, mamó?

Że uczciwość jest wystarczającą rekompensatą, że traktuje swoje zajęcie honorowo. Że nie zdradzi mistrza Maria de la Cuevy i reszty swoich profesorów z wydziału prawa. Że jemu wpojono, iż być adwokatem może tylko człowiek honoru. Że nie można bronić prawa, będąc samemu przekupnym. Ależ to nic niewłaściwego, Gonzalo, tłumaczyłam twojemu ojcu, to nie zbrodnia przyjąć zapłatę za wyświadczenie komuś przysługi lub przedłożenie czyjejś sprawy uwadze ministra Barroso. Wszyscy w rządzie się bogacą oprócz ciebie!

To się nazywa łapówka, Lelio, mówił. To potrójne oszustwo i na dodatek nieprawda. Jeśli sprawa się uda, wydaje się, że to dlatego, iż zapłacono mi za jej załatwienie. Jeśli się nie uda, staję się nikczemnym szubrawcem. A w gruncie rzeczy oszukuję ministra, kraj i siebie samego.

Choć jeden mały kontrakt państwowy, Gonzalo, o nic więcej cię nie proszę. Dostaniesz swoją prowizję i mamy święty spokój. Nawet nikt się nie dowie. Będziemy mogli kupić za to dom w Anzures. Wyjechać z kolonii Santa Maria. Wysłać Juanita na uniwersytet w Stanach. Przecież widzisz, że chłopak jest dobrym studentem, więc byłoby szkoda, żeby miał się zmarnować pośród tego młotu- chu na uniwersytecie państwowym.

Juan prosi, by przekazać, że jego matka opowiadała to wszystko z cierpkim uśmiechem, grymasem, jaki jej syn widywał jedynie czasami u zmarłych, których sekcje przeprowadzał w prosektorium.

Musiał umrzeć jego ojciec, mecenas Gonzalo Zamora, żeby wdowa po nim poprosiła o jedną jedyną przysługę don Leonarda Barroso - o załatwienie stypendium Juanowi, żeby mógł studiować medycynę w Stanach Zjednoczonych. Don Leonardo zachował się bardzo elegancko, odparł, że jakżeby nie, zrobi to z największą ochotą, to przecież jedynie drobnostka dla uczczenia pamięci Zamority, tak uczciwego adwokata, tak obowiązkowego urzędnika...

2

Idę w ślad za Juanem Zamorą, meksykańskim studentem w szarym dresie, smutnymi ulicami Ithaki w stanie Nowy Jork, gdzie mieści się University of Cornell. Nie wiem, dokąd Juan zmierza, bo jest tu niewiele do zwiedzania. Główna ulica ma zaledwie kilka sklepów, dwie lub trzy bardzo kiepskie restauracje, a dalej są od razu góry i wąwozy. Juanito czuje się prawie jak w Meksyku, w San Juan del Rio lub Tepeji, miejscach, do których jeździł kiedyś na wycieczki, żeby poodychać leśnym powietrzem, z dala od zanieczyszczeń stolicy. Wąwóz Ithaki jest wielkim urwiskiem, głębokim i zakazanym, ale oczywiście także nęcącą przepaścią. Cornell jest sławny z liczby samobójstw popełnianych przez zdesperowanych studentów. Rzucają się zwykle z mostu nad wąwozem. Na uniwersytecie krąży żart, że żaden wykładowca nie odważy się oblać złego studenta ze strachu, że ten rzuci się w przepaść.

Nie mając zbyt wiele do obejrzenia w niedzielę, Juan Zamora wróci do domu, w którym go zakwaterowano. Jest to piękna rezydencja z blad różowej cegły, kryta niebieskimi dachówkami i otoczona pięknie zadbanym trawnikiem, przechodzącym później w żwir wokół domu, a następnie w gęsty, młody i ciemny las za nim. Po różowej cegle pną się bluszcz.

Pory roku rekompensują tutaj brak wdzięku samego miasta. Teraz jest jesień i las rozbiera się, drzewa na zboczach gór wyglądają jak zwęglone wykałaczki, a niebo zniża się o dwa lub trzy poziomy, żeby przekazać nam wszystkim ciszę i ból Boga wobec tej przejściowej śmierci świata. Ale zima w Cornell oddaje głos przyrodzie, która z przekory wobec Boga ubiera się na białą, sypiącą

zmrożonym pyłem i gwiazdkami śniegu, rozciągając białe całuny niczym wytworne prześcieradła ziemi oraz odpowiedź dla nieba. Wiosna wybucha gwałtownie, konwulsyjnie garściami wspaniałych róż, które napełniają zapachem powietrze, zostawiając tchnienie zapomnienia, zanim zadomowi się lato nieprzyjemne, senne, znużone w zastępstwie żwawej wiosny, leniwe i rozwłócone lato stojących wód, dokuczliwych komarów, głębokiego wilgotnego oddechu i ciemnozielonych zboczy gór.

Wąwóz - w odpowiedzi na to wszystko - odzwierciedla owe pory roku, ale też je pochłania, strąca i zadaje im nieubłaganą śmierć ciężeniem, duszącym i ostatecznym uściskiem wszelkich rzeczy. Ten wąwóz przyprawia o zawrót głowy we wnętrzu ustalonego porządku tego miejsca.

Niedaleko wąwozu znajduje się fabryka broni i amunicji, ohydny budynek z poczerniałej cegły i nieprzyzwoitymi kominami; niemal widome przywołanie brzydoty nazistowskiej *Nacht und Nebel* - nocy i mgły. Pistolety produkowane przez fabrykę w Ithace są obowiązkowym wyposażeniem wojsk Salwadoru, z tej racji oficerowie i zwykli żołnierze tej republiki nazywają je *ithaquitas*.

Juan Zamora prosi mnie, bym to wszystko wam opowiedział, kiedy on stoi do nas plecami, bo został zaproszony do rezydencji bogatego handlowca, który kiedyś zajmował się produkcją broni, ale teraz woli być doradcą prawnym, sporządzającym umowy dla ministerstwa obrony, pośrednikiem między producentami i rządem północnoamerykańskim. Tarleton Wingate i jego rodzina, kiedy Juan Zamora przyjeżdża, by zamieszkać w ich domu, okazują się entuzjastycznymi zwolennikami kampanii Ronalda Reagana, z którym przegrał Jimmy Carter. Co wieczór oglądają telewizję i oklaskują decyzje nowego prezydenta, jego uśmiech gwiazdora filmowego, jego zdecydowaną wolę skończenia z nadmiarem interwencjonizmu rządowego, jego optymizm, kiedy ogłasza, że znów nadzieje świt dla Ameryki, jego upór, by powstrzymać rozwój komunizmu w Ameryce Środkowej.

Głowa domu, Tarleton Wingate, jest sympatycznym zwalistym mężczyzną; na swojej świeżej twarzy ma mniej zmarszczek niż stare wyslizgane siodło; piaskowa czupryna bez połysku Tarletona kontrastuje z platynowymi blond włosami jego żony Charlotte i połyskującymi rudą, kasztanowymi włosami ich trzynastoletniej córki Becky. Kiedy rodzina Wingate'ów zasiada przed telewizorem, uprzejmie zaprasza Juana, aby do nich dołączył. On zaś nie pojmuje, co czują tamci, kiedy pojawiają się straszliwe kadry z wojny w Salwadorze, pomordowa-

ne zakonnice, leżące na poboczu drogi, rebelianci wystrzelani przez oddziały paramilitarne, całe wsie obrócone w perzynę przez wojsko, ponieważ ich mieszkańcy próbowali zbiec na drugą stronę rzeki...

Juan Zamora odwraca się plecami do ekranu i zapewnia Wingate'ów, że w Meksyku, tak samo jak tu, wysoko ceni się prezydenta Reagana za to, że uratował nas wszystkich od plagi komunizmu. Mówi im też, że Meksyk interesuje tylko rozwój i bogacenie się, czego dowodzi wielkie wydobycie ropy za rządów Lopeza Portillo.

Jankesi uśmiechają się w odpowiedzi, bo sądzą, że bogactwo jest skuteczną szczepionką przeciwko komunizmowi. Juan Zamora ma ochotę zapytać pana Wingate, jak idą jego interesy z Pentagonem, ale lepiej, żeby siedział cicho. Najpierw daje do zrozumienia, a później oświadcza z naciskiem, że oni, rodzina Zamorów, z łatwością adaptują się do warunków tego bogacenia się Meksyku, bo od zawsze posiadali ziemię, hacjendy - to słowo wzbudza wielkie wrażenie w Stanach Zjednoczonych, wymawia się je tu, przesadnie artykułując „h”: *hhha-cjen- da* -i pola naftowe. Zdaje sobie sprawę, że Wingate'owie nie wiedzą, iż ropa naftowa jest w Meksyku własnością państwa, więc to co mówi, wzbudza powszechny podziw. Amerykanie dogmatycznie, choć bez swej winy, wierzą, że „wolny świat” znaczy to samo co „wolny rynek”.

Wingate'owie przyjęli Juana z radością, a także - bo tak nakazywała tradycja. Od niepamiętnych czasów zagraniczni studenci byli przyjmowani naprawdę gościnnie w prywatnych domach, otaczających kampusy uniwersyteckie w Ameryce. Nic w tym dziwnego, że latynoamerykańscy młodzieńcy z bogatych rodzin szukają tu atmosfery swojego własnego domowego ogniska i - nade wszystko - w ten sposób szybciej przyswajają sobie znajomość angielskiego.

- Są chłopcy - zapewnia Juana Tarleton Wingate - którzy nauczyli się języka, siedząc godzinami przed telewizorem.

Razem oglądają film z Peterem Sellersem „Wystarczy być”, w którym pewien nierozgarnięty ogrodnik wie tylko to, czego się nauczył, oglądając telewizję, i właśnie dlatego uchodzi za geniusza.

Wingate'owie pytają Juana Zamorę, czy telewizja w Meksyku jest dobra, a on musi szczerze odpowiedzieć, że nie, że jest nudna, wulgarna, zniewolona i że pewien bardzo dobry i poczytny wśród młodych pisarz, Carlos Monsivais, nazywa ją „skrzynką dla idiotów”. Powoduje to niepoohamowany wybuch śmiechu

u Becky, która mówi, że powtórzy to w szkole na lekcji: *the idiot box*. Nie bądź taką mądrą, mówi Charlotte do swojej córki, moja ty jajogłowa, i głaszcze ją po głowie, a właścicielka połyskującej rudo czupryny protestuje, nie targaj mi włosów, będę musiała jeszcze raz się czesać przed wieczornym wyjściem do dzieciaków, Juan Zamora zaś nie może się nadziwić, że wszystkie jankeskie dzieci pracują od najmłodszych lat jako baby-sitter, gazeciarze lub sprzedawcy lemoniady w lecie.

- To po to, by wpoić im protestancką etykę pracy - wyjaśnia uroczyście pan Wingate.

A on, jak to możliwe, żeby on wyrósł bez telewizji? - pyta go Becky.

Juan Zamora wie dobrze, co mówi. Być człowiekiem bogatym i arystokratą w Meksyku to kwestia ziem i hacjend, peonów, wytwornego stylu życia, koni, chodzenia w bryczesach, surducie i w butach do konnej jazdy, utrzymywania służby - to właśnie znaczy być zamożnym w Meksyku, a nie oglądanie telewizji. I ponieważ gospodarze myślą dokładnie tak samo, rozumieją go, pochwalają i zazdroszczą. Becky wychodzi zarobić swoje pięć dolarów jako baby-sitterka, pani Charlotte wkłada fartuch i idzie do kuchni zmywać naczynia, a pan Tarleton z głębokim poczuciem obowiązku zagłębia się w lekturze ostatniego bestsellera z listy publikowanej przez „New York Timesa”, powieści szpiegowskiej, która utwierdza go jeszcze w jego obsesyjnej paranoi na temat czerwonego niebezpieczeństwa.

3

O ile miejska część Ithaki to rodzaj podmiejskiego Averno, University of Cornell jest jej Parnasem: połyskującą świątynią w kremowym kolorze, o nowoczesnych liniach, chwilami prawie art deco, z rozległymi i pełnymi światła terenami zielonymi. Campus, z uwagi na stromizny, jest poprzecinany pięknymi alejkami i schodkami. Wszystkie prowadzą do miejsc, stanowiących podstawowe centra życia meksykańskiego studenta Juana Zamory. Jednym z nich jest Unión Estudiantil, spółdzielnia studencka, próbująca zastąpić wszystko to, czego brak miastu: księgarnię, sklep papierniczy i z konfekcją, kino, teatr, pocztę, restaurację, lokal, gdzie można się spotkać z przyjaciółmi. Tam właśnie, cały czas plecami do nas, Juan Zamora stara się zawierać znajomości. Zwraca jego uwagę

niebывale niechlujny wygląd studentów. Chodzą w czapkach baseballowych, których nie zdejmują w pomieszczeniach, nawet witając się z kobietami. Rzadko się gołą. Piją piwo wprost z butelki. Noszą podkoszulki bez rękawów, pokazując zawsze i wszędzie włosy pod pachami. Wystawiają na widok publiczny dziury na kolanach swoich dzinsów, a czasami ucinają ich nogawki na wysokości ud i noszą tak spodnie, zupełnie postrzępione. Siadają do jedzenia, nie zdejmując czapek, opychając się hamburgerami, frytkami i całym tym świństwem z plastikowych toreb. Kiedy naprawdę chcą być źle wychowani, wkładają czapki bejsbolówki daszkiem do tyłu, zakrywając sobie nim kark.

Pewnego dnia atletycznie zbudowany chłopak o blond włosach i trądzikowatej twarzy nałożył sobie ogromny talerz spaghetti i zaczął jeść makaron rękami. Juan Zamora poczuł nagłe obrzydzenie, które odebrało mu apetyt i zmusiło go, być może po raz pierwszy, do zwrócenia uwagi koledze.

- Co za obrzydliwość! Nie nauczono cię przyzwoicie jeść w domu?

- Pewnie, że mnie nauczono. Moi starzy są wystarczająco bogaci, nie myśl sobie...

- No to dlaczego jesz jak zwierzę?

- Bo teraz jestem wolny - odparł mu blondas z pełnymi ustami.

Juan Zamora na Cornell nie przyjechał specjalnie wy- elegantomany, nosił niebieskie dzinsy i meksykańską kurtkę, sweter i mokasyny. Jego ojciec za życia z trudem godził się z takim wyglądem syna. My chodziliśmy w marynarkach i krawatach na wykłady w San Ildefonso, mawiał. Pomału Juan zaczął zmieniać swój strój na bardziej swobodny, podkoszulek, adidas, ale zawsze utrzymywał - odwrócony plecami - pewien margines przyzwoitości. On myślał inaczej o swoich rodzicach. Rozumiał, że niechlujne ubranie studentów jest swego rodzaju symbolem zrównania, jeśli chodzi o pochodzenie społeczne; chodzi o to, żeby nikt nie pytał o korzenie rodziny i status ekonomiczny. Wszyscy równi wyglądem, trykotowym mundurkiem, czapkami baseballowymi, sportowymi butami. Jedynie po powrocie do miejsca swojego zamieszkania - rezydencji rodziny Wingate'ów - mógł Juan Zamora powiedzieć bezkarnie, za aprobatą wszystkich, nawet wywołując pewien podziw:

- Moja rodzina jest bardzo stara. Zawsze byliśmy bogaci. Mamy hacjendy, konie, służbę. Teraz, gdy jest ropa, po prostu będziemy żyć jak zawsze, ale w jeszcze większym luksusie. Mam nadzieję, że kiedyś odwiedzą nas państwo w

Meksyku. Moja matka byłaby zachwycona, mogąc państwa gościć i osobiście odwdziżyć się za państwa uprzejmość w stosunku do mnie.

I pani Charlotte wzdychała z podziwem. Była to pierwsza biała kobieta, którą Juan widział w kuchennym fartuchu.

Jak świetnie wychowani są hiszpańscy arystokraci! Ucz się, Becky!

Pani Charlotte nigdy nie nazwała Juana Zamory Meksykaninem. Bała się go obrazić.

4

Drugim miejscem, gdzie spędzał życie meksykański student, była sama uczelnia medyczna, a przede wszystkim amfiteatr przypominający greckie budowle, śnieżnobiały i solidny, wieńczący wzgórze jakby po to, żeby zapachy chloroformu i formaldehydu nie zanieczyszczały reszty kampusu. Tu ekstrawagancką modę zastępował obszerny biały fartuch, choć czasem wystawały spod niego owłosione łydki i prawie zawsze przybrudzone adidas.

Widok mężczyzn i kobiet, wszystkich na białą, sprawiał, że budynek robił wrażenie świątyni jakiejś wspólnoty religijnej. Po lśniących korytarzach przechadzali się młodzi księża i zakonnice. Juanowi przyszło do głowy, że czystość jest regułą tego zakonu. Na dodatek biały fartuch (kiedy nie wyglądały spod niego owłosione nogi) podkreślał obupłciowość tego pokolenia. Niektóre dziewczęta nosiły bardzo krótkie włosy, niektórzy chłopcy - bardzo długie i czasami od tyłu (gdy stali plecami) trudno było rozpoznać płeć.

Juan Zamora miał kilka kontaktów seksualnych jeszcze w Meksyku. Seks nie był jego silną stroną. prostytutki nie podobały mu się. Koleżanki z meksykańskiego uniwersytetu były zbyt wymagające, zbyt pazerne, chciały go zdominować, mówiły zaraz o założeniu rodziny, niezależności, zamieszkaniu razem, podjęciu w końcu decyzji, co sprawiało, że czuł się jak nędzny gnojek, pełen winy i wstydu, że oto nigdy nie był, jeszcze nie, tym, kim mógłby być. Wadą Juana Zamory było to, że każdy etap swego życia uważał za coś ostatecznego, zamkniętego. Są młodzi ludzie, pozostawiający rzeczy własnemu biegowi, i są inni, którzy myślą, że co dwadzieścia cztery godziny następuje koniec świata. Juan do nich właśnie należał. Nie przyznając się do tego, był świadom, że obawy jego matki, związane ze skromnymi warunkami, w jakich żyli, pełna dumy

uczciwość jego ojca, jak również niepewność co do zalet własnej moralności powodują u niego uczucie ciągłego wstrząsu, nieuchronności losu, z której jednak kpił monotonny i nieubłagany upływ czasu. Gdyby Juan zaakceptował ten spokojny bieg dni, być może wszedłby także w mniej lub bardziej trwałe związki z jakąś dziewczyną. Ale dla dziewczyn Juan Zamora był chłopakiem zbyt spiętym, przestraszonym, niepewnym. Facetem odwróconym plecami, żalonym do bólu.

- Dlaczego ciągle się oglądasz? Myślisz, że ktoś nas śledzi?

- Czemu się tak boisz, przechodząc przez ulicę? Tędy nie jeżdżą samochody.

- Co się tak kulisz? Nikt cię nie uderzy.

Teraz na Cornell włożył biały fartuch i umył dokładnie ręce. Miał robić swoją pierwszą sekcję, razem z innym studentem. To będzie mężczyzna czy kobieta? Nasunęło mu się to pytanie także dlatego, że dotyczyło zwłok, które mieli badać.

Prosektorium tonęło w półmroku.

Juan Zamora zbliżył się po omacku do ledwie widocznego stołu autopsyjnego. I wtedy otarł się plecami o plecy tej drugiej osoby. Rozległ się nerwowy śmiech. Światła oślepiające, nieubłagane, jakby wysłane przez przepelnionego zemstą Jahwe, zapaliły się raptem i woźny przeprosił za spóźnienie. Zawsze stara się być punktualniejszy niż studenci, podkreślił z bolesnym uśmiechem.

Na kogo najpierw spojrzy Juan Zamora? Na studenta czy na trupa? Spuścił wzrok i zobaczył zwłoki przykryte prześcieradłem. Podniósł spojrzenie i dostrzegł stojącą plecami do niego osobę o bardzo długich blond włosach i niezbyt szerokich ramionach. Odwrócił się i popatrzył na twarz zmarłego. Niemożliwe było stwierdzenie, czy to mężczyzna, czy kobieta. Śmierć starła z tej twarzy nie tylko wiek, ale także osobowość seksualną. Był stary czy może stara. Właśnie tak. Woskowy. Trzeba było uwierzyć raz na zawsze, że trupy są z wosku. Łatwiej je było wtedy krajać. Ten nie miał dokładnie zamkniętych oczu i Juan wzdrygnął się na myśl, że jeszcze łzawią. Ale wyostrzony i zatkany wacikami nos, usztywniona żuchwa, zapadłe wargi nie były już ani jego, ani nasze. Śmierć odzierała człowieka z zaimków. To już nie był on czy ona, twój czy mój. Inna ręka, w rękawiczkach, wyciągała ku niemu skalpel.

Pracowali w ciszy. Twarze zakrywały im maski. Pracująca z nim osoba o blond włosach, drobna, ale zdecydowana, lepiej się znała na rzeczy. Wskazywała mu cięcia, które trzeba było zrobić. Była albo był ekspertem. Juan odważył się spojrzeć mu w oczy. Były szare, szarością łupiny orzechów laskowych, pojawiającą się czasem u najpiękniejszych Anglosasów; ten niezwykle kolor towarzyszył prawie zawsze marzycielskim powiekom, niezgłębionym pragnieniom, niestałości, ale także intensywności.

Dotknęli się rękami w rękawiczkach niczym prezerwatywami, rozdzieleni gumą, maskami, fartuchami. Widać było tylko oczy. Teraz Juan Zamora stoi do nas twarzą, odwraca się, by na nas spojrzeć, zrywa maskę, już nie stoi tyłem, odsłania twarz, twarz młodego Metysa o śniadej cerze, mocno wystających, szerokich kościach policzkowych, jego skóra jest w kolorze karmelu, którym polano deser, nierafinowanego cukru, kory cynamonowej, kawy z mlekiem, podbródek delikatny i mocny, dolna warga gruba, czarne spojrzenie powłóczyste. Napotyka ono spojrzenie orzechowszare. Juan Zamora już nie stoi tyłem. Instyktownie, namiętnie spogląda nam prosto w twarz, zbliża swoją do warg tego drugiego, łączy się z nim w pocałunku wyzwolenia, i ten spełniony pocałunek zmywa z niego wszelką niepewność, wszelką samotność, wszelkie bóle i wstydy. Dwaj chłopcy całują się, aby zwyciężyć śmierć, jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej teraz, w tym momencie, wiedzeni nagłym instynktem, drżący, rozpaleni.

5

Jim był dwudziestodwuletnim młodzieńcem, subtelnym i wyrafinowanym, poważnym i pilnym, interesującym się sztuką i polityką. Z tych wszystkich powodów inni studenci nazywali go Lordem Jimem; jego blond włosy, orzechowe oczy, drobne ciało szły w parze z niezłym umięśnieniem, mocnymi kośćmi, szybkimi reakcjami, a nade wszystko sprawnymi rękami i długimi palcami. Będziesz wspaniałym lekarzem, mówił mu Juan Zamora, ale nie z powodu palców i rąk, tylko dzięki powołaniu. Jim był trochę - pragnie nam przekazać Juan mimo oddalenia - jak jego własny ojciec, Gonzalo Zamora, człowiek ofiarny, silny, choć niegodny współczucia.

Ci młodzieńcy o kontrastującym wyglądzie dobrze się prezentowali razem, blondyn i brunet. Najpierw przyciągali uwagę wszystkich w kampusie, później zostali zaakceptowani, a nawet podziwiano ich z powodu czułości, jaką sobie okazywali, i spontaniczności ich związku. Uczuciowo Juan Zamora nareszcie czuł satysfakcję, wreszcie dowiedział się, kim jest, i zarazem był tym zaskoczony. Naprawdę nie miał pojęcia o swoich skłonnościach homoseksualnych i fakt, że realizuje je tak otwarcie z drugim mężczyzną, w sposób tak pełny i namiętny, z tak wielką satysfakcją i zrozumieniem, napełniał go spokojną dumą.

Dalej studiowali i pracowali razem. Ich współżycie miało charakter spontaniczny, tak jakby zło tkwiące w duszy Juana Zamory - strach, że każdy kolejny dzień będzie ostatnim, lub przynajmniej ostatecznym - zmieniło się dzięki Lordowi Jimowi w dobro. Juan nie czuł tego strachu już od wielu tygodni, ani wcześniej, ani później.

Wspólna rozkosz wypełniała dni, nie dopuszczała innych trosk, tych z dawnych czasów.

Pewnego popołudnia, podczas wspólnej sekcji zwłok, Jim zapytał po raz pierwszy Juana o jego studia w Meksyku. Meksykanin odpowiedział, że studiował na uniwersytecie państwowym, ale czasami odwiedzał dawną Szkołę Medyczną przy Płaza de Santo Domingo. Był to piękny kolonialny budynek, niegdyś siedziba Świętej Inkwizycji. To wyjaśnienie spowodowało nerwowy wybuch śmiechu Lorda Jima; pierwszy raz Juan oddalił się od niego w okres nie tylko dawny, ale być może niedostępny i nienawistny dla anglosaskiej duszy. Juan ciągnął dalej:

- Nie było kobiet lekarzy w Meksyku aż do roku 1873, a pierwsza z nich, Matilde Montoya, uzyskała zgodę na dokonanie sekcji tylko przy pustym audytorium i na ubranych zwłokach.

Nerwowy śmiech Jima rozładował nieco napięcie czy oddalenie (alboż to nie to samo?), które zwykła wzmianka o Świętej Inkwizycji wprowadziła w ich wspólne bytowanie. Było to pierwsze wdarcie się przeszłości w związek przeżywany instynktownie przez obu chłopców jedynie w teraźniejszości. Juan Zamora odniósł nieuchwytnie, ale przytłaczające wrażenie, że w tym właśnie momencie otwiera się perspektywa jeszcze bardziej niebezpieczna, perspektywa przyszłości. Powoli okryli prześcieradłem trupa pięknej samobójczyni, o którą nikt się nie upomniął.

Juan Zamora skrupulatnie przestrzegał zasady, by spotykać się z Lordem Jimem zawsze po południu, tak by wrócić na czas do domu Wingate'ów, zjeść z nimi kolację, obejrzeć telewizję, odpowiedzieć na pytania. Reagan właśnie rozpoczynał swoją brudną i tajną wojnę przeciwko Nikaragui i - nie wiadomo dlaczego - zaczynało to drażnić Juana Zamorę. Tarleton natomiast powitał entuzjastycznie decyzję Reagana, wypowiadającego stanowcze „nie” przeciwko marksizmowi w obu Amerykach. Być może to była właśnie przyczyna narastającego chłodu ze strony Charlotte i Tarletona Wingate'ów i trochę komicznego zmieszania ich córki Becky, która była odsyłana do swojego pokoju, ilekroć przychodził Juan, jakby samo jego pojawienie się było zapowiedzią dżumy. Czyżby Juan Zamora wyglądał na partyzanta i sandinistę?

Oczywiście student z Meksyku natychmiast zrozumiał, że pogłoski o jego homoseksualnym związku przeniknęły z Parnasu do suburbiów - w tak małej społeczności to było nieuniknione. Zdecydował się jednak nie iść na ustępstwa, zachowywać się normalnie, czuł, że ten związek to właśnie to, o co chodzi, a jedynymi uprawnionymi do wypowiedzania się na jego temat są tylko on i Jim.

Jim, subtelny i wyczulony, doskonale odbierał wszystkie nastroje Juana, i zdawał sobie sprawę z pewnej niedyspozycji nerwowej swojego kochanka. Wiedział, że nie ma to związku z tym, co się dzieje między nimi. Kiedy leżeli objęci w łóżku Amerykanina, w jednym z pokojów college'u, Juan próbował usprawiedliwić się, że tego popołudnia nie stanął na wysokości zadania, i Jim, głaszcząc go po głowie opartej na jego ramieniu, powiedział mu, że to normalne, zdarza się każdemu. Obydwaj jako przyszli lekarze musieli znać stereotypy funkcjonujące na temat wszelkiej aktywności seksualnej, spod jakiegokolwiek byłaby znaku, od onanizmu, podobno ulubionej rozrywki dorastającej młodzieży, począwszy, na całkowicie naturalnym wykorzystywaniu materiałów pornograficznych przez starszych kończąc. Ale mity na temat homoseksualizmu są najgorsze. Juan rozumiał to. Wingate'owie mogą nie tolerować pary gejów. To nie różnice rasowe czy społeczne ich drażnią. Juan zresztą nigdy nie odgrywał bogacza przed Jimem. Nie wspominał o tym. Jima nie interesowała przeszłość.

Juan chciał pocałować Jima, ale ten wstał raptownie, nagi, wściekły, i powiedział, że to on nie toleruje fałszywego purytanizmu tych ludzi, ich ohydnej maski pseudodobrotliwości i pseudotrwałych, pseudonienaruszalnych, pseudouświęconych zasad w sprawach polityki i seksu. Odwrócił się z gniewem, by spojrzeć na Juana.

-- Czy ty wiesz, co robi właściciel ziemski pan Tarleton Wingate? Pompuje budżety prywatnych przedsiębiorstw handlujących z Pentagonem. Masz pojęcie, za ile sprzedaje pan Wingate jedną miskę klozetową montowaną w samolotach sił powietrznych? Za dwieście tysięcy dolarów. Prawie ćwierć miliona dolarów, żeby się wygodnie wysrać w powietrzu! A kto płaci za te wydatki ministerstwa obrony i daje zarobić przedsiębiorstwu Wingate'a? Ja. Podatnik.

- Ale on mówi, że uwielbia Reagana właśnie za to, że powstrzymuje rząd i obniża podatki...

- Zapytaj pana Wingate'a, czy chce, żeby rząd wstrzymał wydatki na obronę, na ratowanie bankrutujących banków lub dotowanie nieproduktywnych rolników. Zapytaj go o to, ciekawe, co ci odpowie.

- Prawdopodobnie nazwie mnie komunistą.

- To są cynicy. Chcą wolnego rynku wszędzie oprócz przemysłu zbrojeniowego i bankrutujących banków.

Trudno Juanowi Zamorze uznać racje Lorda Jima, zaakceptować coś, co łamie jego zasadę, by dawać się lubić, i zakłóca dobre stosunki z Wingate'ami, a poprzez nich z całym północnoamerykańskim społeczeństwem. Ale te słowa krytyki rzuca jego kochanek, istota, którą on uwielbia najbardziej na świecie, i to rzuca je miażdżąco, rozgniewany, nie zważając nawet na reakcję Juana.

Meksykański student czuł już kiedyś strach przed czymś takim - czymś, co zburzyłoby doskonałą, niemal sterylną bliskość ich obu, samowystarczalność kochanków. Nienawidzi całej reszty, reszty we wszystko wsadzającej nos, okrutnej, nic nie zyskującej na wdarciu się w życie przyjaciół, oprócz jednego - złośliwej satysfakcji z oddalenia ich od siebie. Czy będą mogli znowu rozkoszować się pełnią związku, jak to czynili przed tym incydentem? Juan ufał, że tak, i mnożył próby czułości i lojalności wobec Lorda Jima, liczne małe pieszczoty, okazywał swoje oddanie. Być może ta chęć odbudowania czegoś, co z powodu własnej doskonałości musiało kiedyś pęknąć, była zbyt widoczna.

6

Znowu są razem, w białych maskach na twarzy, w rękawiczkach, przeprowadzają kolejną sekcję, tym razem jakiejś staruszki. Lord Jim prosi Juana, żeby

opowiedział mu jeszcze raz o pałacu Świętej Inkwizycji w Meksyku. Rozśmiesza go myśl, że to samo miejsce raz może służyć do zadawania tortur, a raz znów do niesienia ulgi ludzkim ciałom. Meksykański student odbiega od tematu i opowiada o Plaza de Santo Domingo i dawnej tradycji „ewangelistów”, starców siedzących pod kolumnami przy maszynach do pisania równie starych jak oni, i piszących pod dyktando analfabetów, którzy chcą wysłać listy do swoich rodziców, narzeczonych, przyjaciół.

- Skąd ci ludzie wiedzą, że piszący wiernie przekazują to, co oni im dyktują?

- Nie wiedzą tego. To sprawa wiary.

- Zaufania, Juan.

- Tak.

Jim zdjął maskę i Juan pokazał mu na migi, żeby uważał, trzeba było strzec się, już raz, pierwszy raz, całowali się obok zwłok, trupi jad zabił niejednego nieuważnego lekarza. Jim spojrział na niego dziwnie. Poprosił go, żeby mu powiedział prawdę. O czym? O swojej rodzinie, o swoim domu. Jim wie, co się mówi na uniwersytecie, że Juan jest synem bogatych ludzi, właścicieli ziemskich i tak dalej. Przyjaciel sam nie powiedział mu tego, bo nigdy nie rozmawiali o przeszłości. Teraz Jim prosi go, by wysłał mu mówiony list, tak jakby on, *gringo*, był ewangelistą z placu, a Juan - analfabetą.

- To nieprawda - powiedział Juan znowu odwrócony plecami, ale bez wahania. - To najzwyklejsze kłamstwa. Mieszkamy w dosyć skromnym mieszkaniu. Mój ojciec był bardzo dumnym człowiekiem i zmarł bez grosza przy duszy. Matka zawsze go o to obwiniała. Sama umrze, wi- niąc go za to. Czuję ból i wstydę się za nich oboje. Czuję ból z powodu bezużytecznego morale mojego ojca; nikt tego nie pamięta, nie ceni, a owo morale do niczego się nie przydało. Za to na pewno winszowano by ojcu bogactwa. Wstydę się, że nie kradł, że był biednym głupkiem. Ale jednakowy wstyd czułbym, gdyby był złodziejem. Mój ojciec. Mój biedny, biedny ojciec.

Poczuł ulgę i lekkość. Zawsze był wierny Lordowi Jimowi. Od tej chwili nie będzie ani jednego kłamstwa między nimi. Pomyślał tak i raptem poczuł się niezręcznie. Lord Jim też mógłby być szczery w stosunku do niego, on też.

Wy tłumacz mi, ból i wstyd, jak określasz te uczucia, to coś jak pity i shame po angielsku? - spytał Amerykanin.

Czuję ból z powodu mojej matki, ubolewającej ciągle nad tym, co się nie stało, nad życiem, które musi zaakceptować i które nigdy nie będzie inne. Czuję wstyd z tego powodu, że lituję się nad sobą, masz rację, z powodu okropnego grzechu *selfpity*, nadmiernego uzalania się nad swoim losem bez chwili przerwy. Tak, sądzę, że masz rację. Trzeba mieć w sobie trochę współczucia, żeby ukryć ból i wstyd za innych.

Uściskał rękę Lorda Jima i powiedział, że nie powinni rozmawiać o przeszłości, ponieważ tak dobrze rozumieją się w teraźniejszości. Amerykanin dziwnie na niego spojrział, Juan pomyślał, że patrzy prawie jak martwa kobieta, której oczy nie chciały się zamknąć; obaj ciągle jeszcze przeprowadzali sekcję jej zwłok.

Niezręcznie mi o tym mówić, Juan, ale musimy porozmawiać również o przyszłości.

Meksykański student uczynił mimowolny, ale gwałtowny gest, gest szybki i dramatyczny, choć jakby wielokrotny, podnosząc jedną rękę do ust, niby w błagalnej prośbie o milczenie, a drugą wyciągając przed siebie, by wstrzymać, odepchnąć coś, co nieuchronnie ma nadejść...

Przykro mi, Juan. Naprawdę boli mnie, że muszę ci to powiedzieć. A nawet mi wstyd. Ale rozumiesz, nikt nie jest do końca panem własnego losu.

7

Juan, tym razem dosłownie, odwrócił się plecami do Cornell. Przerwał studia, pożegnał się uprzejmie z Wingate'ami, ci zaś wyglądali na zaskoczonych i zmieszanych. Zadawali mu pytania: dlaczego, czy to ma coś wspólnego z nimi, z tym, jak oni go traktowali - ale w ich spojrzeniach widać było ulgę i skryte przekonanie: to musiało się źle skończyć... Miał nadzieję, że jeszcze ich kiedyś zobaczy. Byłoby mu miło obwieścić ich po hacjendzie konno.

- Odwiedźcie mnie, jeśli wybierzecie się do Meksyku.

Amerykańska rodzina odetchnęła z ulgą, ale jednocześnie czuła się winna. Tarleton i Charlotte wiele razy poruszali ten temat między sobą. Chłopak musiał zauważyć zmianę w ich stosunku do niego, od kiedy zaczął przestawać z Jimem Rowlandsem. Czyżby naruszyli zasady gościnności? Pozwolili, żeby powodowały nimi irracjonalne uprzedzenia? Z pewnością. Ale uprzedzeń trudno się wyzbyć z dnia na dzień, są tak zakorzenione, bardziej realne niż jakakolwiek partia polityczna czy konto bankowe. Czarni, homoseksualiści, biedota, starcy, kobiety, obcokrajowcy... ta litania nie ma końca. Ale Becky, po co narażać ją na zły wpływ skandalizującej znajomości? To jeszcze niewinne dziecko. Niewinność trzeba chronić. Becky słuchała szeptania rodziców, podczas gdy oni byli przekonani, że ogląda „Ulicę Sezamkową”. Starła się zachować poważną minę. Gdybyż tylko wiedzieli! Trzynaście lat, prywatna szkoła. O co im chodzi? Do czego w końcu służą pieniądze? Dzień w dzień w kółko ta sama śpiewka o pokoleniu egoistów, Me Generation, które rości sobie prawo do spełniania wszelkich swoich kaprysów, wszelkich zachcianek, i jedno się tylko liczy - ja. A czyż nie tacy byli jej rodzice? Czy nie odnosili sukcesów, dlatego że byli właśnie tacy? Czego mogą od niej wymagać? Żeby miała mentalność purytanki z epoki polowania na czarownice w Nowej Anglii? A więc dziewczynka zagłębiała się w wydarzenia z ekranu, żeby nie słuchać głosów rodziców, którzy wcale nie chcieli być wysłuchani, i zadawała sobie żenujące ją samą pytanie: jak korzystać ze wszystkiego, robiąc przy tym wrażenie osoby niezwykle moralnej, o wręcz puiytańskich zasadach? Krew łaskotała ją przyjemnie, ciało zmieniało się i Becky była zmartwiona, że nie może znaleźć odpowiedzi. Przytuliła do siebie pluszowego królika i odważyła się go zapytać: a ty rozumiesz coś z tego, Bunny?

Juan, wracając klasą ekonomiczną Eastern Airlines do miasta Meksyk, próbował wyobrazić sobie pośród chmur swoją przyszłość bez Lorda Jima i pogodził się z nią rozgoryczony, przygnębiony, tak jakby przekreślono całe jego życie. To było najgorsze: musieć wpięrow zaakceptować przeszłość, a później przyszłość. To było żalosne - wyjechać właśnie wtedy, gdy kochali się bez zbędnych słów i wyjaśnień, będąc panami tego samego czasu, tej samej przestrzeni, Edenu miłości i młodości, wykluczającego istnienie rodziców, przyjaciół, profesorów, szefów. Ale nie innych kochanków.

Zawieszony w powietrzu Juan Zamora usiłował przypomnieć sobie wszystko, co było dobre i złe, po prostu jeszcze jeden raz, aby później przekreślić to na zawsze, nie myśleć nigdy więcej o tym, co się zdarzyło. Nigdy więcej nie czuć nienawiści, bólu, żalu, wstydu, nie litować się nad przeszłością swych

biednych rodziców. A także nie czuć tego samego - bólu i wstydu - *pity, shame* - w stosunku do siebie czy Lorda Jima, bądź w stosunku do przyszłości, którą obaj mieli przeżyć, rozdzieleni na zawsze, pełnej udręki dla Juana Zamory, szczęśliwej, wygodnej i bezpiecznej dla Lorda Jima. Jego małżeństwo od niepamiętnych czasów, jeszcze przed znajomością z Juanem, było uzgodnione, przygotowane przez rodziny z klasy bogatych fachowców z Seattle, leżącego po drugiej stronie kontynentu, gdzie oczekiwano, że młody lekarz z przyszłością będzie miał żonę, dzieci, bo to budzi szacunek i zaufanie, a co do doświadczeń homoseksualnych, w anglosaskiej tradycji są one akceptowane jako część edukacji dżentelmena, nie ma w Oksfordzie Anglika, który by przez to nie przeszedł - dobre wyjaśnienie na wypadek, gdyby coś wyszło na jaw; Cornell i Seattle są bardzo od siebie daleko, kraj jest ogromny, a miłość krucha i nietrwała...

- My, bogacze, pozwolisz, że zacytuję ci pewnego znanego pisarza, jesteśmy inni niż reszta ludzi - postawił kropkę nad „i” Lord Jim.

Juan tylko raz widział go rozgniewanego, oburzonego hipokryzją Tarletona Wingate'a. Takiego Lorda Jima Juan chciał pamiętać.

Przywarł rozpalonym czołem do lodowatego okienka samolotu i odwrócił się plecami do wszystkiego. Wąwóz Cornell w dole wydawał mu się nieważny, bez znaczenia, nie wzywał go, nie był dla niego.

8

Kiedy cztery lata później państwo Wingate zdecydowali się pojechać na wakacje do Cancun, zatrzymali się w Meksyku, żeby Becky zwiedziła wspaniałe Muzeum Antropologiczne.

Dziewczyna - teraz siedemnastoletnia, raczej dość bezbarwna, choć próbowała naśladować matkę i farbowała włosy na złocisty blond - była bardzo ciekawa świata, a nawet czuła się wyzwolona. Namotała sobie meksykańskiego przyjaciela w holu hotelowym i pojechali razem, by spędzić jeden dzień w Cuernavaca. Chłopak był bardzo namiętny, co jakby przeszkadzało kierowcy, który ich wiozł, facetowi skłonnemu do gniewu i zarazem niepewnemu, próbującemu zrobić wrażenie na turystach szybką jazdą na zakrętach.

To właśnie Becky zachęciła rodziców, aby wpaść bez zapowiedzi do Juana Zamory, meksykańskiego studenta, który mieszkał u nich w 1981 roku. Pamiętacie jeszcze? No pewnie, jak mogliby nie pamiętać! A ponieważ Tarleton i Charlotte Wingate'owie byli wciąż jeszcze trochę zawstydzeni tym, w jakich okolicznościach Juan wyjechał z ich domu, przystali na propozycję córki. Poza tym chłopak sam kiedyś ich przecież zaprosił.

Tarleton zadzwonił do Cornell i poprosił o adres Juana. Uniwersytecki komputer podał mu go natychmiast. Był to jednak adres miejski.

- Ale ja chcę poznać hhhacjendę - powiedziała Becky.

- To musi być jego *town house* - orzekła Charlotte. - Zadzwonimy do niego?

- Nie! - wykrzyknęła Becky. - Lepiej zrobmy mu niespodziankę.

- Jesteś dziś w bardzo fantazyjnym nastroju - zauważył jej ojciec. - Ale zgadzam się. Być może jeśli do niego zadzwonimy, będzie się wykręcał od spotkania. Czuję, że wyjechał od nas urażony.

Ten sam kierowca, który jechał z Becky do Cuernavaca, teraz wiozł ją i jej rodziców. Na twarzy miał kpiący uśmiech. Trzeba ją było widzieć wczoraj, jak obcałowywała się, że aż się kurzyło, z jakimś gównianym indiańskim dupkiem. Teraz ta hipokrytka, udająca osobę o nienaganych manierach, jedzie z parą szacownych jankesów - czasami się zdarzają - w poszukiwaniu nieistniejącego miejsca.

Kolonia Santa Maria? - prawie roześmiał się Leandro Reyes. (Tarleton przeczytał to nazwisko na identyfikatorze kierowcy i zanotował je w pamięci na wszelki wypadek). - Pierwszy raz ktoś mnie prosi, bym go tam zawiózł.

Przejechali nie tylko przez szeroki pas terenów miejskich, falujących, hałaśliwych, przypominających rzekę bez wody pośród rozrzuconych bezładnie kamieni, nie tylko zagłębili się w cuchnącą szumowinę nieprzejrystego powietrza, pokonali wszystkie strefy Meksyku jako Dystryktu Federalnego, nieuporządkowane, pełne chaosu, odwieczne i nieśmiertelne: czas nakładał tu przeszłość na przyszłość, był jak dziecko, które kiedyś zostanie ojcem swojego potomstwa, jak wnuk, który kiedyś będzie jedynym dowodem, że jego dziadek chodził niegdyś tymi ulicami; jechali ciągle na północ, przez Mariano Escobedo do Ejercito Nacional, dalej do mostu Alvarado, do dworca Buenavista, i aż za

San Rafael; zabudowa była tu coraz niższa, coraz mniej pewnie usytuowana między konstrukcją a ruiną - co tu jest nowe, co stare, co rodzi się w tym mieście, co umiera, czy to nie jedno i to samo?

Państwo Wingate spojrzeli po sobie zdziwieni, zdezorientowani.

- Chyba to jakaś pomyłka.

- Nie - odpowiedział szofer. - To tutaj, o, ten blok.

- Byłoby rozsądniej wrócić - oświadczył Tarleton.

- Nie! - prawie krzyknęła Becky. - Skoro już tu jesteśmy!... Umieram z ciekawości.

- W takim razie idź sama - powiedziała jej matka.

Czekali w aucie, przed jasnozielonym budynkiem,

który od dawna prosił się o remont. Miał trzy piętra, bielizna suszyła się na balkonach, na dachu sterczała antena telewizyjna, był też mały sklepik z napojami przy wejściu. Dziewczyna za ladą, w fartuchu i z trwałą ondulacją, wkładała butelki do lodówki. Mały pomarszczony staruszek w słomkowym kapeluszu wychylił się zza drzwi i spojrzał na nich ciekawie. Ze wszystkich stron widniały rowy i wykopy. Przeszedł sprzedawca kukurydzianych tamali, krzyząc: „Tamales, czerwone, zielone, z chili, na słodko, ze słoniną”. Szofer - Leandro Reyes, jak przeczytał Tarleton Wingate na identyfikatorze - mówił bez końca po angielsku o długach, inflacji, kosztach życia, dewaluacji pieniądza, spadku wartości płac, emeryturach, z których nie można żyć, o kompletnej ruinie gospodarczej.

Becky wyszła z budynku i pośpiesznie wsiadła do samochodu.

- Juana nie było. Ale jego matka tak. Wyjrzała przez okno, żeby popatrzeć na samochód. Powiedziała, że od dawna nikt jej nie odwiedzał. U Juana wszystko w porządku. Pracuje w szpitalu. Kazałam jej obiecać, że nie powie mi, że tu byliśmy.

Co noc Juan Zamora ma dokładnie ten sam sen. Czasem chciałby śnić coś innego. Kładzie się, myśląc o czym innym, ale żeby nie wiem jak się wysilał, sen zawsze wraca. A więc pogodził się z tym i zaakceptował tę dominację snu, przemienił go w nieuchronnego towarzysza swoich nocy: sen-ko- chanek, sen miłujący tego, kogo odwiedza, bo nie dający się wypędzić z tego ciała dawnego studenta, a teraz młodego lekarza z opieki społecznej, Juana Zamory.

Powraca noc w noc, zamieszkuje w nim, jego bliźniak, jego sobowtór, jego mitologiczna koszula, którą można rzucić tylko razem ze skórą śniącego, który śni z pewnym zawstyżeniem, a zarazem z wdzięcznością, wstrętem i rozkochaniem; kiedy chce uciec ze snu, robi to, jednocześnie pragnąc gwałtownie być nim owładnięty; kiedy usiłuje zapanować nad snem, pojawia się codzienne życie z gorzkim uśmiechem wszystkich poranków Juana Zamory, przetrzymując go w szpitalach, ambulansach, prosektoriach - całej jego miejskiej geografii. Jako człowiek porwany przez życie i zakładnik snu, Juan Zamora powraca co noc do Cornell i spaceruje, trzymając się za ręce z Lordem Jimem, do mostu nad przepaścią. Jest jesień i drzewa niedługo znów staną się nagie, przypominając czarne iglice: niebo opuściło się nieco niżej, ale wąwóz jest głębszy niż firmament i przyzywa obu młodych kochanków kłamiwą obietnicą: niebo jest tu, w dole, spoczywa do góry dnem, tchnąc chwastami i ugorem, jego powiew jest zielony, jego ramiona mają kolce: trzeba zasłużyć sobie na niebo, oddając mu się, stawiając na głowie teorię mylnie sytuującą raj i wynoszącą go pod chmury: raj, jeśli istnieje, kryje się we wnętrzu ziemi, pragnie nas powitać swym wilgotnym uściskiem, w którym miesza się ciało z gliną, tak, wielka płodna macica miesza się z gliną stworzenia i życie rodzi się i odradza z ogromnej pokoleniowej głębi, nigdy z podniebnej iluzji, nigdy z powietrznych linii, fałszywie łączących Nowy Jork i Meksyk, Atlantyk i Pacyfik, rozdzielających, unicestwiających cudowną jedność kochanków, ich doskonałą obupłciowość, ich syjamską tożsamość, ich piękną nienormalność, ich monstrualną doskonałość, rzucając obu w niezgodne losy, różne horyzonty. Która godzina jest w Seattle, kiedy w Meksyku zapada noc? Dlaczego miasto Jima patrzy wciąż w dyszące morze, a miasto Juana w rozwirowany proch, dlaczego morskie powietrze jest kryształowe, a powietrze wyżynne ma kolor odchodów?

Juan i Jim siadają okrakiem na barierce mostu i patrzą sobie głęboko, aż do samego dna, w oczy, w czarne oczy Meksykanina i szare oczy Amerykanina, nie dotykając się, zatopieni w swoim spojrzeniu, rozumiejąc wszystko, godząc się na wszystko, bez urazy, bez nadziei, zdecydowani jednak, by wszystko stało się,

gdy źródło miłości przemieni się w przeznaczenie miłości, możliwie nierozłączne, choćby życie rozdzielało ich raz po raz.

Patrzają na siebie, uśmiechają się, stają na poręczy mostu, biorą się za ręce i skaczą obaj w otchłań, z zamkniętymi oczami, ale przekonani, że wszystkie pory roku umówiły się, by oglądać ich wspólną śmierć - zima, prosząc zmrożonym pyłem, jesień, rozpaczając nad chwilową śmiercią świata złotym i czerwonym głosem, powolne, leniwe i zielone lato i w końcu kolejna wiosna, już nie ulotna i nieuchwytna, tylko wieczna. Zbocza wąwozu porośnięte różami, miękki, śmiertelny upadek w rosę, skapani w niej, trzymający się za ręce, z zamkniętymi oczami, Lord Jim i Juan, teraz bracia...

10

JUAN ZAMORA - OWSZEM. POPROSIŁ, ŻEBYM OPOWIEDZIAŁ WAM TO WSZYSTKO. CZUJE BÓL, CZUJE WSTYD, ALE MA W SOBIE TAKŻE WSPÓLCZUCIE. ODWRÓCIŁ SIĘ DO NAS TWARZĄ.

GRABIEŻ

Sealtielowi Alatryste

Dionisio „Bachus” Rangel zdobył sławę bardzo młodo, kiedy w programie radiowym „Mali uczeni” bez zająknięcia podał przepis na pueblańską tortillę na szpiku kostnym.

Odkrycie: wiedza kulinarna może być źródłem nie tylko fortuny, ale także wspaniałych uczt, zamieniając konieczność przeżycia w luksus życia. Ten fakt przesądził o karierze Dionisia, choć nie pomógł mu odnaleźć wyższego celu.

Przeistoczenie się zwykłego apetytu w sztukę kulinarną, a następnie w całym popłatny zawód, sprawiła miłość do kuchni meksykańskiej i zarazem pogarda dla innych kuchni, skromniejszych, takich jak na przykład kuchnia Stanów Zjednoczonych Ameryki. Dionisio, nim skończył dwadzieścia lat, podniósł do rangi dogmatu przekonanie, że istnieje tylko pięć wielkich kuchni na świecie: chińska, francuska, włoska, hiszpańska i meksykańska. Inne nacje miały pierwszorzędną tylko poszczególne dania: w Brazylii to była feijoada, w Peru - kura w papryce, w Argentynie - wspaniałe mięsa, w Afryce północnej - kuskus, w Japonii - teriyaki, ale jedynie kuchnia meksykańska była wszechświatem samym w sobie. Od chilorio z Sinaloa, z kawałkami różnych mięs, pokrojonych w kostkę i przyprawionych oregano, sezamem, czosnkiem i chili - po kurczaka w górskich ziołach z Oaxaca, poprzez tamale *uchepos* z młodej kukurydzy z Michoacan, okonia morskiego w pietruszce z rakami z Colima, pulpety nadziewane owocami z San Luis Potosi po tę najwyższą rozkosz, którą jest żółte mole z Oaxaca (dwie duże papryki chili, jeden dojrzały czerwony pomidor, 250 gramów zielonych pomidorków ptysiowych, dwie łyżki kolendry, dwa listki mięty, dwa ziarenka pieprzu), dla Dionisia kuchnia meksykańska była zupełnie odrębną konstelacją, poruszającą się po niebiańskich kopułach podniebienia własnymi trajektoriami, mającą własne planety, satelity, komety, rakiety, i - jak sama przestrzeń - nieskończoną.

Dionisio „Bachus” Rangel, zaproszony wkrótce, aby pisywać w prasie meksykańskiej i zagranicznej, prowadzić zajęcia i wykłady, występować w telewizji, publikować książki kucharskie, w wieku pięćdziesięciu jeden lat był autorytetem kulinarnym, sławnym i dobrze opłacanym, przede wszystkim w kraju,

którym najbardziej pogardzał z racji ubóstwa jego kuchni. Wożony tam i z powrotem po Stanach Zjednoczonych Ameryki (zwłaszcza gdy sukces odniosła powieść Laury Esquivel „Przepiórki w płatkach róży”), Dionisio zdecydował się dźwigać swój krzyż - głosić dobrą kuchnię w kraju niezdolnym do jej zrozumienia ani praktykowania. Znakomite restauracje można było spotkać oczywiście w wielkich miastach, Nowym Jorku, Chicago, San Francisco, Nowy Orlean zaś posiadał tradycję wprost niewytłumaczalną, no, chyba że wyjaśniała ją obecność Francuzów. Ale Dionisio przeciwstawiał najędzniejszą kucharkę z Atlixco, Puebla czy Puerto Escondido, Oaxaca gastronomicznym pustyniom Kansas, Nebraska, Wisconsin, Indiany czy Dakoty, na próżno szukając *espazote*, chili *ajillo*, *huitlacoche* czy *agua de jamaica*...

Tłumaczył przy tym, że bynajmniej nie ma antyjankeskiego nastawienia ani w tym względzie, ani w żadnym innym, chociaż każde dziecko w Meksyku wie, że to właśnie *gringos* w dziewiętnastym wieku ograbili nas z połowy kraju, anektując Kalifornię, Utah, Nevadę, Kolorado, Arizonę, Nowy Meksyk i Teksas. Wspaniałomyślność narodu meksykańskiego, miał w zwyczaju mawiać Dionisio, polega na tym, że nie zachował on za tę ohydłą grabież urazy, choć i owszem, pamięta... Jankesi natomiast ani nie pamiętali o tej wojnie, ani nie wiedzieli, że była niesprawiedliwa. Dionisio nazywał Amerykę Północną Stanami Zjednoczonymi Amnezji. Z humorem rozmyślał czasami nad ironią losu, który sprawił, że Meksyk stracił wszystkie te ziemie w 1848 roku z winy zaniedbania, braku zainteresowania i słabego zaludnienia. Teraz (uśmiechał się łobuzersko ten elegancki, dobrze ubrany, dystygowany, srebrnowłosy pan) zaczęliśmy czynić starania o odzyskanie utraconej ojczyzny dzięki czemuś, co można by nazwać meksykańskim imperializmem chromosomowym. Miliony meksykańskich robotników pracowały w Stanach Zjednoczonych, a trzydzieści milionów ludzi mówiło po hiszpańsku. Ilu Meksykanów natomiast mówiło poprawnie po angielsku? Dionisio znał tylko dwóch, Jorge Castañedę i Carlosa Fuentesę, i dlatego obydwu tych osobników uznawał za podejrzanych. Zachwycający wydawał mu się za to okrzyk, który wydał z siebie z andaluzyjskim akcentem *toreador Cagancho*: „Ja? Po angielsku? Boże broń!” Chodziło o to, że jeżeli jankesi zrobili nas na szaro w 1848 roku, powołując się na swoje „objawione przeznaczenie”, Meksyk odpłacał im teraz pięknym za nadobne, używając do rekonkwisty oddziałów w najwyższym stopniu meksykańskich, czy to pod względem językowym, rasowym, czy kulinarnym.

A sam Rangel jak się porozumiewał ze swoimi anglojęzycznymi słuchaczami z różnych uniwersytetów? Otóż mówiąc z akcentem przejętym od aktora

Gilberta Rolanda, czyli Luisa Alonso urodzonego w Coahuila, i posługując się kalkami językowymi, co zachwycało wszystkich, którzy go słuchali.

- *Let's see if like you snore you sleep.*

- *Beggars can't carry big sticks.*

- *You don't have a mom or a dad or even a little dog to bark at you.*

Wszystko to po to, żeby państwo zrozumieli, z jak mieszanymi uczuciami odbywał Dionisio „Bachus” Rangel dwa razy do roku swoje tournee po uniwersytetach północnoamerykańskich, podczas których przerażenie, że siada się do stołu o piątej po południu, było niczym w porównaniu z grozą tego, co o tej godzinie, o której Meksykanie ledwo wstają od obiadu, podaje się na akademickie stoły. Zazwyczaj bankiet rozpoczynano omdlewającą sałatą, ukoronowaną dżemem truskawkowym; ten smaczek, słyszał to wielokrotnie w Missouri, Ohio i Massachusetts, był doprawdy bardzo wyszukany, *gourmet*. Dalej następował przepisowy kurczak z gumy, niemożliwy do pokrojenia ani do pogryzienia, podawany z twardawą fasolką szparagową i ziemniakami puree, rozkochanymi w smaku torebki, z której je wysypano. Deser imitował ciasto z truskawkami, ale w wersji gąbki toaletowej. Na koniec wodnista kawa pozwalała dojrzeć dno filiżanki i zachwycić się geologicznymi słojami, pozostawionymi przez wlane w nią dziesięć tysięcy porcji trucizny. Sto razy lepiej, powiedział sobie Dionisio, jest pić, udając zadowolenie, lodowatą herbatę, podawaną zawsze i wszędzie - bez smaku, ale przynajmniej z wybornymi plasterkami cytryny. Rangel wysysał je łapczywie, żeby nie dostać kataru w podróży.

Skąpstwo? Brak wyobraźni? Dionisio Rangel podjął decyzję zostania Sherlockiem Holmesem tego, co uchodzi za „kuchnię” w Stanach Zjednoczonych, prowadząc tajne, łatwe i przynoszące satysfakcję dochodzenie w szpitalach, domach wariatów i więzieniach. Co takiego się tam podaje? Sałatę z dżemem truskawkowym, kauczukowego kurczaka, gąbczaste ciasto i przezroczystą kawę. Chodzi więc, konkludował nasz bohater, o jedzenie zinstytucjonalizowane, ogólnie przyjęte, od którego odstępstwa musiały jeżeli nie pozostać na zawsze w pamięci, to przynajmniej zaskoczyć: nauczyciele, więźniowie, szaleńcy i chorzy nadawali ton północnoamerykańskim kartom dań - lub może uniwersytety, domy wariatów, więzienia i szpitale były obsługiwane przez to samo przedsiębiorstwo żywieniowe.

Dionisio, uśmiechając się do siebie podczas golenia po porannej kąpieli - najlepsze pomysły przychodziły mu do głowy o tej właśnie godzinie i przy tej akurat czynności - sformułował w myśli historyczne wyjaśnienie, pokrywając policzek pianką Barbasol. Wielkie kuchnie narodowe powstają wtedy, kiedy wywodzą się z ludu. W Meksyku, Włoszech, Francji albo Hiszpanii można wejść bez obawy do pierwszej lepszej przydrożnej knajpy, do najskromniejszego bistro, do - bardziej zatłoczonej *tavola calda*, mając pewność, że zje się tam coś d Vego. Tc nie bogacze, mówił Rangel tym wszystkim, którzy tylko chcieli go słuchać, kształtują odgórnie kulinarne gusta. To lud, robotnik, wieśniak, rzemieślnik, kierowca ciężarówki wymyślają najbardziej znane dania wielkich kuchni i sprawiają, że stają się one sławne. I robią to przez najwyższy szacunek dla jadła, które mają wziąć do ust.

Cierpliwość, czas, tłumaczył Dionisio w salach wykładowych, stojąc przed bezrozumnym stadem młodzieży żującej gumę, w czapkach baseballowych na głowach. Potrzeba czasu i cierpliwości, żeby przygotować we Francji *lapin faisande*, pozwalając, aby zając popsuł się dokładnie do punktu osiągnięcia swojej najrozkoszniejszej i najsmakowitszej cierpkości (*uch!*); miłości i cierpliwości, żeby zrobić suflet *huitlacoche* w Meksyku, używając czarnej, zrakowaciałej kukurydzy, którą pod innymi szerokościami geograficznymi, gdzie są mniej wyszukane kuchnie, daje się wieprzom (*uff!*).

Skoro zaś nie ma się czasu ani cierpliwości, trzeba usmażyć jajecznicę z kilku jaj pod osłoną *covered waggon*, gdy czerwonoskórzy atakują, a my oczekujemy na przybycie mającej nas uratować kawalerii (*whoopee!*). Dionisio mówił to dziesiątkom naśladowców Beavisa i Buttheada, latoroślom Wayne's Worldu, legionom młodzieńców przekonanych, że bycie idiotą jest najlepszym sposobem, żeby przejść przez życie niezauważonym (w niektórych przypadkach) albo zauważonym (w innych), ale zawsze jako wyznawca anarchicznej wolności i głupiej, choć naturalnej wiedzy, wyzwolonej przez swój własny imbecylizm, bez wszelkich komplikacji czy problemów. Wiedzieć polegało na tym, żeby nie wiedzieć. Była to nieszczęsna lekcja z filmu „Forrest Gump”. Zawsze czekać na to, co zdarzy przypadek...

Skąd mieli wiedzieć następcy Forresta Gumpa, że całe pokolenia zakonnic, babek, nianiek i starych panien były niezbędne, aby jedno miasto meksykańskie, Puebla, posiadało w swej ofercie ponad osiemset przepisów na desery, będące dziełem cierpliwości, tradycji, miłości i wiedzy? Skąd mieli to wiedzieć oni, których najwyższe wyrafinowanie polegało na wierze, że życie - jak pudełko

czekoladek - jest urozmaiconym prefabrykatem, nieszczęsnym protestanckim losem w przebraniu wolnej woli? Beavis i Buttthead, ta para półgłówków, prawdopodobnie załatwiliby wiejskie zakonnice, rzucając w nie tortami, babcie zamknęliby w szafach, skazując je na śmierć z pragnienia i głodu, nianki by zgwałcili. W końcu to prawdziwa przysługa dla samotnych młodych panien.

Studenci Dionisia patrzyli na niego jak na wariata i żeby wyprowadzić biedaka z błędu, zapraszali go czasami do McDonalda po wykładzie w odruchu przyjsia z pomocą potrzebującemu. Jakże mogli zrozumieć, że w Meksyku wieśniak, choćby jadł mało, jada dobrze? Obfitość - to było to, co wysławiali jego jankescy studenci, ukazując swemu dziwnemu meksykańskiemu wykładowcy policzki wypchane przezutymi hamburgerami; brzuszyska - pizzami dorównującymi rozmiarem kołom karety; ręce - sandwiczami grubymi jak słynne kanapki Lorenza vel Dagwooda z komiksu i przechylnymi tak niebezpiecznie, jak wieża w Pizie. (W dziedzinie komiksów też istnieje imperializm. Ameryka Łacińska przejmuje komiksy Ameryki Północnej, ale jankesi nigdy nie wydają naszych: Mafalda, Patoruzu, Los Supersabios, Rodzina Burrón nigdy nie podróżują z południa na północ. Nasza mała zemsta to nadać kastylijskie imiona całej galerii jankeskich funnies. *Jiggs* i *Maggie* przemieniają się w *Pancho* i *Ramone*, *Mutt* i *Jeff* - to *Benitn* i *Eneas*, *Goofy* - to *Tribilrn*, *Minnie Mouse* - to *Myszka Mimr*, *Donald Duck* - to *Kaczor Pascual*, a *Dagwood* i *Blondie* - to *Lorenzo* i *Pepita*. Jednak niedługo nawet tyle wolności nam nie pozostanie, i *Joe Palooka* zawsze będzie *Joem Palooką*, a nie *przechrzczone* *Pancho Tronerą*.)

Obfitość, społeczeństwo obfitości. Dionisio Rangel chce być naprawdę szczerzy i móc wyznać wam, że nie jest ani ascetą, ani moralistą. Jak może nim być sybaryta, tak zmysłowo jak on rozkoszujący się *clémole* w sosie rzodkiewkowym? Ale jego niepokoje kulinarne, jakże wyrafinowane, mają także inny aspekt - prostacki, zachłanny, czemu biedny znawca sztuki kulinarnej nie czuje się winny, bo jest za ledwie - i błaga was o zrozumienie - bierną ofiarą konsumpcyjnego społeczeństwa Ameryki Północnej.

Tłumaczy z naciskiem: to nie jego wina. Jak umknąć, choćby tylko przez dwa miesiące w roku w Stanach Zjednoczonych, tego, że gdziekolwiek się zamieszka - w hotelu, motelu, domu prywatnym, klubie, garsonierze lub, w wyjątkowym przypadku, w przyczepie samochodowej - miejsca te w mgnieniu oka zapełniają się pocztą elektroniczną, kuponami, wszelkiego rodzaju ofertami sprzedaży, obietnicami, że wygrało się wycieczkę na Wyspy Karaibskie, nieza-

mawianymi subskrypcjami, stertami gazet, czasopism specjalistycznych, katalogów firm L. L. Bean, Sears i Neiman-Marcus?

W odpowiedzi na tę lawinę papierów, pomnożonych jeszcze o całe tysiące wraz z nastaniem systemu elektronicznego e-mail, namów i fałszywych pokus, Dionisio postanowił porzucić rolę biernego ich odbiorcy i przyjąć inną - aktywnego nadawcy. Zamiast być ofiarą lawiny, zdecydował się kupić górę. To znaczy postanowił nabyć wszystko to, na co namawiały go reklamy telewizyjne: niskokaloryczne mleko w proszku, segregatory do dokumentów, niepowtarzalne CD z najlepszymi piosenkami Pata Boone'a i Rosemary Clooney, ilustrowaną historię drugiej wojny światowej, niezwykle skomplikowane aparaty do wzmacniania i/albo rozwijania mięśni, pamiątkowe talerze z okazji rocznicy śmierci Elvisa Presleya albo ślubu Karola i Diany, okolicznościowy kubek upamiętniający dwusetną rocznicę niepodległości, serwis do herbaty, imitujący porcelanę Wedgwooda, okazyjne bilety dla częstego pasażera wszystkich linii lotniczych, końcówki wyprzedazy z dnia urodzin Lincolna i Waszyngtona, biżuterię - pierścionki, spinki, kolie, dalej kasety wideo z ćwiczeniami wykonywanymi przez Cathy Lee Crosby, wszelkie możliwe karty kredytowe, wszystko, wszystko, co jest absolutnie nieodparte, godne posiadania, nawet magiczne proszki, które potrafią sprać dosłownie każde zabrudzenie, także plamę pozostawioną przez pu-blańskie *mole*.

Istniały oczywiście sekretne powody tej nabywczej łapczywości. Jednym było przekonanie, że jeżeli on zaakceptuje, aktywnie i hojnie, to, co Stany Zjednoczone mu oferują - diety odchudzające, proszki do prania, piosenki z lat pięćdziesiątych - Stany Zjednoczone w końcu zaakceptują to, co on ma im do ofiarowania - cierpliwość i wyrafinowany smak, żeby przygotować porządną marynatę. Drugim powodem była chęć zemsty za nagrody, które Dionisio zbierał w różnych konkursach telewizyjnych - tym razem oczywiście w sposób bierny. Jego nieskończona erudycja kulinarna ułatwiała mu branie udziału w quizach i wygrywanie ich - nie tylko w dziedzinie gastronomii, ale i wszystkich pozostałych.

Kuchnia i seks to dwie przyjemności niezastąpione, kuchnia nawet bardziej niż seks, bo można jeść, nie kochając, ale nie można kochać, nie jedząc, i ten, który wie wszystko o podniebieniu i podniebnych kulinariach, wie w ogóle wszystko - pocałunek czy *chilpachole* z krabów wymagają wiedzy historycznej, przyrodniczej, a nawet politycznej. Gdzie narodził się koktajl alkoholowy? W Campeche, wśród angielskich marynarzy mieszających swoje trunki z miejsco-

wą przyprawą zwaną *cola degallo*. Kto sprawił, że czekolada stała się sławnym napojem, zaakceptowanym w najlepszym towarzystwie? Ludwik XIV w Wersalu po dwóch wiekach uznawania tego azteckiego napoju za gorzką truciznę. Dlaczego w dawnej Rosji zabroniona była przez Kościół prawosławny uprawa ziemniaków? Dlatego że nie były one wzmiankowane w Biblii, musiały zatem być produktem diabelskim. I tu popi mieli rację, ziemniaki są surowcem do produkcji diabelskiej wódki.

Prawdę mówiąc, Rangel brał udział w tego rodzaju cyrkach bardziej po to, by stać się znanym szerszej publiczności, aniżeli po to, żeby wygrywać prakki automatyczne, odkurzacze i - *mirabile visu* - podróże do Acapulco, którymi jego sukcesy również bywały nagradzane.

Poza tym należało w końcu czymś wypełnić czas.

Opływający w bogactwa Zorro, mężczyzna interesujący, dojrzały i elegancki, Dionisio „Bachus” Rangel, był w wieku pięćdziesięciu jeden lat w pewnej mierze kopią kinowego stereotypu, reprezentowanego w meksykańskim kinie przez nudziarza (w pełnym znaczeniu tego słowa) Artura de Córdovę (marmurowe schody i plastikowe zamki jako tło do neurotycznych amatorów z niewinnymi piętnastolatkami i ich matkami-mściwymi czterdziestkami, amatorów sprowadzonych do właściwego wymiaru pamiętnym, lapidarnym zdaniem owego galanta w jesieni wieku: „To nie ma najmniejszego znaczenia”). Dionisio, z nieco większą wyrozumiałością dla samego siebie, przeglądając się w lustrze każdego ranka podczas golenia (Barbasol, dobre pomysły), mówił sobie, że niczego nie zazdrości Vittorio De Sice, który wycofał się z kina białych telefonów i atlasowych prześcieradeł w faszystowskich Włoszech, żeby zostać później największym reżyserem neorealizmu małych czyścibutów, złodziei rowerów i staruszków, mających za jedyne towarzystwo psa. Ale za to jaki De Sica był przystojny, jaki elegancki, zawsze otoczony Ginami, Sofiami i Claudiami! Do tej właśnie sumy doświadczeń, kryjącej się za gładkością pozorów, aspirował nasz rodak Dionisio „Bachus” Rangel, w miarę jak gromadził wszystkie swoje północnoamerykańskie produkty w podmiejskim składzie granicznego miasta San Diego w Kalifornii.

Tyle że dziewczęta nie przybiegały spontanicznie do gwiazdora w jesieni wieku. Jego styl zbyt kontrastował ze stylem młodych dziewcząt. Dionisio, patrząc w lustro (z nałożoną na twarz pianką Barbasol, tym razem bez dobrych pomysłów), godził się z tym, że po przekroczeniu pewnego wieku gwiazdor po-

winien być ostrożny, elegancki, spokojny, żeby nie stać się pośmiewiskiem większym niż podstarzały donżuan, Fernando Rey z „Viridiany”, umiejący pojąć dziewczę, tylko jeżeli wprawdzie je odurzy i zagra im „Mesjasza” Haendla.

- *Unhandel me, sire.*

Dlatego w swoich tournée po uniwersytetach i studiach telewizyjnych Ameryki Północnej Dionisio musiał spędzić wiele samotnych godzin, zużywając czas na melancholijne, ulotne rozmyślenia. Kalifornię uważał za fatalną strefę operacyjną i był taki okres, kiedy spędził wiele beczynnych godzin w Los Angeles, przyglądając się, jak systemem autostrad przejeżdżają samochody w tym mieście zaprojektowanym bez głowy, i wyobrażając sobie, że oto patrzy na współczesną wersję średniowiecznego pojedynku, w której każdy kierowca jest rycerzem bez skazy, a każdy samochód koniem w ryzostunku bojowym. Ale ta pełna skupienia obserwacja skończyła się wzbudzeniem podejrzeń policji, która w końcu zatrzymała naszego dżentelmena za włóczenie się w pobliżu autostrad. Czyżby był terrorystą?

Północnoamerykańskie dziwactwa przyciągały jego uwagę, z zadowoleniem odkrywał, że pod stereotypami głoszącymi mit jednorodnego zrobotyzowanego społeczeństwa, bez osobowości kulinarnej (w co niezachwianie wierzył) burzył się świat złożony z wielu form, ekscentryczny, quasi-średniowieczny w swoim fermentie, trawiącym porządek narzucony, niegdyś przez Rzym i Kościół, dzisiaj przez Waszyngton i Biały Dom. Jak bowiem może istnieć prawdziwy porządek w kraju pełnym szaleńców religijnych, którzy twierdzą z uporem, że to wiara, a nie skalpel wystarcza, by wyleczyć raka płuc? Jak może on istnieć w kraju pełnym ludzi, którzy boją się podnieść wzrok na inne osoby na ulicy, bo te mogłyby okazać się wyznawcami jakiejś scjentologicznej sekty, uzurpującymi sobie prawo zabicia nas, jeżeli nie przystąpimy z nimi do ich komunii, mordercami zwolnionymi z zakładów dla psychicznie chorych i przepelnionych więzień, homoseksualistami pragnącymi zemsty, uzbrojonymi w strzykawki zarażone wirusem HIV, neonazistami o wygolonych głowach gotowymi poderżnąć gardło każdemu o trochę ciemniejszym odcieniu skóry, anarchistycznymi bojówkami, co chcą skończyć z rządem wysadzając w powietrze urzędowe budynki, wyrostkami z gangów lepiej uzbrojonymi niż policja dzięki konstytucyjnemu prawu do posiadania broni i, co za tym idzie, rozwalenia głowy dzieciakowi z sąsiedztwa.

Przemykając się ulicami Ameryki, Dionisio z zadowoleniem nadawał jednemu tylko krajowi miano całego kontynentu, myśląc usatysfakcjonowany, że istnieją kraje z własną historią i obliczem (jak Meksyk, Argentyna, Brazylia, Peru, Nikaragua...). „Stany Zjednoczone Ameryki” to tak jakby nazywać się, powiedział jego przyjaciel historyk Daniel Cosro Villegas, „pijaczyna spod sklepu” lub, rozważał już sam Dionisio, ograniczyć się do zwykłej wskazówki, na przykład: „trzecie piętro po prawej” - w zamian za rodowód, umiejscowienie w czasie i przestrzeni...

Dobry Meksykanin Dionisio przyznawał jankesom całą władzę nad światem, odmawiając im jednak wyższej kultury. Meksyk posiadał ją, za pewną cenę oczywiście, za cenę przepastnej nierówności społecznej i niesprawiedliwości, miał formy i maniery, które potwierdzały jego arystokratyczną kulturę. Wysepka tradycji smagana falami i coraz częściej zatapiała przez burzę wulgarności i tandety, gorszych jeszcze niż reprezentowane przez zwykłego Amerykanina ze Stanów Zjednoczonych. Ale w Meksyku nawet bandyta był dobrze wychowany, nawet analfabeta - wykształcony, nawet dziecko mówiło „dzień dobry”, nawet służąca potrafiła przejść się z wdziękiem, nawet polityk umiał zachować się jak dama, nawet dama umiała zachować się jak polityk, nawet kalecy byli akrobatami i nawet rewolucjoniści mieli dość dobrego smaku, aby wierzyć w Matkę Boską z Guadalupe.

Nic nie było w stanie pocieszyć Dionisia pięćdziesiątka w coraz bardziej samotnych, coraz dłuższych godzinach, kiedy kończyły się zajęcia, wykłady, dziewczyny szły do domów, a on musiał wracać do hotelu, do motelu czy do klubu...

Być może to właśnie te dziwaczne miejsca skłoniły Dionisia „Bachusa” Rangela do wynalezienia zupełnie nowego sposobu spędzania wolnego czasu w Kalifornii. Tygodniami wysiadywał w pobliżu lokali, które tak bezlitośnie wystawiały na próbę jego cierpliwość i dobry smak - McDonalda, Kentucky Fried Chicken, Pizza Hut i (och! najgorsza ohyda!) Taco Bell - by liczyć grubaski i grubasów wchodzących i wychodzących z tych katedr złego jedzenia. Dionisio przybył uzbrojony w statystyki. W Stanach Zjednoczonych żyje czterdzieści milionów osób otyłych, procentowo więcej niż w jakimkolwiek innym kraju. Były to grubasy, prawdziwe grubasy - cielisto-różowe zwały sadła, dusze zagubione pośród masy tłuszczu, aż stawały się charakterystycznie niewidoczne; to samo działo się z takimi narządami, jak oczy, nos, usta i sam seks. Dionisio patrzył na przechodzącą obok niego trzy-stufuntową grubaskę i zadawał sobie pytanie,

gdzie może znajdować się rowek jej przyjemności, jak dotrzeć pośród ogromu jej ud i pośladków do świętotworu jej libido. Czy odważyłyby się niczym macho poprosić: „Kochanie, pierdnij, żebym się zorientował”? Dionisio sam się roześmiał ze swojej wulgarności, słynnej i wybaczonej z tej racji, że każdy hiszpański arystokrata coś tam zawdzięcza skatologii największego poety piszącego po hiszpańsku, którym był Don Francisco de Quevedo y Villegas. Quevedo wiąże naszego ducha z ekskrementami: obrócimy się w proch, lecz w proch rozkochany. To nas usprawiedliwia i możemy używać do woli ziemskich rozkoszy, które podsuwa nam życie, i wysławiać, tak jak to robił Quevedo w siedemnastym wieku, a potem nikt aż do Kundery w wieku dwudziestym, wdzięki i sromoty małej dziurki w dupie.

Oglądana przez Dionisia procesja o wiele więcej zawdzięczała jednak Fernandowi Botero i jego opływającym w tłuszcz zastępom ogromnych dworów, których Rubens nie zdołałby sobie nawet wyobrazić, otyłych księży, napompowanych dzieci, generałów bliskich rozpęknięcia... Czterdzieści milionów jankeskich grubasów! Czy to tylko rezultat złego odżywiania? Dlaczego pełno ich jest tylko w Stanach Zjednoczonych, a nie w Hiszpanii, Meksyku, we Włoszech, mimo że to stamtąd pochodzą butifarra, tamale i spaghetti? We wnętrzu każdego z przechodzących brzuchaczy Dionisio domyślał się milionów foliowych torebek, zazdrośnie skrywających w próżni poprzedzającej pełnię miliardy frytek i ziaren prażonej kukurydzy, orzechowych batoników oblewanych czekoladą, chrupiek i chipsów, gór trójkolorowych lodów, zwieńczonych orzeszkami arachidowymi i gorącym karmelem, hamburgerów twardych i cienkich jak podsza buta, zrobionych z psiego mięsa, ale serwowanych w podłużnej trumnie białej bułki, tego mdłego narodowego opłatka Ameryki, ubabranego ketchupem (to jest krew moja) i opływającego tłuszczem (to jest ciało moje)... Pośladki jak gąbka, spocone, blade dłonie, zaczerwieniona skóra, powstrzymująca wzbierające masy ropy, krwi i łusek cholesterolu... - widział, jak to wszystko przed nim przepływa.

A jednak, w sposób perwersyjny i niewytłumaczalny, Dionisio „Bachus” Rangel, widząc wieloosobowy przemarsz grubasek, zaczął czuć pewne podniecenie seksualne, porównywalne z tym pierwszym, słodkim, nieprzewidywalnym, alarmującym, z czasów, gdy miał trzynaście lat. Nie, nie chodzi o pierwszą masturbację, dokonaną już w sposób świadomy i racjonalny, ale o samo przebudzenie seksualne, zadziwiające, nieznane do chwili pojawienia się...

Pierwsza sperma, wylana przez młodzieńca, w którym w tym właśnie momencie rodził się pierwszy mężczyzna, Adam. Ma-da. Ma spermę. Da życie.

To uczucie wzburzyło głęboko samotnie podróżującego smakosza. Cóż, w Meksyku nie brakowało dystygowanych pań w wieku lat pięćdziesięciu, a nawet czterdziestu, gotowych towarzyszyć mu przy obiedzie w „Bellinghausen”, kolacji w „El Estoril”, wysłuchać razem z nim koncertu na festiwalu, który zorganizowała Francesca Saldívar w Centrum Historycznym, albo pójść na wykład jego dwóch dawnych kolegów równolatków, tych z programu „Mali uczeni”, Jose Emilia Pacheco i Carlosa Monsivaisa. Tak. Niektóre z tych pań zgodziłyby się z radością pójść z nim potem do łóżka, ale było zbyt późno, żeby nauczyć się ich upodobań albo nauczyć je upodobań Dionisia. Tak, nie musiały wiedzieć, że nic nie podnieca go bardziej niż kobieca ręka głaszcząca jego kark, ani on nie musiał wiedzieć, która z nich lubi, kiedy jej się ssie sutki, a która nie, bo jej to sprawia ból - och! Śmierć przyjaciela Dionisia, ekwadorskiego powieściopisarza Marcela Chiribogi, eksperta w uprawianiu miłości z grubaskami, pozbawiła naszego smakosza przyjemności porównania własnych uwag z uwagami tego mądrego, nieznanego i nader zmysłowego pisarza, który teraz przed obliczem Pana powtarzał znane powiedzenie mieszkańców dawnej stolicy Inków, zdobytej przez Sebastiana de Belalcázara: „Na ziemi Quito, a w niebie mała dziurka, aby patrzeć na Quito...”. Teraz Dionisio chciałby mieć taką choćby najmniejszą dziurkę, żeby zobaczyć dziurkę jakiejś grubaski.

Procesja tłusciosek wywarła na nim wrażenie szczególne i najzupełniej nowe. Wyobrażał sobie siebie w ramionach jednej z tych ogromnych kobiet, zagubionego w rozłożystościach i przepastnych obszarach, porównywalnych z nieogarnionymi połaciami lasu, porośniętego wachlarzami mięsistych paproci, pośród których szukał tajemnych klejnotów, diamentowych wypukłości, ukrytych atlasów i perłowych gładkości, niemal nieosiągalnych soków grubasek. Lecz Dionisio, właśnie dlatego, że był sobą (meksykańskim dżentelmenem, dyskretnym, eleganckim i powszechnie znanym), nie odważył się zrealizować ipso facto impulsu swego ciała - chęci zbliżenia się do otyłego obiektu pożądania i uczynienia propozycji - gdyż nie wiedział, czy narazi się na policzek, czy też otrzyma przyzwolenie. Policzek, choćby najgłośniejszy, wydawał mu się jednak mniej bolesny niż właśnie przyzwolenie na późną miłość - nigdy dotąd bowiem nie kochał się z żadną grubaską, nie wiedział, jak się z taką osobą obchodzić, co jej mówić, a czego nie mówić, nie znał protokołu erotycznego bardzo otyłych kobiet. Jak miały na przykład zaproponować im coś do jedzenia,

nie obrażając ich jednocześnie? Jakich żartów oczekuje grubaska? Które z nich nie dotknęłyby jej czy do głębi nie uraziły? (Odzywka: „chodź tu, moje maleństwo, masz takie piękne oczka” byłaby obraźliwym zdrobnieniem, a: „masz takie wielkie oczyska, takie wspaniałe cyce” - zgrubieniem całkowicie *verboten*). Dionisio bał się zatracić swoją naturalność - a w rezultacie skuteczność - pogodził się więc z myślą, że nie zaczepi żadnej tłściochy wychodzącej z Kentucky Fried Chicken, ale sama obfitość kobiet po raz pierwszy pożądaných doprowadziła go poprzez nasuwające się skojarzenia do rozmyślań o jedzeniu i rekompensowaniu sobie niemożliwości erotycznej możliwościami kulinarnymi, o skonsumowaniu tego, czego nie da się skonsumować...

Znajdował się w jednym z centrów handlowych na północy San Diego. Poszukał na planie restauracji wydającej mu się najmniej podejrzaną. „O Sole Mio” zapewniało mu spaghetti ugotowane przed tygodniem i zalane Wezuwiuszem sosu pomidorowego. „Chez Montmartre” obiecywało koszarne jedzenie i wyniosłych kelnerów. „Viva Villa” skazywało go na najpodlejszego teksmeksaz wąsiskami. Zdecydował się w końcu na „American Grill”, gdzie podawano przynajmniej doskonałą Krwawą Mary. Lokal wyglądał na czysty, był nawet zbyt lśniący poprzez nadmiar chromowanych stołów i skórzanych foteli, niklowany bar i cały szereg luster, ot, rtęciowy labirynt, tak w istocie zaprojektowany, żeby każdy z gości, jeżeli tego zapragnie, mógł oglądać własne odbicie, nie przestając patrzeć na swojego towarzysza, albo przyglądać się cały czas sobie samemu, żeby zrekompensować tym nudne ubóstwo jedzenia.

Dionisio usiadł, a przystojny blond młodzieniec, ubrany jak lokaj z końca ubiegłego wieku, podał mu kartę. Dionisio wybrał miejsce oddalone, z widokiem na tor wrotkowy, ale za chwilę przy stoliku obok pojawiło się dwóch starszków, zgarbionych, choć energicznych, skłonnych do gniewu, porywczych, w czapkach z kraciatym lnu, białych swetrach z wycięciem w serek i w niebieskich spodniach. Starszkwowie usiedli, hałasując i szurając sportowymi butami marki Nike.

- A więc na początek... - Dionisio zajrzał do karty.
- Daj mi dowód - zażądał jeden z zapalczywych starszków.
- Wcale nie muszę. Wiesz, że to nieprawda - odpowiedział jego towarzysz.
- ...koktajl z owoców morza.
- Nic nie zarobiłeś na tym interesie.

- Nie wiem, dlaczego jeszcze prowadzę z tobą tę dyskusję, George.
- Nie, bez sosu. Tylko z cytryną.
- Uprzedzałem cię, że się rujnujesz.
- Już ci mówiłem, już raz ci to mówiłem i jeszcze raz ci to powiem: nie potrafisz zmienić śpiewki.
- Jaka jest zupa dnia?
- Ty nic nie wiesz.
- Ja o tym wiedziałem od samego początku, Nathan. Uprzedzałem cię.
- *Viçhyssoise*.
- Mówię ci, że nic nie wiesz.
- Nic nie wiem? A ty, czy wiesz, że połowa floty handlowej zatonała podczas drugiej wojny światowej?
- Udowodnij to. Chyba że wszystko wymyśliłeś.
- Potem stek.
- Chcesz się założyć?
- Oczywiście. Zawsze wygrywam zakłady z tobą. Jesteś nieukiem, George.
- Raczej średnio.
- Czy ty wiesz, co to jest grawitacja?
- Nie, i ty też nie.
- To siła przyciągania.
- Nie, bez zieleniny. Sam stek.
- No to powiedz, czy nad morzem jest grawitacja?
- Nie, jest zerowa.
- Ależ głęboka wiedza! Nie można cię oszukać.
- Załóż się ze mną, o co chcesz.

- Zakład, Nathan.
- Nie, chłopcze, nie lubię pieczonych ziemniaków ani ze śmietaną, ani bez.
- Tak czy owak, są wliczone w cenę.
- Niech będą wliczone, ale proszę mi ich nie podawać.
- Wyrzucą mnie, jeżeli nie podam pieczonych ziemniaków, takie są przepisy.
- Dobra, niech będzie, proszę je podać oddzielnie.
- W każdym razie będzie pan musiał za nie zapłacić. Danie kosztuje dwadzieścia dwa dolary dziewięćdziesiąt centów, z ziemniakami czy bez.
- Niech będzie.
- George, ty wiesz wszystkiego po trochu, ale nie wiesz nic, co miałoby jakkolwiek wartość.
- Wiem, kiedy jakiś interes jest zły i prowadzi do bankructwa, Nathan. Nie możesz zaprzeczyć, że to wiem.
- W takim razie ja nie wiem nic, ale za to jestem dobrze wychowany.
- Fakty, fakty, Nathan.
- Słuchasz mnie?
- Słucham, i to cierpliwie.
- Nie wiem, po co ciągniemy tę rozmowę, ty i ja.
- I z zieloną sałatą.
- Na zakończenie?
- Tak, chłopcze, sałatę je się na końcu.
- Jest pan cudzoziemcem?
- Tak, jestem cudzoziemcem, dziwakiem o bardzo nietypowych upodobaniach; jednym z nich jest to, że jem sałatę na końcu.
- My, w Ameryce, jemy na początku, to jest normalne.

- Słuchasz mnie, George?

- Podaj mi fakty, Nathan.

- A czy ty wiesz, że kwota rocznych dochodów przemysłu wydawniczego w Ameryce równa się kwocie rocznych dochodów przemysłu masarskiego? Wiedziałeś o tym?

- Skąd znowu wzięłeś tę informację? I chyba tylko po to, żeby mnie obrazić.

- Od kiedy to jesteś wydawcą książek?

- Jestem producentem kielbasy i ty dobrze o tym wiesz, Nathan.

- Na deser bezę cytrynową. To wszystko.

- Chcesz się założyć?

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Przedstaw mi dowody.

- Ty nic nie rozumiesz.

- Nie rozumiem,, dlaczego ciągle jeszcze jemy razem ten obiad...

- Załóż się.

- Mam się założyć, że jest grawitacja na Księżycu?

- Fakty, fakty.

- Powiedziałem ci, że ten interes z pewnością cię zrujnuje... Jesteś bankrutem, George.

Temu, który miał na imię George, wyrwał się szloch, chrapliwy, głośny, nie mający nic wspólnego z jego niewzruszonym obliczem.

Nie ma takiej fascynacji, która nie zawierałaby odrobiny odrazy; jesteśmy skłóceni sami ze sobą, kiedy pozwalamy się oczarować oku Meduzy; ale w wypadku tych podstarzałych choleryków, suchych, łysych, o wielkich nosach, artretycznych, uzbrojonych fallicznie w niezapalone cygara - palenie wzbronione - odraza zwyciężyła fascynację i Dionisio niecierpliwie zaczął manipulować przy butelce z sosem, obchodząc się z nią coraz bardziej nerwowo, w miarę jak pro-

wadząca w ślepy zaułek debata między George'em i Nathanem przeciągała się. Obaj starcy gadali bez wytchnienia. Meksykański znawca sztuki kulinarnej, aby uciec od George'a i Nathana, zaczął myśleć o kobietach i zarazem pocierać butelkę, przyglądając się znajomym etykietkom meksykańskiego sosu, z chili *jalapeño*. Nagle butelka raptownie, magiczną siłą odkorkowana od wewnątrz, wybuchnęła jak wulkan, który rozrywa starą skorupę swojego krateru i kolejny raz wymiotuje lawą.

Tylko że z butelki *jalapeño* nie wytrysnął sam sos, lecz mały człowieczek, maleńki, ale o wyraźnych rysach meksykańskiego wieśniaka, w kapeluszu z szerokim rondem, jakie noszą *marichis*, i z długimi wąsikami a la Zapata.

- Szefie - powiedział odsłaniając szczeciniastą czuprynę - wybawiłeś mnie z rocznego zamknięcia. Żaden *gringo* mnie nie otwierał. Dziękuję ci! Rozkazuj mi, a stanie się według twojej woli! - zakończył meksykański wieśniaczek, gładząc pistolet przywieszony u biodra.

Dionisio „Bachus” Rangel przypomniał sobie żart o rozbitku, który przez dziesięć lat mieszkał na bezludnej wyspie; pewnego dnia uwolnił dzinna z butelki, a kiedy ten powiedział mu, że może poprosić, o co tylko zechce, rozbitek poprosił o jakąś przyzwoitą babkę, po chwili zaś pojawiła się Matka Teresa.

Dionisio zdecydował się zaufać wieśniaczkowi z butelki, zresztą wypisz wymaluj przypominającemu Charro Matiasa z kreskówki Abla Quezady.

- Chciałbym kobietę. Nie, nie jedną, wiele.

- Ile? - zapytał meksykański wieśniaczek, gotów widocznie sprowadzić harem, jeżeli byłoby to konieczne.

- Jedną do każdego dania, które zamówiłem - wyjaśnił Dionisio.

- Razem z daniem, panie, czy zamiast dania?

- To już pozostawiam tobie - odparł z pewną dezynwolturą, przyzwyczajony już do różnych niezwykłości ten meksykański obieżyświat, który jest, był i będzie naszym protagonistą, Dionisio „Bachus” Rangel. - Jako danie, z daniem...

Wieśniaczek zrobił kilka tanecznych kroków, wystrzelił raz w powietrze i zniknął. Zamiast niego pojawił się w tej samej chwili kelner z koktajlem z owoców morza i szczupłą kobietą obok, właściwie wychudzoną aż do głodu, o ciemnych prostych włosach, z grzywką; kobieta przypominała narzeczoną Po-

peyego albo modelki Modiglianiego, stanowiła całkowite przeciwieństwo grubasek, o których perwersyjnie marzył Dionisio; trzymała coca-cola light, piła ją łyżeczką, spoglądając na Dionisia oczami znudzonymi, ironicznymi i zmęczonymi zarazem. Tymi samymi znudzonymi oczami, które rozglądały się po „Grillu”, podczas gdy sama kobieta pytała zdaniem dłuższym niż Missisipi, co on tutaj robi i z kim jest. Odpowiedział jej, że zamówił kobietę u dżinna z butelki. Nie udało mu się zadziwić przybyłej. Powstrzymując ziewanie, cierpiąca na anoreksję jankeska oznajmiła mu, że ona poprosiła o to samo. Nie ma gorszego losu niż dzielenie losu kogoś innego. Ona prosiła o mężczyznę, uśmiechnęła się z ogromnym zmęczeniem, z nieskończonym głodem, pozwalając, aby los wybrał za nią, bo kiedy ona wybiera, zawsze wybiera źle, a więc niech kto inny to zrobi za nią; jest dyspozycyjna, w stu procentach dyspozycyjna.

- Jestem bardzo złą kochanką - oświadczyła prawie z dumą. - Uprzedzam cię. Ale nigdy nie czuję się winna. Winny jest zawsze mężczyzna.

- To prawda - odparł mężczyzna. - Nie ma zimnych kobiet, są tylko mężczyźni impotenci.

- Albo entuzjaści - wymamrotała chuda. - Nie toleruję entuzjazmu. Pozbawia miłość wszelkiej szczerości. Ale szczerości także nie toleruję. Uznaję tylko mężczyzn, którzy kłamią. To jedyna tajemnica miłości - kłamstwo.

Ziewnęła i powiedziała, że będą musieli odłożyć na później swoje seksualne rendez-vous.

- Dlaczego?

- Bo potrzebuję seksu tylko po to, żeby później móc wymazać wszelki ślad partnera seksualnego. To wszystko jest bardzo męczące.

Dionisio wyciągnął rękę, żeby dotknąć dłoni chudej kobiety. Ona odsunęła ją z obrzydzeniem i zaśmiała się kabaretowym śmiechem.

- Jaka jesteś prywatnie, kiedy nikt cię nie widzi? - zapytał kobietę Meksykanin, a ona wyszczerzyła kły, wypiła łyżeczkę coca-coli i znikła.

Zniknął już także koktajl z owoców morza. Przez chwilę Dionisio zastanawiał się, czy jadł, prowadząc rozmowę z cierpiącą na anoreksję mieszkanką Nowego Jorku (musiała być z Nowego Jorku, była femme fatale zbyt wulgarną, zbyt przewidywalną, jak na Kalifornię; w Nowym Jorku ironia, nuda i zmęczenie mają przynajmniej podstawy literackie, a nie są produktem klimatu), albo

czy, sądząc, że spożywa koktajl z owoców morza, zjadł jankeskę, która z taką premedytacją starała się uniknąć spojrzenia mu w oczy. Żeby nie zostać odkrytą, odgadniętą, przejrzaną? Nie mógł oprzeć się ciekawości, czy jadł w jej obecności, czy jadł ją, i czy wszystko mogło się skończyć - zadrzał z rozkoszy - obopólnym kulinarnym ofiarowaniem...

Rozległ się wystrzał z pistoletu wieśniaka, kelner postawił przed Dionisiem zupę vichyssoise, a naprzeciw niego, jedząc to samo, pojawiła się kobieta czterdziestoletnia, ale bez wątpienia namiętnie zakochana w swoim dzieciństwie; do wzorzystej sukienki w stylu Laury Ashley dodała rudy koczek i loczki a la Shirley Tempie. Te nietypowe dodatki nie zdołały odwrócić uwagi Dionisia od całego repertuaru grymasów towarzyszących słowom kobiety i głośnemu chlipaniu zupy przez naśladowczynię Shirley; między jednym siorbnięciem a drugim, między jednym grymasem a drugim, udało się kobiecie jedynie wyrazić swój zachwyt i zdumienie, ach, jakie to podniecające siedzieć koło niego i jeść, jakie niezwykle poznać takiego romantycznego mężczyznę jak on, wyrafinowanego cudzoziemca, tylko cudzoziemcy ją podniecają, nigdy by nie uwierzyła, że jakiś obcokrajowiec zwróci na nią uwagę, na nią, która żyje tylko marzeniami, rojąc o romansach niemożliwych, niezwykłych, podniecających, śniąc, że całe życie spędzi w ramionach Ronalda Colmana, Clarka Gable'a, Rudolfa Valentino...

- Nigdy nie marzysz o Melu Gibsonie?

- O kim?

- Albo o Tomie Cruisie?

- *Who's he?*

Nie, nie skarży się na los, ciągnęła wśród serii grymasów, skubiąc rzęsy, wzburzając loki, aż wreszcie zaczęły przypominać postrzępioną szmatę do wycierania podłogi, podnosząc brwi niemal na wysokość koka, kołyszając głową jak lalka z porcelany, później zaś sycząc jak wąż, gdacząc jak kura, wyjąc jak wilczyca, zanim mu wyznała, że nim zaśnie, śpiewa kołysanki i recytuje wierszyki Mamy Gęsi, ale że przez jej umysł (wszystko to było zdumiewające, podniecające, niesłychane) przepływają straszne kataklizmy, katastrofy samolotowe i morskie, straszne jatki na drogach, akty terroryzmu, ciała bez rąk, nóg, a ona śpiewa kołysanki i recytuje wierszyki jako egzorcyzmy, żeby odpędzić nie-

szczęścia. Czy on ją rozumie, on, dżentelmen, niewątpliwie cudzoziemiec, podniecający, wyrafinowany, wonderful, wonderfid, wonderful?...

Powtarzając słowo „cudowny”, ta cielistoróżowa blondynka, ta Alicja w krainie rozczarowań, rozplynęła się. Także zupa znikła. Dionisio spojrział niepokieszony na pustą filiżankę. Znów rozległ się wystrzał z pistoletu wieśniaczka, kelner podał stek i wspaniała kobieta, piękna i elegancka, w czarnym, uszytym na miarę kostiumie z głębokim dekoltem, z perłami na szyi, bransoletkami na nadgarstkach, doskonale uczesana, umalowana, pojawiła się w tej samej chwili, spoglądając na Dionisia w milczeniu.

Nasz rodak ukrajał mięso, bez słowa podniósł krwisty kawałek (choć zamówił stek raczej średnio wysmażony) do ust i w tym momencie, z dokładnością do ułamka sekundy, ona zaczęła mówić. Tak, ale nie do niego, mówiła do swojego telefonu komórkowego, który trzymała w jednej ręce, podczas gdy drugą zdawała się dotykać miejsca między piersiami, jakby perfumowała sobie tę partyturę przyjemności przed wyjściem z domu na kolację.

- Dziś wyjątkowo siedzę i jem. Rozumiesz mnie? Nigdy nie mam czasu usiąść, jem na stojąco, więc ta sytuacja wydaje mi się nienormalna...

- Ale co to ma?... - przerwał Dionisio, zanim zdał sobie sprawę, że kobieta nie mówi do niego, lecz do komórki.

- Brak? Myślisz, że mi cię brak?

- Nie, nigdy nie powiedziałem... - Dionisio zdecydował ekstrawagancko trwać w swoim błędzie.

- Słuchaj - ciągnęła piękna dama w wydekoltowanym kostiumie wprost od krawca, z biustem ukrytym pod dwurzędowym żakietem. - Odbieram faksy na ten sam numer. Nie mam adresu ani nazwiska. Nie potrzebuję sekretarzy. Mój komputer jest razem ze mną. Nie mam miejsca. Nie, czasu też nie mam. Właśnie ci to udowadniam, głupku. Nic mnie nie obchodzi, że w Holandii w tej chwili dziesiąta wieczór, jeżeli tu, w Kalifornii, jest teraz trzecia po południu i wszyscy pracujemy...

- Konsumujemy, to znaczy, jemy obiad - sprostował Dionisio, choć piękność nie zwróciła na niego uwagi, dotknęła się tylko za uchem, jakby się znów perfumowała, jakby jej palce były flakonikiem Chanel...

Wyobraź sobie, nawet lekarza nie potrzebuję. Widzisz tę bransoletkę? To nie żadna zwykła sobie biżuteria. To mój przenośny szpital. Robi mi kardio-gram, mierzy ciśnienie, a nawet informuje mnie o poziomie cholesterolu, gdziekolwiek jestem, wszystko to bez straty czasu...

Dionisio zadał sobie w duchu pytanie, czy w rzeczywistości ta piękna kobieta nie jest przebraną pielęgniarką, bo każdy szpital nagrodziłby jej skuteczność, choć to raczej tempo miało znaczenie dla tej bogini, nie skuteczność; dalej mówiła do swojego telefonu komórkowego (Dionisio zaczął wątpić, czy naprawdę rozmawia z kimś w Holandii; nie zwraca się też do niego; czyżby więc do siebie samej?):

- Słuchaj, skoro nie mam czasu, adresu, imienia, miejsca, biura, wakacji, kuchni, co mi pozostaje?

Głos jej się załamał. Była bliska płaczu. Dionisio zaniepokoił się. Objąłby ją, przynajmniej pogłaskał po ręce, ale chwilami naprawdę wpadała w histerię; spojrzała na niego pierwszy raz i powiedziała:

- Sally Booth, trzydzieści trzy lata, urodzona w Portland, Oregon.

W szkole średniej przepowiadano jej największe ze wszystkich szanse na sukces, zaliczyła trzech mężów, trzy rozwody, żadnego dziecka, przypadkowi kochankowie, coraz to dalsi, miłość przez telefon, orgazmy na odległość, uczucie dające pewność, bezproblemowe, bez fizjologicznych wycieków, zdrowie zachowane, po co szpital, lepiej umrzeć we własnym domu...

Urwała brutalnie swój wysoce emocjonalny wywód, swoją skrótową biografię, uściśliła rękę Dionisia i spytała retorycznie:

- Do czego służą pieniądze? Żeby kupować ludzi. Wszyscy potrzebujemy wspólników.

Po czym znikła tak jak poprzednie, a Dionisio pozostał, wpatrzony w próżny talerz, gdzie uchowały się jedynie soczyste resztki krwistego steku (choć całkiem wyraźnie prosił o średnio wysmażony).

- Mogłaś być bardziej okrutna i mniej piękna - orzekł francuski poeta symbolista, którego Dionisio, na swoje nieszczęście, choć także ku pewnej niejasnej przyjemności, nosił w swoim wnętrzu.

Także i tym razem jego przenośny Baudelaire nie mógł wydostać się z walizki; wystrzelił pistolet wieśniaczka i blond kelner zwałym gestem postawił przed Dionisiem cytrynowy sorbet, który „Bachus” zidentyfikował jako *trou normand* francuskich posiłków, czyszczący podniebienie z ciężkich dań i przygotowujący je na nowe smaki. Olśnił go fakt, że „American Grill” w centrum handlowym pod San Diego zna te niuanse kulinarne, ale jeszcze bardziej zaskoczyło go to, że podnosząc wzrok, odnalazł kobietę, która nie będąc piękną, zdawała się zadowolona z siebie. Umiał to rozpoznać od razu. Twarz bez makijażu potrzebowała i nie potrzebowała upiększeń, po prostu nie miało to znaczenia. Wszystko w tej porządnie wymytej twarzy miało sens. Bładość jasnych brwi przywodziła na myśl zetknięcie piasku z morzem, wargi były w sposób właściwy wąskie, w sposób właściwy popękane z powodu wkradającej się już bez żadnego przebrania niedalekiej dojrzałości, proste włosy zostały zebrane w krótki kucyk, bez dbałości o ukrycie pierwszej siwizny, szybującej niby zagnubione chmury nad polem koloru miodu; oczy, głęboko szare szarością dobrego kaszmiru, porannej mżawki, szare jak dobre, rozumne spotkanie kredy z tablicą zwiastowały swoją szczegółność; to były oczy, które zmieniają barwę w deszczu. Spojrzały przez ramię Dionisia na ekran telewizora.

- Chciałabym być graczem w drużynie baseballowej - oświadczyła ich właścicielka i uśmiechnęła się, podczas gdy „Bachus”, zatopiony w spojrzeniu swojej nowej kobiety, pozwolił, żeby sorbet cytrynowy stał nietknięty. - Tylko prawdziwy artysta tak potrafi łapać dolne piłki.

- Jak Willy Mays - wtrącił się Dionisio. - Ten to umiał je wyłapywać!

- Skąd wiesz? - spytała ze szczerym zdziwieniem i sympatią.

Nie lubię amerykańskiej kuchni, ale podziwiam kulturę - sport, kino, literaturę jankesów.

- Willy Mays - powiedziała nieumalowana kobieta, wznosząc oczy ku niebu. - To ciekawe, że ktoś, kto robi coś dobrze, nigdy nie robi tego tylko dla siebie, tylko jakby robił to dla wszystkich.

- O kim myślisz? - zapytał Dionisio coraz bardziej zauroczony tym kobiecym *trou normand*.

- O Faulknerze. Myślę o Williamie Faulknerze. Myślę o tym, w jaki sposób jeden geniusz literacki może uratować całą kulturę.

- Mylisz się. Jeden pisarz nie może uratować niczego.

- Nie. To ty się mylisz. Faulkner udowodnił nam, południowcom, że południe może być czymś więcej niż tylko przemocą, rasizmem, Ku-Klux-Klanem, przesadami, czerwonymi kołnierzykami...

- To wszystko przyszło ci do głowy podczas oglądania telewizji?

- Bardzo mnie to intryguje. Oglądamy telewizję, bo wiele się dzieje, czy też może wiele się dzieje, żebyśmy oglądali to w telewizji?

- Dlaczego Meksyk jest biedny? - ciągnął swoją grę.

- Dlatego że nie jest krajem rozwiniętym, czy nie jest krajem rozwiniętym, dlatego że jest biedny?

Teraz to ona się roześmiała.

- Widzisz, dawniej ludzie oglądali grę Willy'ego Maysa i następnego dnia czytali o tym w gazecie, żeby upewnić się, że on naprawdę grał. Teraz można zobaczyć grę i uzyskać informację w tym samym czasie. Już nic nie trzeba sprawdzać. To niepokojące.

- Mówiłeś o Meksyku? - zapytała po chwili namysłu.

- Jesteś Meksykaninem?

Dionisio skinął głową.

- Kocham twój kraj i zarazem nie kocham go - powiedziała kobieta o szarych oczach i chmurach wieńczących jej miodowe włosy. - Adoptowałam meksykańskie dziecko. Dziewczynkę. Lekarze, którzy mi ją oddali, nie powiadomili mnie, że ma poważną wadę serca. Tutaj wykonano rutynowe badania i uprzedzono, że jeżeli dziecko natychmiast nie zostanie zoperowane, nie przeżyje dwóch tygodni. Dlaczego nie powiedzieli mi tego w Meksyku?

- Z pewnością dlatego, żebyś się nie wycofała z adopcji.

- Ale przecież mogła umrzeć, przecież mogła... Och, okrucieństwo Meksyku, jego wyzysk, jego obojętność na biedę, ileż tam cierpienia, twój kraj jest okropny...

- Założę się, że dziewczynka jest ładna.

- Jest bardzo ładna. I bardzo ją kocham. Będzie żyła - powiedziała z zupełnie innym wyrazem oczu, nim zniknęła. - Będzie żyła...

Dionisio tylko spojrział na nietknięty sorbet, nie miał czasu go spożyć; pistolet wieśniaczka-dżinna, niecierpliwącego się, by wypełnić rozkaz i zniknąć, wystrzelił znowu i niebrydka kobieta o kręconych włosach, małym nosku, niepokojnych i rozradowanych oczach, i popsutych zębach, uśmiechnęła się do niego szeroko, jakby go witała na pokładzie samolotu, w szkole lub hotelu, nie wiadomo gdzie, pozory mylą, tak, rysy jej twarzy były nieszczególne, mogła być wszystkim, nawet burdelmama. Miała na sobie górę od dresu do joggingu, niebieski prochowiec i ciasne, odchudzające spodenki ze specjalnej tkaniny. Bez przerwy mówiła, tak jakby obecność Dionisia zupełnie nie wpływała na jej niepohamowany wywód, bez początku i końca, skierowany do idealnego audytorium złożonego z osób o nieskończonej cierpliwości albo perfekcyjnej zdolności wyłączania się.

Pojawiła się sałata wraz z pogardliwym gestem kelnera i wycudzonym przez zęby pouczeniem:

- Sałatę się je na początku.

- Uważasz, że powinnam się wytatuować? Są dwie rzeczy, których nigdy nie miałam. Tatuazu i kochanka. Zrobić sobie tatuaż i sprawić sobie kochanka. Czy myślisz, że nie jestem za stara na tatuaż?

- Nie. Wyglądasz na jakieś trzydzieści do...

- Kiedy jest się młodą dziewczyną, wtedy oczywiście można mieć tatuaż. Ale teraz? Wyobraź mnie sobie z tatuażem na łydce. Jak będę wyglądać na ślubie mojej córki z tatuażem na łydce? Albo jeszcze gorzej. Jak pójdę na ślub mojej wnuczki z tatuażem na łydce? Zresztą może lepiej będzie, jeśli każę sobie zrobić tatuaż na pupie, wtedy będzie go mógł zobaczyć tylko mój kochanek. Właśnie teraz, kiedy się rozwodzę, miałam szczęście poznać tego nie-sa-mo-wi-te-go mężczyznę. Jak myślisz, jaki teren obejmuje?

- Nie wiem. Masz na myśli jego dom czy może?...

- Nie, głuptasie. Mam na myśli teren jego działań zawodowych. Zgadnij! Lepiej sama ci powiem: cały świat. Skupuje nieopatentowane części zamienne. Wiesz, co to jest. Wszystkie części zamienne do maszyn, urządzeń gospodarstwa domowego, telewizorów, za które nie płaci się tantiem. No, jak ci się

to podoba? Jest geniuszem. Podejrzewam jednak, że ma skłonności homoseksualne. Nie wiem, czy dobrze wychowałyby moje dzieci. Ja nauczyłam je załatwiać się od małego. Nie rozumiem, dlaczego niektóre z moich koleżanek nauczyły tego swoje dzieci tak późno albo wcale...

Dionisio zjadł pośpiesznie sałatę, żeby uwolnić się od rozwiedzionej kobiety. A ona sama, wraz z ostatnim jego kęsem, rozpląnęła się. Skanibalizowałem ją czy ona mnie skanibalizowała? - zadał sobie pytanie ekspert kulinarny, owładnięty rosnącym smutkiem, z którym nie wiedział, co począć. Czy wszystko to było żartem? Był zupełnie otumaniony.

Jego smutku nie rozwiało pojawienie się deseru, cytrynowego ciastka bezowego, którego kobiecą przeciwwagę „Bachus” bał się poznać, przede wszystkim dlatego, że na początku całej tej przygody przyglądał się przechodzącym grubaskom, pożądając ich platonicznie. I jego obawy były uzasadnione. Naprzeciw niego, w chwili gdy przebrzmiał wystrzał wieśniaczka, pojawiła się kobieta-potwór. Jeżeli ważyła kilogram, ważyła także trzysta dwadzieścia sześć innych. Różowy podkoszulek ogłaszał wszem i wobec jej przynależność: FLM-FAT LIBERATION MOVEMENT. Ramion jak z reklamy opon Michelina nie udało się kobiecie skrzyżować na ogromnych piersiach, które poruszały się same wewnątrz podkoszulka i opadały niczym kaskady cielesnej Niagary na beczkę brzucha, jedyną napotkaną przeszkodę, nie pozwalającą dojrzeć gąbczastych nóg, odsłoniętych od ud w dół, obojętnych na nieprzyzwoitość rysujących się pod szortami wałków tłuszczu. Wilgotne i przezroczyste jak żelatyna dłonie spoczęły na rękach Dionisia, który wzdrygnął się z obrzydzeniem. Chciał je cofnąć, ale było to niemożliwe. Grubaska zjawiała się tutaj po to, żeby go pouczać, a on, pogodzony z tym, powiedział sobie, że będzie dobrym uczniem.

- Czy wiesz, ile milionów nas, osób z nadwagą, żyje w USA?

- Tak, wiem.

- Nawet nie próbuj zgadnąć, chłopcze. Czterdzieści milionów osób nazywa się pejoratywnie „grubasami”. Ale powiadam ci, nikogo nie wolno dyskryminować z racji jego defektów fizycznych. Ja spaceruję po ulicy, mówiąc sobie: „Jestem piękna i inteligentna”. Mówię to najpierw cicho, później krzyczę: „Jestem piękna i inteligentna! Nie zmuszajcie mnie, żebym stała się perwersyjna! ”To zwraca ich uwagę. Wtedy proszę ich, by uznali moje prawa. Otyłość jest piękna. Kampanie dietetyczne powinny zostać uznane za nielegalne. Kina i linie lotnicze muszą być wyposażone w specjalne fotele dla ludzi takich jak ja. Dość

już kupowania dwóch biletów lotniczych, żeby móc podróżować wygodnie. - Jej głos wzniósł się histerycznie o jeden ton. - Niech nikt mnie nie przedrzeźnia. Jestem piękna i inteligentna. Nie zmuszajcie mnie, żebym stała się perwersyjna. Byłam kucharką na statku zarejestrowanym w San Diego. Wracaliśmy z Hawajów. To był statek towarowy. Pewnego dnia przechadzałam się po pokładzie, liżąc lody, a pewien marynarz wstał, wyrwał mi je z ręki i wrzucił do morza. „Przestań tyć - powiedział, zanosząc się od śmiechu. - Wszystkich nas obrzydzenie bierze na widok twojej tuszy. Jesteś śmieszna". Tamtej nocy w kuchni wrzuciłam im środki przeczyszczające do zupy. Później obesłam kajuty, przekrzykując jęki załogi: „Jestem piękna i inteligentna. Nie próbujcie ze mną zadzierać. Nie zmuszajcie mnie, żebym była perwersyjna!" Straciłam pracę. Lepiej by było dla ciebie, żebyś mnie wybrał. Przyszłam, ponieważ zostałam poinformowana, że szukasz narzeczonej. Czy to prawda? Oto jestem... Słuchaj... Co się z tobą dzieje?

Dionisio wyrwał ręce uwięzione przez grubaskę i połknął ciasto, żeby kobieta znikła. Ale ta dostrzegła jego obrzydzenie i udało jej się krzyknąć:

- Oszukano cię, idioto! Nazywam się Ruby i jestem zaręczona z chilijskim pisarzem Jose Donoso! Będę należeć tylko do niego!

Dionisio podniósł się przerażony, zostawił skandalicznie wysokiej wartości, studolarowy banknot na stole, wybiegł z „American Grill" i znów poczuł tę niesamowitą żalność, przechodzącą w poczucie utraty czegoś, co powinien był zrobić, a nie wiedział, co to jest...

Zatrzymał się w swoim biegu na wprost witryny American Express. Manekin wyobrazający typowego Meksykanina spał w czasie sjesty wsparty o kaktus, w wielkim kapeluszu na głowie, ubrany jak chłop meksykański, w chodakach. To *cliche* zgorszyło Dionisia, wszedł gwałtownie do biura podróży, potrząsnął manekinem, ale ten okazał się nie z drewna, lecz z krwi i kości, i wykrzyknął: „Co jest, już nawet spać nie dadzą człowiekowi?"

Pracownicy biura zaczęli krzyczeć, protestować, zostaw w spokoju wieśniaka, pozwól mu wykonywać swoją pracę, właśnie promujemy Meksyk, ale Dionisio wyciągnął faceta z biura, potrząsnął nim, zapytał go, kim jest, co tu robi, i ten wzór Meksykanina (czy też wzorowy Meksykanin) z szacunkiem zdjął nakrycie głowy.

- Nie muszę się panu tłumaczyć, ale to już dziesięć lat, jak się tutaj zgubiłem...

- Co mówisz? Dziesięć co? Co?

- Dziesięć lat, szefie. Wszedłem kiedyś i zgubiłem się w tych korytarzach, i już nie wyszedłem, a oni mnie tutaj zatrudniają, żebym spał podczas sjesty na wystawie, i kiedy nie ma innej roboty, mogę wejść i pospać sobie na materacach albo na plażowych fotelach, jedzenia w bród, wyrzucają je, zostawiają, no, spójrz pan tylko...

- Chodź, chodź ze mną - powiedział Dionisio, zelektryzowany słowem „jedzenie”, rozbudzony, czujny na własne uczucia, kobieta o szarych oczach, kobieta, która zaadoptowała meksykańską dziewczynkę, kobieta, która czyta Faulknera, tę powinien był wybrać, przeznaczenie załatwiło sprawę, wszystkie inne nie były ważne, tylko ta, ta jedna wrażliwa jankeska, silna, mądra, ona była jego, musiała być jego, w wieku pięćdziesięciu jeden lat - on, czterdziestu - ona, stanowiliby ładną parę. Na czym polegała ta perwersyjna gra? Wieśniaczek-dzinn, jego wiejskie *alter ego*, skurczybyk, łajdak i barwna postać, pijaczyna, całkowite przeciwieństwo jego *alter ego* symbolicznego, francuskiego, baudelaire'owskiego, był jego bliźnim, jego bratem, ale że był także Meksykaninem, więc zagrał w sposób pokrętny, zartował sobie z niego, wiele obiecywał, a mało dawał. Ujmował wartości jego życia, miłości, namiętności, nie powiedział mu, że kiedy on, Dionisio, zjadał befsztyk albo koktajl z owoców morza, albo ciastko cytrynowe, zjadał również kobietę, będącą jakby ucieleśnieniem każdego dania: nasz bohater zaczął bredzić, wpadł w szal, zaciągnął biednego głodomora przez galerie centrum handlowego w Kalifornii aż do restauracji o nazwie „American Grill”, jakby doznał iluminacji, przekonany, że to musi być prawda, że spożył wszystko oprócz sorbetu cytrynowego, nie tknął go, a więc ona żyła, nie została pożarta przez jego azteckie drugie ja, przez jego kieszonkowego Huichilobosa, przez jego narodowego mini - Moctezumę...

- *Sorry* - oświadczył mu kelner, który go obsługiwał - wyrzucamy odpadki. Pana sorbet z roztopionym lodem został przed chwilą wylany do zlewu.

Powiedział to z satysfakcją, oblizując wargi skryte pod blond wąsem... i Dionisio chciał zapłakać z żalości, wydał gwałtowny krzyk, cały czas ciągnąc za rękę wieśniaka, wywłókł go na parking, Meksykanin, zagubiony w konsumpcyjnym labiryncie, zaniepokoił się, dalej nigdy jeszcze nie szedłem, powiedział, właśnie tutaj się gubię, od dziesięciu lat mieszkam w tej pułapce, ale Dionisio

nie zwrócił na to uwagi, wepchnął go do wynajętego mustanga i ruszyli siecią dróg splątanych niby zwoje cementowej bestii, uśpionej, lecz nagle rozbudzonej; wreszcie meksykański wieśniak, zlany zimnym potem, i on, Dionisio, dojechali do magazynów w północnej części miasta.

Tam właśnie się zatrzymał.

- Chodź no. Musisz mi pomóc.

- Ale dokąd my jedziemy, szefie? Niech mnie szef stąd nie wywozi! Nie wie pan, ile zachodu kosztuje, by wjechać z powrotem do Gringolandu? Ja nie chcę wracać do Guerrero!

- Zrozum mnie dobrze. Ja nie mam przesądów.

- Ale mnie się to wszystko podoba, centrum handlowe, gdzie mieszkam, telewizor, obfitość towarów, wysokie budynki...

- Wiem.

- Co, szefie? Co pan wie?

- Wszystko to, co widzimy, nie istniałoby, gdyby jankesi nie zabrali nam tych ziem. W rękach Meksykanów byłyby to nieużytki...

- W rękach Meksykanów...

- Wielka pustynia, to byłaby wielka pustynia, ciągnąca się od Kalifornii do Teksasu. Mówię ci to, żebyś nie sądził, że jestem niesprawiedliwy.

- Tak, szefie.

Prawie nikt ich nie zauważył. Wysiedli z mustanga na pustyni Kolorado, na południe od Przełęczy Śmierci. Meksykański wieśniak zagubiony w centrum handlowym, przez dziesięć lat zachował swój - z dziada pradziada - zwyczaj noszenia rzeczy na plecach. Potomek plemienia Tameme, do którego należeli dźwigacze kamieni, kolb kukurydzy, trzciny cukrowej, minerałów, kwiatów, krzesel, ptaków... Teraz Dionisio przytłoczył go całkowicie piramidą urządzeń elektronicznych, maszyn do odchudzania, niepowtarzalnych płyt kompaktowych z piosenkami Hoagy Carmichaela, taśm wideo z ćwiczeniami wykonywanymi przez Cathy Lee Crosby, pamiątkowych talerzy z okazji rocznicy śmierci Elvisa i puszek, dziesiątków puszek, zapuszkowanym światem, gastronomią w metalu. Sam Dionisio niósł naręcza katalogów, subskrypcji, gazet, czasopism specjali-

stycznych, kuponów. Jak to we dwóch, „Bachus” i jego giermek, Don Kichot dobrej kuchni i meksykański Rip van Winkle, który przespał straconą dekadę w centrum handlowym, ruszyli na południe, ku granicy Meksyku, rozsypując wzdłuż północnoamerykańskiej pustyni, po ziemi, która kiedyś należała do Meksyku, odkurzacze, pralki, hamburgery i puszki piwa bez smaku, rozwodnioną kawę, tłuste pizze, zimne hotdogi, czasopisma, kupony, płyty kompaktowe, konfetti poczty elektronicznej. Dalej, dalej, do Meksyku bez jankesów, wykrzyknął Dionisio, wyrzucając w powietrze, ku płomiennemu słońcu, wszystkie uzbierane przedmioty, aż do chwili, kiedy mustang wybuchnął w od dali, pozostawiając krwawą jak grzyb z żywego ciała chmurę. Wtedy Dionisio powiedział do swojego towarzysza, daj się ograbić ze wszystkiego, wszystkiego, co jankeskie, zdejmij ubranie, tak jak ja je zdejmuję, idź przed siebie, rozrzucając je po pustyni, wracajmy do Meksyku, nie zanieśmy tam ani jednej jankeskiej rzeczy, ani jednej, mój bracie, mój bliźni, idźmy nago z powrotem do ojczyzny, już widać granicę, otwórz dobrze oczy, widzisz, wąchasz, smakujesz?

Od granicy czuć było intensywny, niepowstrzymany zapach meksykańskiego jedzenia.

- To pueblańska tortilla na szpiku kostnym! - wykrzyknął w radosnym uniesieniu Dionisio „Bachus” Rangel. - Pięćset gramów szpiku kostnego! Dwie duże papryczki chili! Powąchaj! Kolendra! Pachnie kolendrą! Chodźmy do Meksyku, przekroczmy granicę, bracie mój, wracaj goły, jak się narodziłeś, powróć goły z ziemi, która ma wszystko, na ziemię, która nie ma nic.

Przepis na pueblańską tortillę ze szpikiem kostnym: 500 g szpiku kostnego, filiżanka wody, dwie duże papryczki chili, 700 g ciasta, dwie łyżeczki mąki i olej do smażenia.

LINIA NIEPAMIĘCI

Jorgemu Castañedzie

Siedzę. Na świeżym powietrzu. Nie mogę się ruszyć. Nie mogę mówić. Ale słyszę. Tyle że teraz nie słychać nic. Może dlatego że jest noc. Wszystko śpi. Tylko ja czuwam. Ale widzę. Widzę noc. Patrzę w ciemność. Próbuję zrozumieć, dlaczego tu jestem. Kto mnie tu zostawił? Mam wrażenie, że obudziłem się z długiego i sztucznego snu. Próbuję się dowiedzieć, gdzie jestem. Chciałbym wiedzieć, kim jestem. Nie mogę zapytać, bo nie mogę mówić. Jestem sparaliżowany. Jestem niemy. Siedzę na wózku inwalidzkim. Czuję, jak się lekko kołysze. Dotykam gumowych kół czubkami palców. Chwilami ledwie zauważalnie rusza do przodu. Chwilami jakby się cofa. Najbardziej boję się tego, że się wywróci. Na prawo. Na lewo. Znow zaczynam określać miejsce swojego pobytu. Kręci mi się w głowie. Na lewo. Śmieję się trochę. Na lewo. To jest moje nieszczęście. Moja ruina. Zboczyć na lewo. Oskarżają mnie. Kto? Wszyscy. Śmiać mi się chce. Nie rozumiem dlaczego. Nie mam żadnego powodu, żeby się śmiać. Sądzę, że moja sytuacja jest przerażająca. Mam przerypane. Nie pamiętam, kim jestem. Muszę się mocno wysilić, żeby przypomnieć sobie swoją twarz. Przychodzi mi do głowy pewien absurd. Nigdy nie widziałem własnej twarzy. Muszę wymyślić sobie imię. Twarz. Plecy. Ale ponieważ to okazuje się trudniejsze niż pamiętanie, pokładam nadzieję w pamięci. Bardziej niż w wyobraźni. Czy łatwiej jest pamiętać, niż wyobrażać sobie? Mnie chyba tak. Ale mówiłem, że boję się wywrócić. Jazda nie budzi we mnie takiego strachu. Do tyłu, owszem, boję się. Nie widzę, gdzie jadę. Moje plecy nie mają oczu. Gdy jadę do przodu, przynajmniej łudzę się, że mogę coś kontrolować. Nawet jeżeli posuwam się w kierunku przepaści. Zobaczą ją, kiedy będę spadać. Zobaczą tę pustkę. Wtedy zdaję sobie sprawę, że nie mogę spaść w przepaść. Już w niej jestem. To przynosi mi ulgę. A także budzi we mnie strach. No, ale już niżej nie mogę upaść. Czy jestem na równym miejscu? Oczy są najruchliwszym narządem, jaki posiadam. Próbuję patrzeć prosto, później na bok. Wpierw na prawo. Później na lewo. Widzę tylko ciemność. Patrzę ku górze, wysilając moją biedną, sztywną i starą szyję. Czy jestem w bezpiecznym miejscu? Nie ma gwiazd. Gwiazdy odeszły. Zamiast tego brudna poświata skrywa niebo. Jest ciemniejsza niż ciemność. Gdzie się podziało światło? Patrzę na swoje nogi. Pled okrywa

moje kolana. Jaki piękny szczegół. Któż to - mimo wszystko - mógł mi współczuć? Moje zdeptane buty wysuwają się spod frędzli pledu. Wtedy widzę to, co powinienem zobaczyć. Widzę linię u moich stóp. Świetlistą linię, namalowaną jakimś fluorescencyjnym kolorem. Linię. Podział. Linię podziału. Świeci się w nocy. To jedyne, co się świeci. Co to jest? Co ona oddziela? Co dzieli na pół? Prócz tej linii nie mam innych znaków, według których mógłbym określić miejsce swojego pobytu. A jednak nie wiem, co ona oznacza. Nic mi nie mówi ta noc. Nie mogę się ruszyć ani mówić. Ale świat wokół stał się taki jak ja. Niemy i nieruchomy. Ja przynajmniej patrzę. Czy ktoś na mnie patrzy? Nie mam tożsamości. Może kiedy zacznie świtać, będę mógł się dowiedzieć, gdzie jestem. A jak będę miał szczęście, dowiem się, kim jestem. Wyobrażam sobie coś. Jeżeli ktoś mnie znajdzie porzuconego tutaj, w tym ślepych i otwartym miejscu, gdzie świeci się tylko sztuczna linia na ziemi, co zrobię, żeby się wylegitymować? Patrzę na siebie samego, dokąd tylko pozwala mi wzrok. Najłatwiej jest patrzeć na kolana. Wystarczy tylko opuścić trochę głowę. Patrzę na pled na kolanach. Jest szary. Ma dziurę. Dokładnie nad moim prawym kolaniem. Próbuję poruszyć rękami, żeby ukryć ją, zasłonić. Moje ręce spoczywają sztywno na gumowych kołach. Jeśli wysiłę się i rozprostuję zdjęte niemocą palce, zdam sobie sprawę, że koła to koła. Zdam sobie także sprawę, że zbyt pochopnie uznałem, iż linia na ziemi jest sztuczna. Skąd niby to wiem? A jeśli jest naturalna, jak przecinka, wąwóz? Może to ja jestem bytem sztucznym, wyimaginowanym? Proszę krzykiem moją pamięć, żeby wróciła do mnie i uratowała mnie od niszczącej wyobraźni. Tam gdzie kończą się frędzle pledu, widzę moje buty. Już raz powiedziałem, że są stare, zdeptane, rozepchnięte. Jak buty górnika. Czepiam się tego skojarzenia. Wyobrażam sobie, pamiętam? Górnik. Wydobywanie. Tunele. Złoto? Srebro? Nie, glina. Tylko glina. Glina. Nie wiem, dlaczego mówię „glina”, i chce mi się płakać. Coś straszno porusza mi się w brzuchu, kiedy mówię „glina”, myślę „glina”. Nie wiem dlaczego. Nie wiem nic. Kocham swoje stare buty. Są twarde, ale wygodne. Są wysoko sznurowane. Jak buty wojskowe. Sięgają powyżej kostki. Żebym czuł się pewniej. Chociaż nie mogę chodzić. Moje buty dają mi pewność. Bez nich niewątpliwie bym upadł. Upadłbym i rozbił sobie nos, rozsypał się. Przechyliłbym się. Na lewo? Na prawo? To najgorsze, co może mi się przydarzyć. W przepaści już jestem. Przechylić się w którąś stronę - to mój strach. Kto pomógłby mi się podnieść? Na pewno pobrudziłbym się ziemią. Mój nos wachałby świetlistą linię. Albo linia zjadłaby mój nos. Moje buty mocno stoją na stopniach inwalidzkiego wózka. Wózek stoi na ziemi. Choć nie tak mocno. Ja nie mogę chodzić. Ale fotel może pojechać i wywrócić się. Ja upadł-

bym wtedy na ziemię. Już to mówiłem. Ale teraz dodam coś nowego. Wziąłbym wtedy w objęcia ziemię. Czy takie jest moje przeznaczenie? Fosforyzująca linia śmieje się ze mnie. Ona nie pozwala ziemi być ziemią. Ziemia nie ma podziałów. Linia mówi, że ma. Linia mówi, że ziemia się podzieliła. Linia sprawia, że ziemia staje się czymś innym. Czymś innym? Jestem taki samotny. Tak mi zimno. Czuję się taki opuszczony. Tak, chciałbym upaść na ziemię. Zejść ku niej. Zagłębić się w nią. W jej rzeczywistą ciemność. W jej sen. W jej ukołysanie. W jej prapoczątek. W jej koniec. Rozpocząć na nowo. Skończyć już. Wszystko w jednej chwili. Zapaść się w swoją matkę, tak. Uwierzyć we wspomnienie tego, czym byłem, zanim byłem. Kiedy byłem kochany. Kiedy byłem pożądanym. Bo ja wiem, że byłem pożądanym. Muszę w to wierzyć. Ja wiem, że mam swoje miejsce w świecie, bo świat mnie kochał. Kochała mnie moja matka. Mój ojciec. Moja rodzina. Ci, co mieli być moimi przyjaciółmi. Dzieci, które miałem mieć. Mówię to i milknę przerażony. Powiedziałem coś zabronionego. Zaczynam się plątać. Chowam się we własnych myślach. Nie mogę pogodzić się z tym, co właśnie powiedziałem. Moje dzieci? Nie, nie mogę się z tym pogodzić. Przeraza mnie ta myśl. Jest odpychająca. Wtedy znów spoglądam na linię na ziemi i uzyskuję smutną pociechę. Nie mogę spotkać się z ziemią, ponieważ ta linia mi tego zabrania. Linia mówi mi, że ziemia jest podzielona. Linia jest czymś innym, różnym od ziemi. Ziemia przestała być nią. Stała się wszystkim. Wszystko jest tym, co mnie kochało i wydało mnie z wnętrza ziemi, gdzie spałem, identyczny jak ona i jak ja sam. Zostałem wyjęty z ziemi i wydany na świat. Świat mnie wezwał. Świat mnie pokochał. Ale teraz mnie odpycha. Porzuca. Nie pamięta o mnie. Znów mnie rzuca na ziemię. Ale ziemia też mnie nie kocha. Zamiast otworzyć się w przytulną przepaść, stawia mnie przed jakąś linią. Przynajmniej przepaść wzięłaby mnie w objęcia. Wszedłbym w tę prawdziwą, totalną ciemność bez początku ni końca. Teraz patrzę na ziemię i jakaś nieprzyzwoita linia dzieli ją. Linia posiadająca swoje własne światło. Światło namalowane, obsceniczne. Całkowicie obojętne na moje istnienie. Ja jestem człowiekiem. Czyż nie jestem wart więcej niż jakaś linia? Dlaczego ta linia się ze mnie śmieje? Dlaczego pokazuje mi język? Sądzę, że zbudziłem się z koszmarnego snu i znowu weń zapadnę. Najnędzniejsze przedmioty, najpodlejsze rzeczy będą żyły dłużej niż ja. Ja przeminę. Ale linia pozostanie. To pułapka mająca przeszkodzić ziemi być ziemią i przyjąć mnie. To pułapka mająca pozwolić światu zatrzymać mnie i nie kochać. Dlaczego świat już mnie nie kocha? Dlaczego jeszcze nie godzi się na mnie ziemia? Gdybym się dowiedział tych dwóch rzeczy, wiedziałbym wszystko. Ale nie wiem nic.

Być może muszę być cierpliwy. Muszę poczekać, aż zacznie świtać. Wtedy te dwie rzeczy staną się. Ktoś zbliży się do mnie i mnie rozpozna. Cześć, X, powie. Co tu robisz? Nie mów mi, że tutaj spędziłeś noc. Sam. Pod gołym niebem. Nie masz domu? A twoje dzieci? Gdzie one są? Dlaczego się tobą nie opiekują? Myślę o tym. Mówię to. I wyję. Jak zwierzę. Krzyczę, jakbym był uwięziony we wnętrzu bardzo kruchego kryształowego kielicha i mój krzyk mógłby go rozbić. Niebo to mój kielich. Wyję jak wilk, żeby przepędzić jedno jedyne słowo. Dzieci. Wolę przejść szybko do drugiej możliwości. Nastanie ranek i będę mógł rozpoznać miejsce, w którym się znajduję. To przyniesie mi ulgę. To być może da mi siłę, żeby określić swoje miejsce. Ująć koła w dłonie i skierować się w miejsce bardziej mi znane, określone. Dokąd? Nie mam pojęcia. Kto na mnie czeka? Kto się mną opiekuje? Te pytania wywołują pytania przeciwne. Kto mnie nienawidzi? Kto mnie porzucił tutaj w środku nocy? Wyciszam swoje wycie. Nikt. Nikt mnie nie rozpozna. Nikt na mnie nie czeka. Nikt mnie nie porzucił. To tylko świat. Świat puścił moją rękę. Przestaję wyc. Nikt mnie nie kocha. Pytania to tylko kolejne możliwości. Z pewnością jeszcze nie umarłem. Wyobrażam sobie możliwości. To znaczy, jeszcze nie umieram. Czy śmierć likwiduje wszelką możliwość? Wyobrażam sobie, że rozpoznaję i zostaję rozpoznany. Chcę wiedzieć, gdzie jestem. Chcę wiedzieć, kim jestem. Chcę wiedzieć, kto mnie tutaj zostawił. Kto mnie porzucił na tej linii, pośród tej nocy. Jeżeli ciągle będę pytał o to wszystko, to znaczy, że nie umarłem. Nie umarłem, bo nie rezygnuję z możliwości. Ale wystarczy mi pomyśleć o tym, żeby pomyśleć także, iż jest wiele różnych sposobów umierania. Być może wyobraziłem sobie tylko niektóre, ale nie wszystkie, i ten jest jednym z nich. Siedzę niemy, sparalizowany, na wózku inwalidzkim, pośród nocy, w miejscu, którego nie znam. Ale sądzę, że nie umarłem. Czy to złudzenie tak myśleć? Zawsze będziemy myśleć, że żyjemy? Czy taka jest prawdziwa śmierć? Myślę, że nie. Gdybym był naprawdę martwy, wiedziałbym, co to jest śmierć. To mnie pociesza. Skoro tego nie wiem, muszę w dalszym ciągu być żywy. Skoro zaś jestem żywy, to dlatego, że wyobrażam sobie śmierć na wiele różnych sposobów. A jednak muszę krążyć bardzo blisko niej, ponieważ czuję, że moje możliwości się kończą. Najpierw mówię sobie, że przemijam. Nie ośmielam się wymówić imienia mojej śmierci. To wzbudza we mnie strach. Jestem tylko przejazdem, mówię uprzejmie, żeby nikt się nie przestraszył. Wielu ludzi ujawnia się wtedy, żeby powiedzieć mi, tak, tak, przemijasz, nic więcej. I pewnego dnia przeminąłeś. Umarłeś. Uśmiechają się w ciemności, kiedy to mówią. Ci ludzie. Przynosi im to ulgę. Jeżeli ja nie umieram, bo przecież tylko przemijam, oni także nie umrą. Jedynie przeminą. Brzydzą się tą

myślą. Odrzucam ją. Szukam czegoś, co jej zaprzeczy. Czegoś, co zaprzeczy jej przerażającej hipokryzji. Niech nikt nie mówi o mnie: „X przeminął”. (X to jestem ja). Wolę inny głos we mnie, który mówi: „X już umarł”. Ja już umarłem. To mi się bardziej podoba. Mam nadzieję, że właśnie to powiedzą mnie, jeżeli rzeczywiście już umarłem, kiedy naprawdę umrę. To jest tak jakbym od zawsze oczekiwał na śmierć jakby w końcu przyszedł ten dzień. Ale to także jakby śmierć czekała na mnie od zawsze z otwartymi ramionami. Już umarł. Po to się urodził. Po to go zrobiliśmy, kochaliśmy, wychowaliśmy, nauczyliśmy chodzić. Żeby umarł. Nie żeby tylko przeminął jak gdyby nigdy nic. Nie. Wychowaliśmy go, żeby umarł. Właśnie tak, dosłownie. Wtedy przychodzi mi do głowy coś niesamowitego, tak jakby pomyśleć te dwie rzeczy - przeminął jedynie, już umarł - znaczyło to samo, co pomyśleć o wszystkim. Jeden głos dobiega mnie od strony linii i mówi do mnie: „Przemijasz”. Drugi dobiega z drugiej strony i mówi mi: „Już umarłeś”. Pierwszy głos, ten od strony, która nie jest moja, która jest za mną, mówi po angielsku. *He passed away* - mówi. Drugi, przede mną, od mojej strony, mówi po hiszpańsku: „Już umarł”. Wykorkował. Wyciągnął kopyta. Odwalił kitę. Poszedł wachać kwiatki od spodu. „Już umarł”. Kto? Tego nikt mi nie mówi. Nikt nie oddaje mi mojego imienia. Z trudem kieruję głowę ku górze. Już to mówiłem. Moja szyja jest sztywna. Jest bardzo stara. Szyja koguta, który nie daje się ugotować w pierwszym wrzątku. Nagle, tak jakby przywołały je moje myśli, widzę błyszczące w nocy gwiazdy. Wtedy robię coś całkowicie nieoczekiwanego i tajemniczego. Udaje mi się podnieść rękę. Zakrywam oczy dłonią. Pozwalam jej upaść na kolana. Nie wiem, dlaczego to robię. Powiem więcej, nie wiem, jak udało mi się to zrobić. Ale gdy otworzyłem oczy i popatrzyłem w niebo, odnalazłem Gwiazdę Polarną. Poczuję wielką ulgę. Widzieć tę gwiazdę, odróżnić ją. To pozwala mi określić przez chwilę moje miejsce w świecie. Gwiazda Polarna. Pamiętam jej istnienie i jej imię. Są czymś wyraźnym. Są tam, gwiazda i biegun polarny. Nie ruszają się. Są wiecznym zwiastunem początku świata. W górze i poza mną znajduje się północ. Ale zamiast zwiastowania początku, tak jak tego właśnie zapragnąłem, głos gwiazdy mówi do mnie: „Przeminiesz. *You are going to pass away*”. Przemienę. Będę prochem i w proch się obrócę. Jestem panem z prochu. Jestem z gliny i obrócę się w glinę. Będę panem z gliny. Panem... Tym razem nie krzyknąłem. Ściskam w rękach koła wózka. Drapię je z gniewem i złością. Jestem bliski dowiedzenia się. Nie chcę wiedzieć. Straszna intuicja mówi mi, że jednak wiem. Będę cierpiał. Przystaję patrzeć na gwiazdę północy. Łatwiej mi patrzeć na mgłę południa. Ku dołowi. Ku moim nogom. „Już niedługo umrzesz” - mówi mi mrok. Mówi mi to po

hiszpańsku. I ja odpowiadam. Udaje mi się mówić. Mówię coś. Modlitwę, której nauczyłem się dawno temu. Po hiszpańsku. Pochwalone niech będzie światło. I Święty Krzyż. I Pan prawdy. I Święta Trójca. To mnie bardzo pociesza, ale zaraz potem chce mi się sikać. Przez pamięć, jak błyskawica, przechodzi mi wspomnienie, że jako mały chłopiec zawsze, kiedy się modliłem, miałem ochotę pójść do ubikacji. Tak jak niektórym chce się sikać, gdy słyszą szmer płynącej wody, mnie pęcherz moczowy uaktywnia się, kiedy się modlę. I jak powiedziałem, tak robię. Święta Trójca. Siusiam. Wstydzę się. Poplamie sobie spodnie. Patrzę w dół, oczekując, że zobaczę wilgotną plamę wokół otwartego rozporoka. Ale nie dzieje się nic. Chociaż bez wątpienia właśnie się zsiakałem. Znowu poruszam z wielką trudnością prawą ręką. Wkładam ją w rozporek. Nie odnajduję gatek ani ich otworu, który pozwoliłby mi dotknąć obscenicznie posiwiałych włosów, pomarszczonego fiuta, genitaliów, które urosły mi do wielkości jaj słonia. Nic z tego. Odnajduję pieluszkę. Faktura tkaniny jest nie do pomylenia z czymkolwiek. Śliska, nieprzemakalna, gruba, pikowana. Założyli mi pieluchę. Czuję ulgę i wstyd. Ulgę, bo wiem, że mogę sikać i srać do woli, bez strachu. Wstyd z tego samego powodu. Traktują mnie jak niemowlę. Sądzą, że jestem niepotrzebnym dzieckiem. Założyli mi tę pieluchę i porzucili mnie na wózku inwalidzkim, koło linii namalowanej na ziemi. Jeśli zrobię kupę, czy ktoś ją powącha? Czy przyjdzie ktoś, żeby mi wtedy pomóc? To by mnie poniżyło. Wolę w dalszym ciągu myśleć, że zostałem porzucony i że nikt po mnie nie przyjdzie. Nikt mi nie zmieni pieluch. Porzucono mnie. Pielucha zmusza mnie do powtórzenia tego jeszcze raz. Jestem porzuconym dzieckiem, podrzutkiem. Sierotą. Po kim? Czyim? Odczuwam pokusę ruszenia kół mojego wózka inwalidzkiego. Już tłumaczyłem, dlaczego tego nie robię. Boję się pojechać. Wywalić się. Na twarz. Na południe. Na plecy. Na północ. Na prawo - nie. Na lewo lepiej. Ale to słowo niepokoi mnie, już to mówiłem. Próbuje go uniknąć, tak samo jak unikam myśli o glinie, wyrażenia „mieć dzieci”, konieczności mówienia po angielsku. Ale to słowo narzuca się. Lewa. Jeżeli je przyjmę, to przyjmę także całą resztę. Imię. Glinę. Dzieci. Śmierć. Język. Powtarzam je i raptem widzę się w cudowny sposób dokładnie w tym samym miejscu, gdzie się znajdowałem. Tyle że stoję. Teraz stoję. Teraz jestem młody. I w towarzystwie. Jestem przy linii. Stoję naprzeciw grupy uzbrojonych ludzi. To żandarmi. Są ubrani w koszule z krótkim rękawem koloru khaki. Pod nimi mają podkoszulki. Ale nawet wtedy pot zostawia duże plamy w okolicach piersi i pach na regulaminowych koszulach. To Amerykanie z północy. Stoją z jednej strony linii. Za mną znajduje się grupa nieuzbrojonych ludzi. Ubranych w dżinsowe ogrodnicz-

ki. Mają buty takie jak ja. Słomkowe kapelusze. Zmęczone twarze. Twarze jak po długiej wędrówce przez pustynię. Mają proch ziemi na rzęsach, na twarzy, na wąsach. Wyglądają jak ludzie pogrzebani za życia. Zmartwychwstali. To wystarczy, żeby jedno imię wróciło z tą samą siłą co siła Gwiazdy Polarnej. Lazaro. To w jego imieniu mówię. Przemawiam. Bronię. Rozlegają się strzały. Upadają ludzie prochu. Otaczają mnie ludzie, których powinienem znać, kochać. Otaczają, żeby obronić mnie przed kulami. Bronią mnie, ale mnie strofują. Ty podżegaczu! Kto cię tu nasłał? Po co się wtrącasz? Narażasz nas. Nie rób tak. Wróć do domu. Doprowadź się do porządku. Narażasz nas wszystkich. Swoją żonę. Swoje dzieci. A swojego brata przede wszystkim. Mojego brata? Dlaczego swojego brata? Czyż nie jestem tutaj właśnie po to, żeby bronić swojego brata? Spójrz na niego. Prawie nie oddycha. Jest pokryty prochem. Dopiero co wyszedł z grobu. Nazywa się Lazaro. Oto mój brat. Bronię go tutaj przy linii. Wszyscy ze mnie się śmieją. Wyglądasz jak kogut przy tej swojej linii. Zdziobany kogut, bardziej martwy niż żywy. Prawdziwym kogutem jest twój brat. To on jest panem linii, nie ty. Nie narażaj go. Wszyscy, jak tu jesteśmy, zmęczymy cię tak, że wreszcie się poddasz. Wykażemy ci, że twoje męstwo jest niepotrzebne. Ruszymy cię z linii, młody koguciku. Wykończymy cię, stary kogucie. Choćbyś nie wiadomo co robił, świat się nie zmieni. Ci, których nazywałeś swoimi braćmi, nie przestaną przechodzić. Kiedy ich ręce będą potrzebne, oni przekroczą linię i nikt im w tym nie przeszkodzi. Wszyscy będą udawać, że nic nie widzą. Ale kiedy będzie ich za dużo, zostaną odrzuceni. Pobicci. Pozabijają ich na ulicach, w biały dzień. Wypędzą. Świat się nie zmieni. Ty go nie zmienisz. Jesteś tylko kroplą wody w oceanie interesów, których przyływy lub odpływy nie zależą od ciebie. Twój brat, ten to dopiero porusza światem! On jest panem linii. Od morza do morza. On tworzy bogactwo. On wydobywa wodę ze skał. On powoduje, że pustynia rozkwita. On zamienia piasek w chleb. On, tak, on zmienia świat. Ale nie ty, żalorny naiwniaku. Nie ty, stary głupcze w pieluchach, siedzący na wózku inwalidzkim przy tej samej linii, przy której dawno temu stałeś jako odważny młodzieniec. Człowiek lewicy. Odważny młodzieniec lewicy. Odważny młodzieniec lewicy o płomiennym spojrzeniu. To już nie ty. Ty - beziemienny. Krzyczysz. To znów wyjesz. Ty - widzisz. Ty - słyszysz. Ty - krzyczysz. Robisz to, bo odkrywasz, że to dodaje ci siłę, pozwala ci poruszyć trochę twoje zdjęte niemocą ręce. Kim jesteś? Chór nocnych głosów naciera na mnie, wymyśla mi, a ja chciałbym wiedzieć, kim jestem, żeby im odpowiedzieć. Jestem nikim, jestem kimś. Szczękam wesoło zębami. Już wiem. Metka mojej marynarki. Tam jest napisane, kim jestem. Tam jest moje imię. Moja żona zawsze

pisala moje imię na metce marynarki. Chodzisz na te wiece, zdejmujesz marynarkę, żeby przemawiać w samej koszuli. Później nikt nie wie, czyja jest ta marynarka czy tamta. I wracasz tylko w koszuli do domu. Marzniesz. Ale przede wszystkim nie masz pieniędzy, żeby sobie kupić inną marynarkę. Pozwól mi napisać twoje imię na metce przyszytej do wewnętrznej kieszonki na piersi. Imię moje. Serce moje. Ona. Ją pamiętam. Najpierw przypomniałem sobie o moich prawdziwych braciach. Natychmiast zapomniałem o moim fałszywym bracie. Ale w obu przypadkach pamięć jest fragmentaryczna, mglista. Co do żony, muszę ją sobie przypomnieć w całości, jaka była, czuła i lojalna. Jaka ładną kobietę los mi przeznaczył. Jaka silną i dobrą. Jaka silną i dobrą, jak skała, jak chleb. Pachniała chlebem. Smakowała sałatą. Była silna, błogosławiona i świeża. Broniła mnie. Obejmowała. Zachęcała. Wypisywała moje imię na metce marynarki pod sercem. „Pod sercem, żebyś mi się nie zgubił”. Tam teraz przenoszę moją obolałą rękę, pustą rękę, dobrą rękę mojego ciała rozdartego na pół. Nie znajduję nic. Nie ma łaty. Nie ma imienia. Nie ma serca. Nie ma metki. Wyrwali mi ją, krzyczę do wewnątrz. Wyrwali mi moje imię. Pozbawili mnie mojego serca. Porzucili mnie przy linii w nocy. Nienawidzę ich. Muszę ich nienawidzić. Ale wolę kochać ją. Ona też jest nieobecna - jak ja. W takim razie dlaczego nie możemy się spotkać? Oboje nieobecni, powinniśmy się spotkać. Jestem zgłodniały jej obecności, jej seksu, jej głosu, jej młodości, jej starości. Dlaczego nie jesteś ze mną, Kamelio? Zatrzymuję się. Spoglądam na gwiazdy. Spoglądam w noc. Jestem zdziwiony. Świat wraca do mnie. Ziemia pulsuje i woła mnie. Wypowiedziałem imię ukochanej. To wystarcza, żeby świat powrócił do życia. Wypowiedziałem pierwsze imię mojej samotności, i to jest imię kobiety, imię, które uwielbiam. Mówię i myślę to wszystko, a w mojej głowie otwierają się drzwi wodnej pamięci. To jest odpowiedź na suszę, która mnie otacza. Pachnie wysuszoną ziemią. Kamienistym ugorem. Ostem. Cierniem. Kolcami. Pragnieniem. Pachnie nieobecnością deszczu, dalekością burzy. Imię Kamelia to jedyne, co czuć deszczem. Kamelia. Pada deszczem na moją głowę. Jest kwiatem, jest kroplą, jest złotem. Pieszczę to imię oczami. Pozwalam mu toczyć się po moich zamkniętych powiekach. Chwytam je w wargi. Rozsmakowuję się nim. Połykam je. Kamelia. Jej imię. Błogosławię je. I przeklinam. Dlaczego inni nie byli tacy jak ona? Dlaczego inni byli niewdzięczni, chciwi, okrutni? Nienawidzę imienia Kamelia, dlatego że otwiera drzwi innym imionom, których nie chcę pamiętać. Czuję wstyd, gdy to myślę. Nie mogę odrzucić imienia Kamelia. To tak jak zabić ją i popełnić samobójstwo w tej samej chwili. Wtedy uświadamiam sobie, że imię tej kobiety zmusza mnie do poświęcenia. Wyrwa mnie ze mnie

samego. Do chwili, kiedy wypowiedziałem imię Kamelia, mówiłem tylko o sobie samym. Nie znam swojego imienia i nie jest mi to potrzebne. Jeżeli mówię do siebie, nie jest mi potrzebne imię. Moje imię jest dla innych. Ja mówię do mojego ja i nie muszę sam sobie nadawać imienia. Inni to inni. Ja nie jestem Julio, ani Hector, ani Jorge, ani Carlos. Mój dialog z moim ja jest wewnętrzny, zespolony, niepodzielny. Najcieńsze ostrze skalpela nie zmieści się między oba głosy tego ja będącego moim ja, rozmawiającym z moim ja. Inni to inni. Są zbyt teczni. Są winni. Ale mówię „Kamelia” i Kamelia odpowiada mi. Już nie mówię sam do siebie. Już ty rozmawiasz ze mną. I jeżeli ty rozmawiasz z moim ja, ja muszę rozmawiać z innymi. Muszę nadawać imię innym. Nigdy nie brałem winnych w obronę, tylko brałem w obronę innych. Teraz muszę dawać imię wszystkiemu, żeby móc dać jej. Wymów imię wszystkich, żebyś dał imię mnie. Wymawiam jej imię - Kamelia. Pamiętam ją - moją żonę. I muszę pamiętać o nich - moich dzieciach. Mój opór, żeby tego nie robić, jest kolosalny. Monstrualny. Nie chcę nadać im ich imion. Chciałbym, żebyśmy pozostali sami, Kamelia i ja. Po co je mieliśmy? Po co je ochrzciliśmy, bierzmowaliśmy, obchodziliśmy ich urodziny, całowaliśmy, wychowywaliśmy z całym poświęceniem? Żeby pewnego dnia powiedziały mi: „Dlaczego nie jesteś jak twój brat, a nasz stryj? Dlaczego musiałeś zostać biedakiem i nędzną kreaturą? Dlaczego przegrałeś swoje życie, walcząc o przegrane sprawy? Jak możesz oczekiwać, że cię będziemy szanować?” „Anglofilskie wyrzutki - powiedziałem im. - Nie stawajcie po stronie wroga”. Roześmiali się. Przecież z drugiej strony jest gorzej, to Meksyk jest wrogi. To po meksykańskiej stronie istnieje więcej niesprawiedliwości, więcej korupcji, więcej kłamstwa, więcej biedy. Dziękuj, że jesteśmy jankesami. To powiedział mój syn, bardziej szorstki i rozgoryczony. Córka próbowała być delikatniejsza. Gdziekolwiek spojrzysz, tato, po tej strony granicy czy po tamtej, wszędzie jest niesprawiedliwość i ty tego nie naprawisz. Także nas nie możesz zmusić, żebyśmy poszli twoją drogą. Stary uparciuchu. Stary durniu. Mają rację ci, co mówią tu, w jankeskiej szkole, że co minutę rodzi się dureń. Nie przystawiliśmy ci pistoletu do głowy, żebyś nas miał i wychowywał. Nic ci nie zawdzięczamy. Jesteś balastem. Gdybyś przynajmniej był politycznie w porządku. Przynosisz nam wstyd. Komunisto. Meksykaninie. Podżegaczu. Nie dałeś nam nic. Byłeś zobowiązany nam dawać. Rodzice są od tego, żeby dawali. Natomiast ty wiele nam zabrałeś. Zmusiłeś nas do usprawiedliwiania się, zapierania, utwierdzania w tym wszystkim, czym ty nie jesteś, żebyśmy mogli być sobą. Być kimś. Być z drugiej strony. Niepotrzebnie się gorszysz. Niepotrzebnie robisz taką minę. Jeżeli wyrasta się przy granicy, trzeba kiedyś wybrać jedną lub

drugą stronę. My wybraliśmy północ. Nie jesteśmy takimi durniami jak ty. Przystosowaliśmy się. Wolisz, żebyśmy tak przegrali życie jak ty? Spieprzyłeś je naszej matce. Ale z nami ci się to nie uda. Stary furiacie. Stary choleryku. Już nie pamiętasz, jak sam używałeś przemocy? Swojej niepohamowanej wściekłości, swojego gigantycznego gniewu? Jakże stopniowo zacząłeś się wypalać, stać bezbronię przed takim zwykłym faktem, jakim jest młodość. Jak są młodzi, wybaczają się im wszystko. Jak są młodzi, obsypuje się ich komplementami. Jak są młodzi, zawsze mają rację. Czuję się otoczony przez północ i południe, z obu stron, przez świat, który czci młodych. Przez moje oczy przepływają teraz ogłoszenia, reklamy, zamówienia na towary, pokusy, witryny, czasopisma, telewizory, wszystko to głosi młodość, uwodzi młodych, przedłuża młodość, gardząc starością, na bok odstawiając starych, aż przeżyte lata stają się zbrodnią, chorobą, nieszczęściem, które odbiera ci miano istoty ludzkiej. Odgradzam się szybko od tego natłoku rozjarzonych świateł, oślepiających, wielokolorowych, rozszczepionych, owalnych, błędnych. Zamykam oczy. Podwajam noc. Zaludniam ją duchami. Powracam po omacku na ziemię. Ona jest jak moje ślepe spojrzenie. Ona jest czarna. Tym razem ciemna część świata, którą zwiemy ziemią, przyjmuje mnie. Jest pełna światła innego rodzaju. Pośród tego światła stoi starzec. Nie ma butów. Jest ubrany jak meksykański wieśniak. Ale nosi także kamizelkę. Z kieszonki kamizelki wystaje zegarek na łańcuszku. Podchodzę do starca. Kłaniam się. Całuję go w rękę. Gładzi mnie po głowie. Mówi. Słucham go z uwagą i szacunkiem. Snuje pradawne historie. Opowiada, jak wszystko się zaczęło. Mówi, że zawsze było dwóch bogów, którzy stworzyli świat. Jeden mówił, a drugi nie. Ten, który nie mówił, stworzył wszystkie rzeczy nieme na ziemi. Ten, który mówił, stworzył ludzi. Nie jesteśmy podobni do pierwszego boga. Nie możemy go zrozumieć. On jest tym wszystkim, czym my nie jesteśmy, mówi starzec, który gładzi mnie po głowie i który jest moim ojcem. Bóg jest tylko tym, czym my nie jesteśmy. Czczymy go i wiemy, czym jest, tylko dlatego, że nie jest tym, czym jesteśmy ty i ja. Chcę ci powiedzieć, że dzięki niemu wiemy jedynie, czym on nie jest. Ale drugi bóg naraża się, żeby być takim jak my. Daje nam mowę. Daje nam imiona. Odważa się mówić i słuchać. Możemy mu odpowiedzieć. Nie czcimy go tak jak tamtego, ale za to bardziej go kochamy. Wymawiaj imię i mów, synu, ty także musisz mówić i wymawiać imię. Czczij boga stwórcę, ale rozmawiaj z bogiem odkupicielem. Nie zamykaj się w sobie. Doskonałość to nie samotność. Niedoskonałość to wspólnota, ale także możliwa doskonałość. Starzec, który był moim ojcem, dawał mi żuć gorzki peyotl i prosił mnie o jedno. Mów, wymawiaj imiona, narażaj się. Bądź jak bóg,

który nam dał język. A nie jak bóg, dla którego byliśmy niemi. Niemi jak ja w tej chwili, ojciec. Próbuję mu odpowiedzieć. Ale mój ojciec już odszedł, uśmiechając się, z uniesioną w geście pożegnania ręką. Odszedł bardzo daleko. Pochodzi z innego czasu, nie mającego nic wspólnego z moim. Czasu, w którym nie było ambicji, żeby być innym. Czasu paleniska i fajerki. Czasu dymu, wczesnego świtania i czujnych nocy. Czasu masek, sobowtórów i duszy. Czasu *nahuatl*. Czasu, w którym życia były identyczne jak kaktusy i osty. Jakże innego od mojego własnego czasu nauki czytania i pisania, brania lekarstw, przyjmowania ziemi, zrzucania strąków akacji na ulicę, przeglądania się w witrynach wystaw, kupowania gazet, dowiadywania się, kto będzie prezydentem, wbijania sobie do głowy artykułów konstytucji. I jakże inny od czasu moich dzieci, lodówek i telewizorów, dnia bez przyrody, oświetlonych nocy, jedzenia przygotowanego bez użycia rąk, zazdrości o cudze dobra, pragnienia wiary w coś i niemożności znalezienia tego, chęci poznania wszystkiego, żeby skończyć, nie wiedząc nic, w przekonaniu, że wie się wszystko, z niepokojem, że ten nieuk, but z lewej nogi, może wiedzieć więcej. Nie bez powodu są tacy inni. Ale ja kochałem swojego ojca, szanowałem go i mimo wszystko próbowałem znaleźć jego boga odkupiciela, mówcę o wielu językach. Ale teraz jestem taki sam jak bóg niemowa. Porzucony i samotny jak on, bezimienny, ojciec. Całuję twoje ręce wiele, wiele razy. Nie chcę nigdy przestać ich całować. Chcę kochać. Chcę czcić. Nie chcę mówić. Nie chcę pamiętać. I rozumiem, że zostawiono mnie tutaj, porzuconego, anonimowego, żeby sprowokować mnie do przypomnienia sobie, kim jestem. Jeżeli nie wiem tego ja, skąd mają to wiedzieć inni? Mój ojciec poprosił mnie: „Pamiętaj i wymawiaj imiona”. Jak mam mówić, jeżeli nie mogę? Zostałem pozbawiony języka. Atak sprawił, że jestem niemy i sparaliżowany. Ledwo mogę poruszyć jedną ręką, ramieniem. Już mam - nie mówię, ale pamiętam, rozpaczliwie próbuję zastąpić mowę pamięcią. Czyżby mój ojciec nie wiedział, co mi się przydarzyło? Jak może mu przyjść do głowy, by mnie poprosić: mów, wymawiaj imiona, komunikuj. Stary głupiec, czyżby nie miał oczu, żeby dostrzec, że jestem ruiną, starszą niż on, kiedy umarł? Gryzę się w język. Ja jestem szacownym człowiekiem. Ja wierzę w wartość szacunku okazywanego ludziom starszym. Nie tak jak moje dzieci. A może to jest prawo życia pogardzać w skrytości starymi. Zgred, usłyszałeś, jak to mówili. Mumia. Stary grzyb. Matuzalem. Próchno. Ciężar. Nic nam nie zostawił w spadku. Zmusza nas, żebyśmy ciężko na siebie pracowali i w dodatku chce, żebyśmy go jeszcze utrzymywali. Któż ma czas i cierpliwość, żeby go kąpać, ubierać, rozbierać, kłaść do snu, budzić, sadzać przed telewizorem na cały dzień, żeby się zabawił i

nauczył czegoś przy okazji, żeby patrzył w drugą stronę, a nie śledził nas wzrokiem, jakbyśmy to my byli telewizją, czymś żywym, bliskim, nie do zniesienia? Dlaczego nie jest taki jak jego brat, a nasz stryj? Dwadzieścia lat młodszy od niego brat pojął wszystko to, czego nasz ojciec nie rozumiał albo czym pogardzał. Biedą nie można się dzielić. Wpierw trzeba stworzyć bogactwo. Ale bogactwo sączy się pomalutku, kropelka po kropelce. To jest pewne. Cierpliwości. Równość to naiwne marzenie. Zawsze będą głupi i mądrzy. Zawsze będą silni i słabi. Kto kogo zwycięży? Ciężko zapracowanego bogactwa nie ma po co rozdawać wśród leni. Ten, kto jest biedakiem, jest nim z własnej woli. Nie ma klas rządzących. Jest tylko wyższość pewnych jednostek. Teraz śmieję się w skrytości ja z moich dzieci. Kiedy poszli do mojego młodszego brata, żeby prosić go o pomoc, on powiedział im to samo, co oni mówią światu i mnie. Na moje bogactwo zapracowałem własnym wysiłkiem. Nie widzę powodu, żeby utrzymywać rodzinę złożoną z leni i niedołęgów. Jaki ojciec, taki syn. Jesteście nieodrodnymi dziećmi mojego brata. Chcecie tylko żyć z miłosierdzia. Mówię wam to dla waszego dobra, radźcie sobie sami. Nie oczekujecie niczego ode mnie. Od morza do morza. Od Pacyfiku do Zatoki Meksykańskiej. Od Tijuany do Matamoros. Martwa część mojego mózgu powraca, tak jak chciał mój stary ojciec, pełna imion. Wzdłuż granicy słyszę imię mojego wszechpotężnego brata. Ale jego prawdziwe imię to Kontrakty. Jego imię to Przemyt. Jego imię to Giełda Papierów Wartościowych.

Autostrady. Montażownie. Burdele. Bary. Gazety. Telewizje. Narkodolary. I nierówna walka z bratem, który jest biedakiem. Walka między braćmi o los naszych braci. Anonimowych braci. Jak się nazywam ja? Jak się nazywa mój brat? Nie mogę odpowiedzieć, dopóki się nie dowiem, jak nazywają się wszyscy moi anonimowi bracia. Dlaczego przechodzą przez granicę? Na wszystko mamy różne argumenty. On: jankesi mają prawo do obrony swoich granic. Ja: nie można mówić o wolnym rynku, a później zamknąć granicę przed robotnikiem, który odpowiada na popyt. On: to przestępcy. Ja: to robotnicy. On: przychodzą na obcą ziemię, powinni uszanować jej prawa. Ja: wracają na własną ziemię, bo my byliśmy tu wcześniej. To nie kryminaliści, to robotnicy. Słuchaj, Pancho, chcę, żebyś u mnie pracował. Chodź tutaj. Potrzebuję cię. Słuchaj, Pancho, już cię nie potrzebuję. Zmiataj stąd. Właśnie doniosłem na ciebie do Urzędu Imigracyjnego. Nigdy cię nie zatrudniałem. Kiedy będziesz mi potrzebny, będę cię zatrudniał, Pancho. Kiedy będziesz zbyt cenny, będę na ciebie donosił, Pancho. Będę cię bił. Polował na ciebie jak na królika. Wysmaruję cię farbą, żeby wszyscy to wiedzieli: jesteś tu nielegalnie. Moi chłopcy zorganizują nagonkę białych

kanibali, żeby cię zabić bez dokumentów, Meksykaninie, Salwadorczyku, Gwatemalczyku. Nie, krzyczę, że nie, nie można robić tego wszystkiego i mówić o sprawiedliwości. To o to walczyłem przez całe życie. Przeciwno mojemu bratu, dla moich braci. I przeciwno nam, przypomniły mi moje dzieci. Żebyśmy nigdy nie zaznali dobrobytu, postępu, nie wykorzystali szansy, nie połączyli się z północą. Przeciwno naszemu własnemu stryjowi, żeby nie wziął nas w opiekę. Wydałeś wyrok na siebie i na nas. Czemu mamy ci dziękować za cokolwiek? Nasza biedna matka była świętą. Znosiła wszystkie twoje szaleństwa. My nie mamy powodu tego robić. Nie dałeś nam nic prócz goryczy. Odpłacamy ci tą samą monetą. Odrętwieńcu. Paralityku. Z kim będziesz mieszkać? Komu jeszcze spieprzysz życie i kogo doprowadzisz do rozpaczki? Kto cię będzie podnosił, kładł, mył, ubierał, rozbierał, dawał ci jeść łyżeczką, woził cię na spacerki w wózku inwalidzkim, wystawiał na słońce, żebyś nie usechł ze zgryzoty? Kto ci będzie wycierał smarki, czyścił ci szczękę, wachał twoje smrody, obcinał ci paznokcie, mył tyłek, czyścił uszy z wosku, golił cię, cesał, spryskiwał dezodorem pod pachami, zakładał ci śliniak do jedzenia, ocierał ci gębę, kto? Kto ma czas, ochotę i pieniądze na to, żeby ci pomóc? Ja, twój syn, który musi codziennie rano jechać przez granicę do pracy w sklepie Woolwortha po tamtej stronie? Ja, twoja córka, która znalazła pracę jako kierowniczka zmiany w jednej z montażowni po tej stronie? Twój wnuk, który nawet cię nie pamięta i przygotowuje burritos w jednej z restauracji meksykańskich po jankeskiej stronie? Twoja wnuczka, także pracująca w montażowni? Sądzisz, że nie oglądają twojego brata w gazetach, nie czytają, co mówi, co robi, gdzie podróżuje w towarzystwie bogaczy i podstarzałych piękności? Nasze dzieci, a twoje wnuki, które męczą się, żeby skończyć szkołę średnią po amerykańskiej stronie, i chcą jedynie cieszyć się muzyką, ubraniem, samochodami, powszechną zazdrością, którą ty zostawiłeś im w spadku z powodu swojej nieudolności, swojej hojności wobec wszystkich innych prócz własnej rodziny? Rozbrzmiewają mi te zdania w głowie. Dudnią niczym kamienie niesione przez rwący i nieprzejrzysty nurt rzeki. Chciałbym, żeby rzeka uspokoiła się, wpadając do morza. Zamiast tego rozbrzguje się o sterty naniesionego przez siebie świństwa. Nagromadzonego osadu, śmieci, gliny. Z gliny jesteś i w glinę się obrócisz. Glina. Barro. Barroso. Mój gliniany brat Leonardo. Leonardo Barroso. Moje imię. Ja sam. Nie mam go. Wyrwali mi je. Nawet do szpitala nie mogą mnie oddać. Nawet do przytułku dla starców. Moje imię jest na czarnych listach. Tutaj i tam. Pozbawili mnie wszelkich praw. Podżegacz. Komunista. Wstęp wzbroniony. Nawet miłosierdzie nie jest dane temu burzycielowi. Niech się nim opiekuje jego własna rodzina. Wy-

rwali mi metkę. Założyli mi pieluchy. Posadzili mnie w wózku. Porzucili przy linii. Przy linii niepamięci. W miejscu, w którym nie znam swojego imienia. W miejscu, w którym jestem, a zarazem mnie nie ma. W strefie przejściowej, niezdecydowanej, między moim życiem a moją śmiercią. Przykro nam, tutaj nie możemy pana przyjąć. Tam także nie. Państwo rozumieją. Miał kilka procesów. Nie jest godny zaufania. Napiętnowany. Ma przeszłość polityczną nie do przyjęcia. Nie jest lojalny. Ani tu, ani tam. Jest czerwony. No to niech się nim opiekuje lud. Niech się nim opiekują Rosjanie. Niech nie naraża naszych robotników. Ani tu, ani tam. CTM. AFL-CIO. Wolność tak. Komunizm nie. Demokracja - zobaczymy. Pewnie by mnie zabili. Lepiej by było dla nich. Tchórze. Porzucili mnie w pierwszym lepszym miejscu. Na pastwę żywiołów. Na pastwę anonimatu. Słyszałem, jak mówili: jeżeli go porzucimy bez imienia, to go przygarną, bo będzie im go żal. Jego imię jest przekłete. Wszystkich nas kała. To nasza żółta gwiazda. Nasz krzyż. Nasza Kalwaria. Wyświadczamy mu przysługę. Przecież nikt nie wie, kim jest. Będą mu współczuć. Przygarną go. Otoczą opieką, której my nie możemy mu dać ani nie chcemy. Niech inni się z nim męczą. Hipokryci. Skurwysyny. Nie to nie. Są dziećmi Kamelii. Ona była święta. Ale można być dziećmi świętej i zarazem nędznymi kreaturami. Znędzysyny, tak, to - tak. Co może chodzić po głowach ludziom, którzy robią coś takiego swojemu staremu ojcu? Co złego dzieje się w świecie? Co się rozwalilo? Nic, mówię sobie. Wszystko jest tak, jak było. Niewdzięczność i wściekłość nie powstały dzisiaj. Jest wiele sposobów porzucenia. Jest wiele sierot. Młodych i starych. Małych, a nawet zmarłych. Chciałbym zapytać Kamelii, może ona pamięta. Co zrobiliśmy naszym dzieciom, że mnie tak traktują? Musi być coś, o czym nie pamiętamy. Coś, czego one same już nie pamiętają. Coś, co tak głęboko weszło nam w krew, że ani dzieci, ani ja nie wiemy, co to jest. Strach? Może nawet żaden szpital, żaden przytułek, żaden związek zawodowy nie zamknąłby mi drzwi przed nosem. Może moje dzieci postępują tak dla zwykłej przyjemności. Szukają pretekstów. Chcą robić to, czego nie robiły. Daje im to satysfakcję. Rozśmiesza je, mszczą się, czują łaskotanie najgorszego zła. Zła za darmo, zła, które nie ma ceny i za darmo łaskocze nas po brzuchu. Jestem jeszcze jednym sierotą. Sierotą zła. Osieroconym przez własne dzieci, które być może są tylko wygodnickie, a nie zepsute. Obojętne tylko, niekoniecznie okrutne. Ja już nie mogę zrobić nic. Ani mówić. Ani ruszyć się. Ledwo mogę patrzeć. Ale zaczyna się rozjaśniać. Noc była hojniejsza od dnia. Pozwalała na siebie patrzeć. Świt mnie oślepia. Myślę o sierotach. Młodych i starych. Małych, a nawet zmarłych. Słyszę je. Ich szmer dobiega do mnie. Szmer stóp. Niektóre z nich bose. Inne mocne, na obcasach, w

butach. Jedne bardziej szurają podszwami. Drugie mają obuwie na gumie. Jeszcze inne mieszają się z ziemią. Chód sandałów. Chód bez sandałów. „Ay, Chihuahua, iluż Apaczów, iluż Indian bez sandałów”. Nie ruszaj się nigdzie bez sandałów, mawiał mój ojciec. Słyszę kroki i czuję strach. Pomodłę się jeszcze raz, choćbym miał się zsikać. Pochwalona niech będzie dusza i Pan, który nam ją zsyła. Pochwalony niech będzie dzień i Pan, który nam go zsyła. Świta. Świta sylwetkami, na które patrzę ze swojego wózka. Słupami i kablami. Drutami kolczastymi. Ulicami. Wysypiskami. Blaszanymi dachami. Domami z tektury uczepionymi wzgórz. Antenami telewizyjnymi, wdrapującymi się na zbocza wąwozów. Śmietnikami. Nieskończonymi śmietnikami. Latyfundiami śmietników. Psami. Niech się do mnie nie zbliżają. I szuraniem stóp. Szybkich. Przebiegających przez granicę. Porzucających ziemię. Szukających świata. Ziemia i świat, zawsze. Nie mamy innego domu. I ja na wózku, w bezruchu, porzucony na linii niepamięci. Do czego należę? Do jakiej pamięci? Do jakiej krwi? Słyszę kroki naokoło mnie. Wyobrażam sobie wreszcie, że tamci na mnie patrzą, i patrząc na mnie, wymyślają mnie. Ja już nie mogę zrobić nic. Zależę od nich, od tych, co biegną od jednej granicy do drugiej. Bronilem ich całe życie. Odnosiłem sukcesy. Ponośliem porażki. To nierozłączne. Oni muszą teraz na mnie patrzeć, żeby mnie stworzyć swoimi spojrzeniami. Jeżeli przestaną na mnie patrzeć, stanę się niewidzialny. Nie mam nikogo więcej, tylko ich. Ale oni także mówią mi, że ja nie patrzę na nich, bo nie wymawiam ich imion. Już wam to mówiłem. Nie mogę znać imion milionów kobiet i mężczyzn. Oni odpowiadają mi, przemykając się prędko: „Wymów imię ostatniego mężczyzny. Nazwij z miłością ostatnią kobietę. To będzie imię wszystkich. Jeden mężczyzna, jedna kobieta są wszystkimi mężczyznami i wszystkimi kobietami”. Odrodzi się dzień. Czy przyniesie moje własne imię pośród swoich obietnic? Rozmawiałem z sobą samym całą noc. Czy to właśnie jest doskonały stan prawdy, zrozumienia? Samotny mężczyzna rozmawiający sam ze sobą. Noc umocniła mnie, każąc mi w to wierzyć. Błagam, żeby za dnia przyszedł kto inny i powiedział coś. Cokolwiek. Niech mi pomoże. Niech mnie znieważy, ale niech wypowie moje imię. Gliniane imię. Gliniana dusza. Barroso. Kamelia moja żona. Leonardo mój brat. Nie pamiętam imion moich dzieci i moich wnuków. Nie znam imienia ostatniego mężczyzny, które jest imieniem wszystkich mężczyzn. Nie znam imienia ostatniej kobiety, która kocha w imieniu wszystkich kobiet. A jednak wiem, że w ostatnim imieniu ostatniego mężczyzny i w tej ostatniej pieszczocie ostatniej kobiety kryje się tajemnica wszechrzeczy. To nie jest ostatnie imię. To nie jest ostatni mężczyzna. To nie jest ostatnia kobieta ani jej ciepło. To tylko ostatnia

istota, przechodząca przez granicę, po wyprzedzającej ją, ale przed następującą po niej. Wychodzi słońce i patrzę na ruch przygraniczny. Wszyscy przebiegają przez linię, gdzie stoję nieruchomo. Jedni bojaźliwie, inni radośnie. Ale-nigdy nie zaczynają ani nie kończą. Ich ciała następują po sobie albo się poprzędają. Ich słowa także. Zmieszane. Niezrozumiałe. Czy to jest to, co chcą mi powiedzieć? Czy nie ma początku ni końca? Czy to chcą powiedzieć, nie patrząc na mnie, nie mówiąc do mnie, nie zwracając na mnie uwagi? Nie przejmuj się? Nic się nie zaczyna, nic się nie kończy? Czy to mi chcą powiedzieć? Rozpoznamy cię, nie rozróżniając. Czy warto zwracać na ciebie uwagę, kierować do ciebie słowo? Czujesz się taki wyjątkowy, kiedy tak siedzisz tam, sparaliżowany i niemy, bez metki, która mówiłaby coś o twojej tożsamości, w pieluchach i z rozpiętym rozporkiem? No to dowiedz się, że jesteś taki sam jak my. Pozwalamy ci być częścią nas. Jednym z nas. Naszego nieskończonego początku. Naszego nieskończonego końca. Czy to są słowa wolności? Co to za wolność? Czy mi za nią dziękujecie? Przyznajecie, że pomogłem wam ją otrzymać. Jaka to jest wolność? Czy to jest wolność walki o wolność? Choćby nigdy się jej nie miało otrzymać? Choćby miało się ponieść porażkę? Czy taka jest lekcja tych mężczyzn i kobiet wykorzystujących pierwsze promienie światła, żeby przebiec przez linię niepamięci?

O czym nie pamiętają? Co pamiętają? Jakaż to nowa mieszanka pamięci i niepamięci czeka na nich po drugiej stronie linii? Jestem między ziemią a światem? Do czego należałem bardziej, kiedy żyłem? Do czego, kiedy umarłem? Moje życie. Moja walka. Moje przekonania. Moja żona. Moje dzieci. Mój brat. Moi bracia i siostry, którzy przekraczacie linię, choć zabijają was i poniżają. Wymówcie imię tego, który chciał wymówić wasze imię. Wypowiedzcie słowo do tego, który mówił, by was bronić. Nie porzucajcie mnie także. Nie unikajcie mnie. Jeszcze jestem nie do uniknięcia. Mimo wszystko. W tym jestem podobny do śmierci. Jestem nie do uniknięcia. W tym jestem też taki jak życie. Jestem możliwy tylko dlatego, że umrę. Byłbym niemożliwy, gdybym był nieśmiertelny. Moja śmierć będzie gwarancją mojego życia, jej horyzontem, jej możliwością, śmierć to mój kraj. Jaki kraj? Jaka pamięć? Jaka krew? Ciemna ziemia i świat, który świta, mieszają się w mojej duszy, zadając te pytania, stapiając je na stałe z moim najintymniejszym bytem. Z tym, czym jestem, czym byli moi rodzice lub czym będą moje dzieci. Stopy przebiegają przez linię. Nie ma powodu bać się ich szurania. Co niesiecie, co przynosicie? Nie wiem. Ważne jest, że nie-

sieacie i przynoscicie. Mieszajcie się. Zmieniajcie się. Niech bez ustanku kręci się świat. Mówi wam to świat stary, niemy i nieruchomy. Ale nie ślepy. Mieszajcie się. Zmieniajcie się. To tego właśnie broniłem. Prawa do zmian. Radości płynącej z tego, że jest się żywym, inteligentnym, energicznym, dawcą i biorcą, ludzkim zbiornikiem języków, różnych krwi, pamięci, piosenek, niepamięci, sytuacji czasami do uniknięcia, a czasami nie do uniknięcia, fatalnych zawiści, odradzających się nadziei, niesprawiedliwości, które trzeba naprawić, pracy, którą należy opłacić, godności, którą należy uszanować, ciemnej ziemi tutaj i tam, tego świata stworzonego przez nas i nikogo więcej. Tutaj i tam? Nie chcę nienawidzić. Ale chcę walczyć. Chociażbym nie mógł się ruszyć, na wózku, niemy i bez znaków tożsamości. Chcę być. Mój Boże, chcę być. Kim będę? Jak strumień wpadają w moje spojrzenie, w moje oczy, w moje usta ich imiona, przekraczając wszystkie granice świata, rozbijając kryształ, który ich oddzielał. Przychodzą ze słońca i z księżycą, z dnia i z nocy. Podnoszę z trudem twarz, żeby spojrzeć twarzą ku słońcu. To co spada na moje czoło, to kropla. Później druga. Padają coraz rzęściej. Ulewa. Gęsty deszcz tu, gdzie nigdy nie pada. Stopy zaczynają biec jeszcze śpieszniej. Podnoszą się głosy. Dzień, od którego oczekiwałem, że będzie pełen światła, robi się nieprzejrzysty. Mężczyźni i kobiety biegną, osłaniają sobie głowy gazetami, chustami, swetrami, kurtkami. Deszcz dudni w blaszane dachy. Deszcz rozdyma góry śmieci. Deszcz przepływa przez wzgórza, obmywając je, przez wąwozy, rozmywając je, pociągając za sobą wszystko, co napotyka, oponę, drewniany ganek, kawałek celofanu, starą skarpetkę, gwałtownie powstałe bajoro, pełne błota, dom z tektury, antenę telewizyjną. Świat ukazuje się porwany przez wodę, zatopiony, bez pary, w rozłące z ziemią... Sądzę, że się utopimy. Sądzę, że to kolejny potop. Niekończący się deszcz ściera linię, na której trwam bez ruchu. Prędkie stopy zostawiają ślady na jezdni, jakby była z piasku. Oni zbliżają się. Słyszę wycie syren. Słyszę podniesione, zdziwione głosy w padającym deszczu. Szybkie, mokre kroki. Ręce, które mnie przeszukują. Światła karetek, pytające, niepewne, kręcące się w kółko, błędzące, poszukujące, ścigające... Jakiś starzec, mówią. Jakiś nieruchomy starzec. Starzec, który nie mówi. Starzec z rozpiętym rozporkiem. Starzec w zaszczanych pieluchach. Starzec w zniszczonym i przemoczonym ubraniu. Starzec w wojskowych butach, z tych, które zostawiają ślady na ulicach, jakby asfalt był piaszczystą plażą. Starzec, któremu zerwano metki z ubrania. Starzec bez portfela. Starzec bez dokumentów: paszportu, kart kredytowych, dowodu tożsamości, książeczki ubezpieczeniowej, kalendarzyka na nowy rok, zielonego kryształu granicy. Starzec bez plastiku. Starzec o sztywnym karku. Starzec o czystych oczach, otwartych ku

niebu, obmytych deszczem. Starzec o nastawionych uszach z małżowinami ociekającymi deszczem. Porzucony starzec. Kto mógł mu to zrobić? Nie ma dzieci, krewnych? Widać ktoś mu chciał dopieprzyć. Dokąd go zawieźć?

Jeszcze dostanie zapalenia płuc. Szybko, ładujcie go do karetki. To stary człowiek. Może uda nam się sprawdzić, kto to taki. I kim są te nędzne kreatury, które go porzuciły. Starzec. Staruszek. Starzec, który nie chce umierać. Starzec Emiliano. Emiliano Barroso. Jaka szkoda, że nigdy nie będę mógł tego powtórzyć. Jak dobrze, że w końcu zdołałem sobie przypomnieć. To ja.

MALINTZIN Z MONTAŻOWNI*¹

Enrique Cortazarowi, Pedrowi Garayowi i Carlosowi Salas'Porrasowi

Dano jej imię Marina z chęci ujrzenia morza. Na chrzcie jej rodzice powiedzieli: może wreszcie tej uda się zobaczyć morze. W wiosce na pustynnej północy młodzi zbierali się razem ze starymi i starzy mówili, że kiedy oni byli młodzi, ich starzy powiedzieli im, jakie jest morze, nikt z nas nie widział nigdy morza.

Teraz, kiedy wschodzi mroźne słońce stycznia, Marina widzi jedynie ubogie wody Rio Grande i ma uczucie, że słońce jest takie zimne, iż chciałaby z powrotem schować się pod ciemne pierzyny pustyni, na którą się zapuszcza.

Piąta rano, a ona musi być w fabryce o siódmej. Jest już spóźniona. Opóźniła ją wczorajsza miłość z Rolandem, wypad na drugą stronę rzeki do El Paso w Teksasie i samotny, bojaźliwy powrót późną nocą, przez międzynarodowy most do jednoizbowego domku z klozetem w kolonii Bellavista w Ciudad Juarez.

Rolando został w łóżku, trzymając jedną rękę pod głową, a w drugiej przyklejoną do ucha komórkę. Spoglądał na Marinę z pełną znużenia satysfakcją, ona zaś nie poprosiła go, żeby ją odwiózł z powrotem; wydał jej się tak wygodnie ułożony, taki dziecinny, taki skulony, a zarazem otwarty, wilgotny i ciepłutki. No i przede wszystkim gotów do rozpoczęcia pracy, telefonował ze swojej komórki od najwcześniejszych godzin rannych, kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, tym bardziej jeśli się jest Meksykaninem i robi się interesy z tymi z drugiej strony granicy.

Przejrzała się w lustrze przed wyjściem. Była senną pięknnością. Miała jeszcze grube dziewczęce rzęsy. Westchnęła. Włożyła niebieską puchową kurtkę, zupełnie niepasującą do jej mini, bo kurtka sięgała do kolan, a spódniczka ledwie zakrywała uda. Adidasy, które Marina nosiła w pracy, schowała do worka i przewiesiła go sobie przez ramię. Do pracy chodziła w pantoflach na wysokich i cienkich obcasach, chociaż czasami zapadały się w błoto albo łamały na kamie-

¹*Malintzin (doña Marina) - kochanka Cortesa, zdobywcy Meksyku.

niach. Jankeski robiły odwrotnie, szły do pracy w adidasach, a w biurach wkładały pantofle na obcasie. Marina natomiast za nic nie przepuściłaby okazji pochwalenia się swoimi eleganckimi butami, nikt nie zobaczy jej nigdy w klapkach jak jakiejś Apaczki.

Złapała pierwszy autobus na ulicy Cadmio, i tak jak każdego ranka, spróbowała spojrzeć dalej, poza dzielnicę bloków i nędznych domów, które wyglądały niczym zrodzone z ziemi. Codziennie, obowiązkowo, usiłowała spoglądać na szeroki horyzont, niebo i słońce wydawały jej się opiekunami, były pięknosćmi świata, niebo i słońce należały do wszystkich i nie kosztowały nic. Zwyczajli ludzie nie mogli zrobić czegoś tak pięknego, wszystko inne musi być brzydkie w porównaniu ze słońcem, niebem... i - jak powiadają - morzem.

Zawsze na koniec widziała zbocza gór gwałtownie opadające ku rzece i przyciągające jej spojrzenie jakby siłą grawitacji; zdawało się, że dopiero wewnątrz duszy wszystkie rzeczy spadają. Już o tej godzinie zbocza gór w Ciudad Juarez wyglądały jak mrowiska. Aktywność najbiedniejszych dzielnic zaczynała się wcześniej rano; rój ludzki z nędznych domków i pochyłości wylewał się na brzeg szerokiej rzeki i próbował przejść na drugą stronę. Wtedy ona odwracała twarz, nie wiedząc, czy to, co widzi, drażni ją, zawstydzia, wywołuje współczucie czy chęć pójścia w ślady tych, co przekraczają granicę.

Lepiej już utkwic wzrok w samotnym cyprysie, dopóki drzewo zupełnie nie zniknie jej z oczu.

Cyprys został w tyle i Marina ujrzała tylko beton, ściany z betonu, długą aleję wciśniętą w beton. Autobus zatrzymał się w polu, gdzie chłopcy w krótkich spodenkach grali w piłkę, żeby się rozgrzać, i przejechał, dygocząc, przez ugór do następnego przystanku.

Zajęła miejsce obok swojej koleżanki imieniem Dinorah, ubranej w czerwony sweter, dzinsy i buty na płaskim obcasie. Marina objęła swój worek, ale nogi skrzyżowała tak, żeby Dinorah i reszta pasażerów zobaczyli jej gustowne pantofle na wysokim obcasie, zapięte na ładną klamerkę w kostce.

Powiedziały sobie to, co zawsze, jak tam dziecko, z kim je zostawiłaś? Kiedyś pytanie Mariny denerwowało Dinorah, udawała, że go nie słyszy, skrętnie szukała gumy do żucia w torebce albo gładziła pukle krótkich, miedziano-rudych włosów. Później uświadomiła sobie, że każdego poranka przez

całe swoje życie będzie się spotykała z Mariną w autobusie, i odpowiadała szybko, że sąsiadka zawiezie dziecko do żłobka.

- Jest ich tak mało - mówiła Marina.

- Czego?

- Żłobków.

- Tutaj niczego nie starcza, kochana.

Nie zdecydowała się poradzić Dinorah, żeby wyszła za męża, bo ostatnim razem, kiedy to zrobiła, ta odpowiedziała jej gburowato: ty pierwsza poszukaj sobie męża, daj mi dobry przykład, cnotko. Marina nie chciała jej wytykać, że obie są pannami, ona nie ma dzieci, a to zasadnicza różnica: dzieciak potrzebuje ojca.

- A po co mam wychodzić za męża? Tutaj mężczyźni nie pracują. Chcesz, żebym utrzymywała dwóch zamiast jednego? - obruszyła się wtedy Dinorah.

Marina odpowiedziała jej, że mając mężczyznę w domu, mogłaby skuteczniej się bronić przed natrętami w fabryce. Koleżanka miała z nimi wiele kłopotów, bo wyglądała na bezbronną, a nikt nie chciał się za nią narażać. To bardzo zdenerwowało Dinorah i powiedziała Marinie, że wprawdzie pragnęła, żeby zostały przyjaciółkami, bo Bóg postawił je na tej samej drodze, ale jeżeli ona dalej będzie nieproszona udzielać jej rad, to na pewno przestaną ze sobą rozmawiać, a poza tym sama jest niezłą cichą wodą.

- Ja mam Rolanda - odparła Marina, a Dinorah wybuchnęła śmiechem, one wszystkie mają Rolanda, Rolando ma je wszystkie, co sobie wyobrażasz, kretynko.

Ponieważ Marina zaczęła beczeć i łzy, zamiast spływać jej po policzkach, wszystkie zatrzymywały się na rzęsach, Dinorah zrobiło jej się żal, wyjęła jednorazową chusteczkę z torebki, uściśnęła Marinę i wytarła jej oczy.

- Mną się, kotku, nie przejmuj - powiedziała Dinorah. - Ja potrafię się bronić przed wszystkimi tymi obmacywaczami z fabryki. A jeżeli będą nalegać i obiecywać, że jak się z nimi prześpię, to dostanę awans, raczej zmienię pracę. Tutaj i tak nikt nie idzie do góry, tylko wszyscy rozpełzają się na boki, jak kraby.

Marina zapytała Dinorah, czy wiele razy już zmieniała fabryki. To była jej pierwsza praca, ale słyszała, że dziewczyny szybko męczyły się jednym zajęciem i szły do innego. Dinorah oświadczyła, że po dziewięciu miesiącach robienia tego samego zaczyna człowieka boleć w krzyżu i nadweręża sobie kręgosłup.

Musiąły wysiąść, żeby przesiąść się na następny autobus.

- Ty też jesteś spóźniona.

- Przypuszczam, że z tego samego powodu co ty - zażartowała Dinorah, objęły się i roześmiały razem.

Plac już tętnił życiem pod swoimi różnymi namiotami i straganami. Wszyscy wypuszczali z ust zimowe obłoczki pary, a sprzedawcy wystawiali towar albo wywieszali tabliczki: „Przyjdź i weź ze sobą syna na kukurydzę u Ave- li- na”. Dziewczyny zatrzymały się, żeby kupić dwie kolby pikantnej kukurydzy, jeszcze ociekającej wodą i roztopionym masłem, pycha. Roześmiały się z tabliczki: „Stosuj Macho-Bomby - Środek dla Mężczyzn o Słabej Płci” i Dinorah zapytała Marinę, czy zna chociaż jednego takiego. Marina powiedziała, że nie, ale nie to jest najważniejsze, tylko móc wybrać takiego mężczyznę, jakiego się chce. A jakiego się chce? No, takiego, jaki jej się podoba. Dinorah powiedziała, że jedyni mężczyźni, których zna i którym nie staje, to prawie zawsze ci, co się dziewczynom najbardziej naprzykrzają, prześladują je i próbują wykorzystać w fabrykach.

- Rolando taki nie jest. On jest prawdziwym mężczyzną.

- To mi już mówiłaś. I co jeszcze takiego ma?

- Ma telefon komórkowy.

- Aa. - Dinorah rzuciła jej kpiące spojrzenie, ale nie powiedziała nic więcej, ponieważ nadjechał autobus i wsiadły, żeby przejechać ostatni odcinek drogi do montażowni.

W ostatniej chwili wbiegła do autobusu bardzo chuda, ale ładna dziewczyna o orlim profilu, nieczęsto tutaj spotykanym, ubrana w brązowy habit i sandały. Usiadła naprzeciwko nich. Czy nie marzną jej stopy tak bez skarpetek, zapytała Dinorah dziewczyny. Ta wydmuchała nos i odparła, że na tym polegają śluby, jakie złożyła, i cały dowcip w tym, żeby to robić, kiedy jest szron, a nie latem.

- A wy dwie się znacie? - zapytała Dinorah.

- Z widzenia - odparła Marina.

- To Rosa Lupe. Jest nie do poznania, kiedy coś jej odbije, żeby robić za świętą. Mówię ci, normalnie jest całkiem inna. Z jakiego powodu złożyłaś śluby tym razem? - zwróciła się do dziewczyny.

Mojego starego.

Opowiedziała im, że to już cztery lata, jak pracuje w montażowni, a jej mąż - czyli stary - w dalszym ciągu niby to nie może nic znaleźć. Pretekstem są dzieci, no bo kto się będzie nimi opiekował?

Rosa Lupe spojrzała bez złych intencji na Dinorah.

- Stary ma ochotę zostać w domu i opiekować się dziećmi, aż dorosną.

- Utrzymujesz go? - powiedziała Dinorah, żeby zemścić się za aluzję Rosy Lupe.

- Zapytaj w fabryce. Połowa z tych, co tam pracują, zarabia na dom. Jesteśmy głowami domu. Ale ja mam starego. Przynajmniej nie jestem samotną matką.

Aby uniknąć zatargu obu kum, Marina zwróciła uwagę, że już wjeżdżają w ładną część miasta, i wszystkie trzy spojrzały na cyprysy rosnące rzędem po obu stronach drogi. Nic już nie mówiły, czekały jedynie na pojawienie się najpiękniejszego obiektu, który - choć dobrze znały - nie przestawał zadziwiać ich codziennie - fabryki montującej kolorowe telewizory, miraż ze szkła i błyszczącej stali, przywidzenia, bańki kryształowego powietrza. Dziewczyny pracowały pośród sterylnej czystości, blasku, prawie jak w nierealnym śnie, tak nowoczesna była fabryka, park przemysłowy, jak mówili menedżerzy. Montażownie pozwalały jankesom z części wyprodukowanych w Stanach Zjednoczonych, a złożonych w Meksyku przy użyciu dziesięciokrotnie tańszej siły roboczej, produkować zabawki, motocykle, meble, wyroby tekstylne, komputery, telewizory i rzucać je z powrotem na rynek północnoamerykański, po opłaceniu podatku jedynie od wartości dodanej - one zresztą w tych sprawach zbyt dobrze się nie orientowały, Ciudad Juarez było zwykłym miejscem, gdzie wzywała je praca, praca, która nie istniała w pustynnych i górskich wioskach, praca niemożliwa do znalezienia w Oaxaca, Chiapas czy w Dystrykcie Federalnym. Tutaj znajdowała się w zasięgu ręki i chociaż płaca była dziesięć razy mniejsza niż w Stanach

Zjednoczonych, była też dziesięć razy większa niż nic w całej reszcie Meksyku: do znudzenia powtarzała to Candelaria, kobieta trzydziestoletnia, bardzo gruba, prawie kwadratowa, równie szeroka z przodu, z tyłu i z boków, która nie zrezygnowała z tradycyjnego stroju wieśniaczki, choć trudno było poznać, z jakiego regionu, bo przekonująca, poważna, ale uśmiechnięta Candelaria zaczerpywała z każdego po trochu: huśtające się warkocze przewiązywała kolorową, huicholską włóczką, długie haftowane bluzy, zwane huipilami, pochodziły z Jukatanu, spódnice z plemienia Tehuanas, szerokie pasy nosiło plemię Tzotzili, a skórzane sandały, czyli *huaraches*, na podszwach z opon firmy Goodrich, można było znaleźć na każdym targu. Ponieważ Candelaria była kochanką przywódcy antyrządowego związku zawodowego, wiedziała, co mówi; to cud, że nie przepędzono jej ze wszystkich montażowni na cztery wiatry, ale ona zawsze uprzedzała wypowiedzenie, była mistrzynią rotacji, co sześć miesięcy zmieniała miejsce pracy, zaś jej kolejny szef oddychał z ulgą na wiadomość, że podżegaczka odchodzi, a także dlatego, że duża płynność kadr była już wtedy dla przedsiębiorców synonimem niskiej albo w ogóle zerowej świadomości politycznej, dzięki tej płynności nie starczało czasu na podburzanie kogokolwiek. Candelaria, roześmiana, jedynie powiewała warkoczami i dalej rozbudzała świadomość to tu, to tam, co sześć miesięcy gdzie indziej; miała trzydzieści lat, z czego piętnaście spędziła w montażowniach, nie chciała rujnować sobie zdrowia, już kiedyś pracowała w wytwórni farb i od rozpuszczalników się rozchorowała - patrzcie no, przez dziewięć miesięcy musieć puszkować farbę po to, żeby na koniec zostać pomalowaną od środka, to akurat wtedy powiedziała - i wtedy też poznała Beltrana Herrere, mężczyznę dojrzałego, który właśnie dlatego jej się spodobał, dojrzałego, ale o oczach pełnych czułości, a rękach - siły, o śniadej cerze, siwego, z wąsem i w okularach, i Beltran powiedział jej: tutaj z litości nie dadzą wody nawet kogutowi, żeby zdobyć to, czego się potrzebuje, człowiek musi się z nimi siłować na rękę, zgłaszają tu takie wydatki i zyski, jakie im się spodoba, nie ma ubezpieczenia od podwyższonego ryzyka, ani negocjacji, ani emerytur, ani gratyfikacji za ślub, macierzyństwo czy śmierć w rodzinie, robią wielką łaskę, że dają nam pracę, dziękujcie Bogu i zamknijcie gębę na kłódkę, ale ty od czasu do czasu rzuć te trzy słówka, Candelario mojego życia, *three little words*, jak się śpiewa w fokstrocie, będzie strajk powszechny, będzie strajk powszechny, będzie strajk powszechny, powtórz to trzy razy niby jakąś litanie, moja słodka Cande, i od razu zobaczysz, jacy się zrobią bladzi, będą ci przyrzekać podwyżki, dadzą wyrównania, uszanują twoje zdanie, i namówią do zmiany fabryki. Zrób to, ukochana, bo wolę widzieć cię zwolnioną niżli martwą...

- Jak tu pięknie! - westchnęła Marina, starając się nie zniszczyć swoimi sztyletowatymi obcasami zielonej łąki, na której dwujęzyczne tabliczki głosiły: NIE DEPTAĆ TRAWNIKA - KEEP OFF THE GRASS.

- Tutaj jest jak w Disneylandzie - powiedziała Dinorah pół żartem, pół serio.

- Tak, ale pełno tu żarłocznych olbrzymów, które mają ochotę na takie niewinne księżniczki jak wy - odparła z sarkastycznym uśmiechem Candelaria, z góry wiedząc, że jej ironia nie znajdzie uznania wśród tych cielątek. Ale kochała je, mimo wszystko.

Włożyły służbowe niebieskie fartuchy (tylko Rosa Lupe nie) i zajęły miejsca naprzeciwko telewizorów, gotowe do pracy, Candelaria przy płycie głównej, Dinorah przy lutownicy, Marina pierwszy raz przy zgrzewarce. Rosa Lupe zajęła się kontrolą braków, luźnymi drucikami, uszkodzonymi wtyczkami, i w tym samym czasie mówiła do Cande: słuchaj no, przestań wreszcie traktować nas jak głupie gęsi, dobrze, i nie zgrywaj świętej, spryciuło, zawsze nas tylko pouczasz, zawsze nami gardzisz. Ja? - zrobiła wielkie oczy Candelaria - słuchaj, Dinorah, powiedz mi, czy znajdziesz tu większą kretynekę ode mnie, Candelarii, kobietę obciążoną większą ilością obowiązków? Przyjechałam z wioski, sprowadziłam dzieci, później rodzeństwo, na koniec mojego tatę, czy to taki wielki spryt? A może sądzisz, że śpiewająco wystarcza mi na życie?

- Twój lider nie daje ci forsy na drobne wydatki, Candelario?

Kwadratowa dotknęła Dinorah w taki sposób, że złapał ją prąd, była to sztuczka, którą jedynie ona знаła. Dinorah wrzasnęła i nazwała grubaskę świnią, ta jednak tylko się roześmiała i oświadczyła, że każda z nich powinna opowiedzieć swój ulubiony serial telewizyjny: lepiej żyć w zgodzie, żeby spędzając razem czas, nie umrzeć z nudów.

- Po co sprowadziłaś swojego ojca?

- Żeby nie zapomnieć - odparła Candelaria.

- Starych tu nie potrzeba - rzekła głucho Dinorah.

Każda z nich pochodziła skądinąd, dlatego bawiły się

opowiadaniem sobie zaskakujących historii na temat swego pochodzenia, powiązań rodzinnych i wszystkiego tego, co je różniło; czasem znów nie mogły

wyjść z podziwu, że są do siebie podobne pod tak wieloma względami. Rodziny, wioski, krewni - tak, ale one same były jakby podzielone w środku: czy nie lepiej zostawić za sobą tamto wszystko, wymazać z pamięci, zdecydować się na rozpoczęcie nowego życia, tutaj na granicy? A może właśnie trzeba karmić duszę wspomnieniami, nucić piosenki Jose Alfreda Jimeneza, tęsknić za przeszłością, uwierzyć, że brak miłości to śmierć dla duszy? Czasami patrzyły na siebie bez słowa wszystkie trzy - przyjaciółki, koleżanki, Candelaria, która najdłużej pracowała w montażowni, Rosa Lupe i Dinorah, które przyszły w tym samym czasie, Marina najbardziej zielona - rozumiejąc, że nie trzeba sobie mówić nic, żeby powiedzieć to, iż każda z nich potrzebuje miłości, a nie wspomnień, i że zarazem niemożliwe jest oddzielenie pamięci i miłości, to sprawy bardzo skomplikowane. Tą, która najlepiej notowała w pamięci historie, była Candelaria, i jej konkluzja była taka; wszystkie pochodzą z drugiej strony, żadna nie jest stąd, z granicy, to łączy. Lubiła wypytywać dziewczyny, skąd są, a im ciężko było o tym mówić, tylko przy Candelarii, do której miały zaufanie, odważały się spleść w jedną całość miłość i pamięć, a Candelaria chciała zachować tę jedność, czuła, że to ważne, by nie skazać się na niepamięć ani na niekochanie, które jest śmiercią dla duszy. Znowu zanuciła te słowa za niezapomnianym - jak mówili w programach radiowych - Jose Alfredo.

- Z wioski Venustiano Carranza.

- Stąd, z Chihuahua, ale ze środka.

- Nie, ze wsi nie, z miasta, tyle że trochę mniejszego niż Ciudad Juarez.

- No, z Zacatecas.

- Z La Laguna.

- Mój tata sprowadził tutaj całą wieś - powiedziała Rosa Lupe, orlica przebrana za karmelitankę. - Mówił, że nie można już dłużej żyć z dzierżawy. Ziemi było coraz mniej i coraz bardziej wysuszona, za każdym razem, kiedy ją dzieliliśmy między liczne rodzeństwo. Ja zawsze byłam aktywna, bardzo aktywna. W wiosce pilnowałam, żeby uliczki były czyste i ściany pomalowane na biało, lubiłam organizować zabawy, zapraszać muzyków, uczyć chórkę dziecięcą. Mój ojciec uważał, że jestem zbyt inteligentna, żeby tkwić na wsi. Sam przywiózł mnie na granicę, kiedy miałam piętnaście lat. Matka została na dzierżawie z najmłodszym rodzeństwem. Ojciec niczego nie obwijał w bawełnę. Powiedział, że tutaj zarobię miesięcznie dziesięć razy więcej niż cała rodzina tam. Je-

stem bardzo czynna. Nie będę tęsknić. Kiedy on był ze mną tutaj, pogodziłam się z tym. Przedłużał jakby ciągłość mojego życia na wsi. Nie powiedziałam mu, że tęsknię za ziemią, za mamą, rodzeństwem, za świętami religijnymi, procesjami Ofiarowania Pańskiego pełnymi świec, kiedy ubierało się Dzieciątko Jezus, świętem Podwyższenia Krzyża ze sztucznymi ogniami, dostarczającymi tyleż radości, co strachu, Środą Popielcową, kiedy cała wieś obnosiła znak krzyża zrobiony węglem na czole, Wielkim Tygodniem, kiedy wychodzą na ulicę Żydzi z tymi swoimi białymi brodami i wielkimi nochalami, w czarnych chałatach, żeby robić sobie żarty z chrześcijan, za wszystkim, chodzeniem od domu do domu, Trzema Królami, za wszystkim mi było tęskno. Tutaj szukam tych dat w kalendarzu, muszę je pamiętać, tam nie, tam święta przychodziły same, rozumiecie mnie? Ale mój tata umieścił mnie tutaj, w Ciudad Juarez, w jednoizbowym domku w kolonii Bellavista, i powiedział: „Pracuj, ile możesz i znajdź sobie męża, jesteś najinteligentniejsza w rodzinie”. I odjechał.

- Sama nie wiem, co jest lepsze - odezwała się natychmiast Candelaria. - Już wam mówiłam, że dźwigam wiele obowiązków. Kiedy przyjechałam na granicę, przywiozłam ze sobą dzieci, później przyjechali moi bracia. W końcu odważyli się także rodzice. To zbyt duże obciążenie jak na moją jedną pensję, więc uważaj z tymi żartami ze mnie, Dinorah, ty zołzo, nasi mężczyźni dają nam to, na co zasługujemy. To, co mi daje mój ojciec, to aż nadto, to pamięć. Dopóki mój ojciec jest w domu, nie zapomnę. Zobaczycie, jak pięknie jest mieć co pamiętać.

- Nieprawda - zaprzeczyła Dinorah. - Wspomnienia jedynie bołą.

- Ale to dobry ból, tęsknota za czymś dobrym - odparła Candelaria.

- W takim razie ja znam tylko rzeczy złe - ciągnęła Dinorah.

- To dlatego, że nie masz z czym tego porównać, sama nie dajesz sobie szansy, żeby zbierać trochę dobrych wspomnień z przeszłości.

- Świnki-skarbonki są dla świń - odcięła się Dinorah, wściekła.

Rosa Lupe już miała coś wtrącić, kiedy zbliżyła się brygadzystka, kobieta około czterdziestki, bardzo wysoka, z oczami jak szklane kulki i wargami jak fasolka szparagowa, i zaczęła besztać przystojną karmelitankę-orlicę, że narusza regulamin, co sobie myśli, przychodząc do pracy ubrana jak Cudowna Panienska, czy nie wie, że trzeba nosić niebieski fartuch, bo tak każe regulamin i wymaga tego bezpieczeństwo i higiena pracy.

- Złożyłam śluby - wyjaśniła z godnością Rosa Lupe.

- Tutaj twoje śluby są tyle warte co brud za paznokciem - powiedziała brygadzystka. - Dalej, zdejmuj to przebranie i wkładaj fartuch.

- Dobrze, zaraz się przebiorę w łazience.

- O nie, moja panno, nie będziesz przerywała pracy z powodu swoich świętoszkowatych pomysłów. Przebierzesz się tutaj, i to w tej chwili.

- Ale ja nie mam nic pod spodem.

- Czy aby na pewno? - Brygadzystka chwyciła Rosę Lupe za ramiona, zdarła z niej habit do pasa i pozwoliła wydostać się na światło dzienne wspaniałym piersiom Rosy Lupe, po czym ta kobieta o oczach jak szklane kulki ścisnęła je i przesunęła wargami jak fasolka szparagowa po sterzających różowych sutkach przystojnej karmelitanki, która nie zdążyła nawet zareagować ze zdumienia, aż wreszcie Candelaria chwyciła brygadzystkę za trwałą, zwymyślała babę, Dinorah dała tej świni kopniaka w tyłek, a Marina podbiegła szybko do Rosy Lupe i zakryła ją rękami, czując, jak z emocji jej przyjaciółce bije serce, i jak - mimo woli - stwardniały jej sutki.

Przyszedł drugi brygadzysta, mężczyzna, żeby rozdzielić kobiety, przywrócić porządek, pośmiać się ze swojej koleżanki, nie zabieraj mi moich narzeczonych, Esmeraldo, powiedział do rozczochranej brygadzystki, czerwonej z podniecenia jak pomidor, zostaw te sprawy mnie, a ty poszukaj sobie faceta.

- Nie wyśmiewaj się ze mnie, Herminio, zapłacisz mi za to - pogroziła zbita Esmeralda, odchodząc z jedną ręką na czole i drugą w okolicach żołądka. - Nie włącz na mój teren.

- A co, napiszesz raport?

- Nie, będę cię prześladować.

- Już dobrze, dziewczęta. - Brygadzysta Herminio, śniady i łysy jak kolano, uśmiechnął się. - Przedłużę trochę przerwę, idźcie, kupcie sobie coś do picia i myślcie o mnie dobrze.

- Kazesz sobie zapłacić za przysługę? - zapytała Dinorah.

- Same wpadniecie w moje sidła - odparł z lubieżnym uśmiechem Herminio.

Kupiły sobie po puszcze pepsi i przysiadły na chwilę na wprost ładnego fabrycznego trawnika - KEEP OFF THE GRASS - czekając na Rosę Lupe, która pojawiła się w końcu w towarzystwie bardzo zadowolonego Herminia. Była w niebieskim fartuchu.

- Zdaje się, że kot upolował mysz - orzekła Candelaria, kiedy Herminio odszedł.

- Pozwoliłam mu, żeby patrzył, jak się przebieram, wolę, żebyście o tym wiedziały. Zrobiłam to, żeby mu się odwdziaczyć. Lepiej, żebym ja o tym decydowała. Przrzekł żadnej się nie naprzykrzać i bronić nas przed tą świnią Esmeraldą.

- No, no... Tak mało mu... - zaczęła Dinorah, ale Candelaria uciszyła ją spojrzeniem, a inne zaraz spuściły wzrok, nie wyobrażając sobie nawet, że z wysokiej wieży o nieprzejrzystych szybach, pozwalających patrzeć na zewnątrz, nie będąc samemu widzianym, gdzie mieści się kierownictwo fabryki, meksykański właściciel przedsiębiorstwa, don Leonardo Barroso, obserwuje je i wyjaśnia grupie inwestorów północnoamerykańskich, że są tu błogosławieni między niewiastami, bo montażownie zatrudniają osiem kobiet na jednego mężczyznę, uwalniając je od prac domowych, od prostytucji, a nawet od męskiego szowinizmu (don Leonardo uśmiechnął się szeroko), bo pracownica zamienia się szybko w jedynego żywiciela rodziny, i dzięki temu zyskuje na godności i sile, co, oczywiście, wyzwala kobietę, czyni ją niezależną, nowoczesną. Więc to także jest demokracja, czyż nie takiego zdania są jego teksańscy koledzy? Poza tym (don Leonardo miał w zwyczaju wygłaszać od czasu do czasu takie spontaniczne przemówienia, żeby poprawić nastroje jankesów sprawić, ażeby mieli czyste sumienie) pracownice takie jak te, co siedzą tam obok trawnika, popijając pepsi, przyczyniają się do dynamicznego wzrostu gospodarczego, zamiast żyć w biedzie i w zacofaniu na meksykańskiej wsi. Na granicy nie było ani jednej, dokładnie zero montażowni w roku 1965, kiedy to rządził Dfaz Ordaz, dziesięć tysięcy miejsc pracy istniało w 1972, kiedy u władzy był Echeverria, trzydzieści pięć tysięcy w 1982, za Lopeza Portillo, sto dwadzieścia tysięcy w 1988 za rządów De la Madrid, sto trzydzieści pięć tysięcy istnieje teraz, w 1994, kiedy prezydentem jest Salinas, zapewniając jeszcze dodatkowych dwieście tysięcy miejsc pracy w usługach.

- Można mierzyć rozwój kraju rozwojem montażowni! - wykrzyknął rozradowany pan Barroso.

- Muszą być jakieś kłopoty - powiedział jeden z jankesów, bardziej wyschnięty niż najbardziej zeschłe ziarnko żółtej kukurydzy. - Zawsze są jakieś kłopoty, panie Barroso.

- Proszę mi mówić Len, panie Murchinson.

- Jestem Ted.

- Kłopoty związane z pracą? Związki zawodowe są zakazane.

- Kłopoty związane z brakiem lojalności, Len. Ja zawsze starałem się być lojalny wobec moich pracowników. Wiem, że tutaj kobiety wytrzymują sześć, siedem miesięcy i zmieniają miejsce pracy.

Oczywiście, wszystkie chcą iść do Europejczyków, bo tam traktują je lepiej, zwalniają albo karzą nadużywające władzy brygadzystki, zapewniają luksusowy lunch i Bóg wie co jeszcze, możliwe, że nawet wysyłają pracownice na wakacje, żeby mogły oglądać tulipany w Holandii. Spróbuj tak robić, a za rok zyski spadną, Ted.

- W Michigan nie pracujemy w ten sposób. Weź pod uwagę, że robotnicy tracą korzenie, wzrasta zużycie wody, rosną ceny mieszkań, usług. Być może Holendrzy mają rację.

- Wszyscy zmieniamy pracę - odparł wesoło Barroso.

Wy sami odejdziecie, jeżeli wprowadzimy w Meksyku normy ochrony środowiska. Jeżeli ściśle będziemy przestrzegać Federalnego Prawa Pracy, odejdziecie. Jeżeli nadejdzie boom na przemysł zbrojeniowy, odejdziecie. Pan mi mówi o rotacji? Takie są prawa pracy. Jeżeli Europejczycy przedkładają jakość życia nad zyski, to ich sprawa. Niech ich sponsoruje Wspólnota Europejska.

Nie odpowiedziałeś mi, Len. Co ze sprawą lojalności?

Ci, którzy chcą utrzymać grupę lojalnych pracowników, niech robią tak, jak ja. Dajemy im bonny, żeby nie odchodzili. Ale popyt na pracowników jest bardzo duży, dziewczęta nużą się, nie awansują, zazwyczaj tylko zamieniają się miejscami poziomo na tym samym szczeblu i łudzą się, że jeśli zmienią pracę, będzie im lepiej. To powoduje pewne wydatki, masz rację, Ted, ale za to oszczędza innych. Nic nie jest doskonałe. Montażownia w końcu przynosi całym niezłe zyski. Wszyscy na tym zarabiamy.

Roześmiali się, a mężczyzna o siwiejących długich włosach, spiętych w koński ogon, wszedł i podał im kawę.

Dla mnie bez cukru, Villarreal - powiedział do niego don Leonardo, po czym zwrócił się do Amerykanina: - No więc dobrze, Ted. Ty nie masz jeszcze doświadczenia w tej sprawie, ale na pewno twoi amerykańscy koledzy powiedzieli ci już, gdzie tu jest prawdziwy interes.

Nie wydaje mi się złym interesem mieć przedsiębiorstwo sprzedające towar tylko jednemu, i to pewnemu, odbiorcy. Nie mamy czegoś takiego w Stanach Zjednoczonych.

Barroso poprosił Murchinsona, żeby wyjrzał na zewnątrz, ale nie na grupkę robotnic popijających pepsi, tylko na horyzont, przedsiębiorcy północnoamerykańscy zawsze byli wizjonerami, powiedział, a nie prowincjonalnymi dusigroszami jak Meksykanie. Jakże rozległy horyzont można stąd zobaczyć! Prawda? Teksas ma powierzchnię Francji, Meksyk, który zdaje się tak maleńki w porównaniu z USA, jest sześć razy większy niż Hiszpania, ileż tu przestrzeni, ile horyzontu, ile natchnienia, zachwycał się Barroso.

- Ted, prawdziwy interes to nie montażownie, to spekulacje terenami miejskimi. Miejscem pod fabryki. Place budowy. Parki przemysłowe. Widziałeś mój dom w Campazas. Śmieją się z niego. Nazywają go Disneylandem. Ale to ja się będę śmiał ostatni. Te tereny kupiłem po pięć centów za metr kwadratowy. Teraz są warte tysiąc dolarów za metr. W tym jest prawdziwy interes. Zwracam ci na to uwagę. Wejdz w niego.

- Cały zamieniam się w słuch, Len.

- Żeby tutaj dojechać, dziewczęta muszą się tłuc autobusem ponad godzinę, przesiadając się przy tym dwa razy. Nam pasowałoby stworzyć teraz drugi biegun na zachód od tej fabryki. Wykupić tereny kolonii Bellavista. Dziś to jest odludzie pełne nędznych chat. Za pięć lat będzie warte tysiąc razy więcej.

Ted Murchinson zgodził się dać pieniądze reprezentującemu ich Leonardowi Barroso, bo meksykańska konstytucja zabraniała jankesom nabywać posiadłości w strefie przygranicznej. Mówiono o funduszu powierniczym, o akcjach, o procentach, podczas gdy Villarreal serwował rozwodnioną kawę, taką, jaką najbardziej lubią gringos.

- Mój stary chce, żebym rzuciła montażownię i pomogła mu w handlu, w ten sposób widywalibyśmy się więcej i wymienialibyśmy się przy opiece nad dzieckiem. To jedyna odważna propozycja, jaką mi złożył, ale ja wiem, że w głębi serca jest tak samo tchórzliwy jak ja. Cóż, montażownia daje pewność, ale dopóki ja tutaj pracuję, on siedzi uwiązany w domu.

Powiedziała to Rosa Lupe, ale coś w jej słowach poruszyło Dinorah tak strasznie, że kompletnie straciła panowanie nad sobą i poprosiła o pozwolenie pójścia do łazienki. Brygadzystka Esmeralda, żeby uniknąć nowych konfliktów, nie sprzeciwiła się. Czasami używała strasznych wulgaryzmów, kiedy chciały wyjść do toalety.

A teraz ta? - powiedziała Candelaria i zaraz tego pożałowała. Istniało takie niepisane prawo, że nie starały się dociec, co się dzieje z nimi w środku. To, co się działo na zewnątrz i co widać, można było komentować, najlepiej ironicznie. Ale to, co się działo w duszy, w tym, co piosenki nazywają duszą...

Candelaria zanuciła, dołączyły do niej Marina i Rosa Lupe:

Do szaleństwa przywodzi mnie twa obojętność, Twój egoizm i samotność bez dna To klejnoty, co świecą niczym gwiazdy na niebie Biednej duszy, duszy nędznej jak ja...

Pośmiały się trochę i zaraz posmutniały, ale Marina myślała w tej chwili o Rolandzie, co on może teraz robić, chodząc po ulicach Ciudad Juarez i El Paso, to mężczyzna będący jedną nogą tam, a drugą tutaj, połączony z Ciudad Juarez i El Paso swoim telefonem komórkowym.

- Nie dzwoń w nocy do mnie do domu, lepiej zadzwoń do samochodu, na komórkę - powiedział Marinie jeszcze na samym początku, ale kiedy poprosiła o numer, zaczął się z początku wykręcać.

- Mają na oku mnie i moją komórkę - wyjaśnił. - Jeśli choć raz do mnie zadzwonisz, mogę cię narazić.

- No to jak mamy się umawiać?

- Przecież już wiesz, w każdy czwartek wieczorem, po drugiej stronie...

A poniedziałki, wtorki, środy to co? Wszyscy pracujemy, tłumaczył jej Rolando, życie jest ciężkie, trzeba^zaro- bić na talerz fasoli, jedna noc miłości, czy

zdajesz sobie sprawę, że są ludzie, którzy nawet tego nie mają... A soboty i niedziele? Rodzina, mówił Rolando, weekendy są dla rodziny.

- Ja nie mam rodziny, Rolando, jestem sama.

- A piątki? - odparował błyskawicznie Rolando, miał refleks, to fakt, wiedział, że Marina jest bardzo zmieszana, kiedy tylko wspomni się o piątkach.

- Nie. W piątki wychodzę z dziewczynami. To dzień przyjaciółek.

Rolando nie musiał nic dodawać i Marina czekała spragniona na czwartek, żeby przejść po międzynarodowym moście, okazać swój dowód tożsamości, wsiąść do autobusu, który zostawiał ją trzy przecznice od motelu, zatrzymać się przy barze, żeby wypić koktajl czekoladowy z pływającą wisienką, który umieli przygotowywać tylko po jankeskiej stronie, i przybyć, wzmocniwszy ciało i uspiwszy duszę, żeby rzucić się w ramiona Rolanda, jej Rolanda...

- Twój Rolando? Twój? Ich wszystkich.

Miała jeszcze w uszach kpiny dziewcząt, gdy splatała czarne, niebieskie, żółte i czerwone druciki, całą wewnętrzną flagę, ogłaszającą narodowość każdego telewizora, *made in Mexico*, co za duma, kiedy wreszcie napiszą: wyprodukowany przez Marinę, Marinę Alvę Martinez, Marinę z montażowni? Ale nawet tę dumę ze swojej pracy, to ulotne uczucie, że coś warto robić, a nie że jest to bezsensowne zajęcie, przesłaniała zazdrość o Rolanda, Rolanda i jego zdobycze, wszystkie to insynuowały, czasami mówiły o tym wprost, Rolando mężczyzna ich wszystkich, ale jeżeli nawet tak było, jak to dobrze, że i ona otrzymała kawałek miłości od tego eleganta pełną gębą, dobrze ubranego, noszącego garniturę w kolorze samolotu, które błyszczały nawet w nocy, świetnie ostrzyżonego, nie jak jakiś hipis, bez baczków, o czarnych włosach, wąsiku cienkim i wymuskany, o cerze równomiernie oliwkowej, o rozmarzonych oczach i z telefonem komórkowym przyklejonym do ucha, wszystkie go widywały, w luksusowych restauracjach, przed znanymi sklepami, na samym moście, zawsze z komórką przyklejoną do ucha, robiącego właśnie jakiś biznes, łączącego się z kimś, negocjującego coś, podbijającego świat Rolanda, w krawacie marki Hermes i garniturze koloru jumbo jeta, Rolanda naprawiającego świat. Jak taki mężczyzna mógłby dać więcej niż jedną noc tygodniowo Marinie, która dopiero co przyjechała, prostej, ubogiej? On, tak pożądanym, najprawdziwszym *macho*?

- Chodź tutaj - powiedział jej, kiedy za trzecim razem spotkali się w hotelu, a ona rozpląkała się i zrobiła mu scenę zazdrości. - Chodź tu i usiądź przed lustrem.

Ona zobaczyła tylko, że łzy zbierają jej się na dziewczęcych jeszcze rzęsach.

- Co widzisz w lustrze? - spytał Rolando, stojąc nachylony za nią, pieszcząc jej obnażone ramiona, swoimi delikatnymi rękami koloru kawy, pełnymi pierścieni.

- Siebie widzę, siebie, Rolando. O co ci chodzi?

- Tak. Patrz na siebie, Marino. Patrz na tę piękną dziewczynę o gęstych rzęsach i czarnych oczach, spójrz na piękno tych warg, doskonałość tego noska, boskie dołeczki w policzkach, spójrz na to wszystko, Marino, spójrz na tę cudowną dziewczynę, a później spójrz na mnie, kiedy cię zapytam, jak może czuć zazdrość dziewczyna tak piękna, jak może sądzić, że Rolando woli inną, czyżby nie widziała się w lustrze, czyżby nie zdawała sobie sprawy, jaka jest ładna? Czy mógłbym ją zdradzić? Jak mało ma zaufania do siebie samej Marina! Rolando Rozas musi ją jeszcze wiele nauczyć.

Wtedy łzy płynęły jej po policzkach, łzy zmieszania i szczęścia, i rzuciła się na szyję Rolandowi, prosząc go o wybaczenie.

Dzisiaj był piątek, ale piątek trochę inny. Kiedy wychodziły razem z sali montażowej, Villarreal, obsługujący dyrekcję, powiedział Candelarii coś, co bardzo ją zdenerwowało i wytrąciło z równowagi, ją, zazwyczaj tak spokojną. Rosa Lupe, cokolwiek robiła, żeby robić wrażenie spokojnej, była wewnętrznie podenerwowana, i czuła się upokorzona przez Esmeraldę i Herminia, który ją obronił, i próbowała zrozumieć, które z nich dwojga jest gorsze, stara sekutnica czy młody rozpustnik; Dinorah także coś gryzło w środku, Marina usiłowała jeszcze raz przypomnieć sobie wszystkie rozmowy z całego dnia, żeby pojąć, co tak bardzo rozjątrzyło Dinorah, jest przecież dobrą dziewczyną, jej cynizm to tylko zwykła poza, a ona broni się przed życiem, które wydaje jej się niesprawiedliwe, bez sensu, mówiła to nieraz, a teraz daje do zrozumienia... Dziewczyny były tak smutne, tak zadumane, że Marina zdecydowała się zrobić coś niesamowitego, coś zakazanego, coś, co spowodowałyby, że wszystkie poczułyby się raptem zadowolone, inne, wolne...

Zdjęła swoje lakierowane pantofle z klamerkami i na sztyletowatych obcasach, odrzuciła je daleko i boso wbiegła na trawnik, zaczęła tańczyć i śmiać się, kpiąc z tabliczki: NIE DEPTAĆ TRAWNIKA - KEEP OFF THE GRASS - czując cudowne podniecenie fizyczne, tak świeży był ten dywan, tak wilgotny, tak dobrze przycięty, tak łaskotał ją w podeszwy stóp, że deptać go bosymi stopami to było tak, jakby brać kąpiel w jednym z tych zaczarowanych lasów, gdzie młodą, niewinną dziewczynę zaskakuje uzbrojony książę, cały w blasku, lśni woda, las, szpada, gołe nogi, wolność ciała, wolność tego drugiego, jakby to nazywać, ducha, tego o czym mówiły, w wolnym ciele wolny duch...

KEEP OFF THE GRASS

Wszystkie się roześmiały, zaczęły żartować, pochwały ją, ostrzegły, czyś ty zwariowała, Marino, zapłacisz karę, wyrzucą cię...

Nie, roześmiał się don Leonardo Barroso z za swoich nieprzezroczywych okien, spójrz no, Ted, powiedział do gringo wysuszonego jak ziarno kukurydzy, spójrz, co za radość, ile wolności w tych dziewczynach, ile satysfakcji ze spełnionego obowiązku, jak ci się to podoba? Ale Murchinson rzucił mu sceptyczne spojrzenie, jakby mówił: *How many times have you staged this little act?*

Cztery kobiety, Dinorah, Rosa Lupe, Marina i Candelaria, usiadły przy stole tak jak zawsze, niedaleko parkietu dyskoteki, już je tutaj znali, miały rezerwację co piątek. W piątki bardzo trudno znaleźć wolny stolik w „Malibu”, to wielki dzień, śmierć tygodnia pracy, zmartwychwstanie nadziei i jej towarzyszki radości.

- „Malibu?” „Montażu!” - żartował disc jockey w niebieskim smokingu, koszuli z falbanami i fosforyzującym krawacie, stojąc przed tłumem dziewcząt, które wypełniały galerię naokoło parkietu, ponad tysiąc pracownic ściśniętych tutaj, i ta wiecznie ponura Dinorah, mówiąca: to światła, tylko światła, bez światła to beznadziejna obora dla krów, dopiero światło robi z niej coś ładnego. Marina czuła się jak na plaży, tyle że w nocy, na jakiejś cudownej plaży, na której światła niebieskie, pomarańczowe, różowe pieściły ją niby promienie słońca, przede wszystkim zaś światło białe, srebrzyste, jak gdyby to księżyc dotykał jej, a także opalał, pokiywał ją całą srebrem; nie była to wzbudzająca zazdrość brązowa opalenizna (kiedy wreszcie pojedę na plażę?), tylko księżycowoopalowa.

Nikt nie zwracał uwagi na zgorzkniałą Dinorah, wszystkie poszły tańczyć, bez mężczyzn, między sobą, rock tak było można, nikt nie musiał nikogo obej-

mować czy się przytulać, każdy mógł robić to, na co ma ochotę, tańczyć rocka to było coś tak czystego, jak iść do kościoła na niedzielną mszę. Piątek należał do dyskoteki, dusza i ciało oczyszczały się w dwóch świątyniach, jak dobrze było im czterem ze sobą, jakie niesamowite fantazje przychodziły im do głów, rączki tak, nóżki tak, kolana zgięte, włosy i piersi falują, w górę, w dół, pośladki poruszają się bez skrępowania, przede wszystkim zaś twarze, miny, uniesienie, kpina, uwodzicielskie spojrzenia, osłupienie, groźba, zapal, czułość, namiętność, popis, pajacowanie, naśladowanie słynnych gwiazd, wszystko było dozwolone na parkiecie w „Malibu”, wszystkie utracone wzruszenia, każde zakazane i nie stosowne zachowanie, zapomniane wrażenia, wszystko tutaj się mieściło, usprawiedliwienie, rozkosz, przede wszystkim rozkosz, i jeszcze lepiej, i więcej.

Wróciły spocone na miejsce - Candelaria w swoim wieloetnicznym ubiorze, Marina wyszykowana, w mini, w bluzie naszywanej cekinami i pantoflach na wysokich jak sztylety obcasach, Dinorah objawiona w ładnej wydekoltowanej sukience z czerwonej satyny, Rosa Lupe ciągle jako karmelitanka dopełniająca ślubów, ale tutaj fantazja była dozwolona, a nawet cieszyło oczy coś takiego, cała w brązach, ze szkaplerzami - kiedy wybiegli na podest Chippendale Boys, jankescy chłopcy, przywiezieni z Teksasu, w muszkach, ale z obnażonymi torsami, w lakierowanych wysokich butach i slipkach wciskających im się między pośladki i z trudem utrzymujących ciężar seksu, objawiającego wyraźnie swe kształty, krzyczącego do dziewczyn: podnieć mnie swoim spojrzeniem; identyczni, choć różni, każdy obnoszący swoje klejnoty, jak powiedziała ze śmiechem Candelaria, ale tutaj jeden szczegół, wygolone włosy łonowe, dalej drugi, brylant w pępku, jeszcze wyżej tatuaż przedstawiający dwie skrzyżowane flagi, piki i gwiazdy, orła i węża, na ramieniu, niżej jedyny chłopak z ostrogami przy butach, ze wspaniałą męską busolą na ręce. Dziewczyny wciskały im banknoty za slipki, wszyscy mieli blond włosy, ale śniadą cerę, wysmarowani oliwą, żeby błyszczeć jeszcze bardziej, w makijażu na twarzach, jankesi, pożądani jankesi, uwielbiani, mój jest ten, twój tamten, szturchały się łokciami dziewczyny, w moim łóżku, wyobraź go sobie, w twoim, niech mnie bierze, jestem gotowa, niech mnie wykradnie, uwielbiam takie porwania. Jeden z chłopaków przykucnął i zerwał sznur od pokutnego habitu Rosy Lupe, wszystkie się roześmiały, chłopak zaczął bawić się sznurem, podczas gdy Rosa Lupe mówiła: to jest mój dzień, trzy razy próbowano mnie dziś rozebrać, ten niech mnie bierze, roześmiała się, ale Chippendale, opalony, naoliwiony, w makijażu, wygolony pod pachami, zaczął się bawić sznurem, jak gdyby to był wąż; on, niczym zaklinacz, podnosił sznur, doprowadzał go do erekcji, reszta dziewczyn

poszturchiwała Rosę Lupe, pytając ją, czy przygotowała ten *show* razem z jankeskim elegantem, a ona zarzekła się, płacząc ze śmiechu, że nie, i to właśnie było ładne, wszystko tak spontanicznie, z zaskoczenia, a dziewczęta piszczały, prosząc chłopaka, żeby rzucił im sznurek, sznurek, sznurek, a on przeciągał go sobie między nogami, kładł go do brylantu w swoim pępku, jakby to była pępowina, doprowadzając tym dziewczyny do szaleństwa, tak że krzyczały wszystkie, żeby dał im sznurek, żeby związał się z nimi, ich syn w zamian za sznurek, ich kochanek w zamian za sznurek, niewolnik jednych, pan drugich, wszystkie będą związane z nim, on związany z nimi, aż wreszcie facet upuścił koniec sznurka na kolana Dinorah siedzącej blisko wybiegu, a ona wpierv chwyciła go z taką siłą, że prawie przewróciła chłopaka, który krzyknął: Hej!, po czym wydała z siebie wrzask bez słów, odrzuciła sznur i wyszła, przepychając się przez tłum, wywołując zdumienie, komentarze...

Przyjaciółki spojrzwały na siebie zdziwione, ale innym nie dając nic poznać po sobie, z poczucia solidarności wobec przyjaciółki. Chippendale Boys wycofali się wśród oklasków ze slipami pełnymi banknotów, tracąc jeden po drugim swój wyprodukowany seryjnie uśmiech, wracając po zejściu z wybiegu, do codziennego życia, do różnych nastrojów; jeden chłopak był znudzony, drugi opryskliwy, trzeci pełen satysfakcji, tak jakby wszystko, co zrobił, było godne podziwu i warte co najmniej Oscara, kolejny starał się zabić spojrzeniem tę oborę pełną meksykańskich krów, tęskniąc być może za inną oborą, pełną meksykańskich byków; sfrustrowane ambicje, poczucie ograbienia z iluzji, zmęczenia, obojętności, okrucieństwa; złe twarze, powiedziała sobie w duchu Marina, ci chłopcy nie umieliby mnie kochać, nie są tacy jak Rolando, nawet jeśli ma swoje wady...

Ale właśnie zbliżała się najefektowniejsza część spektaklu...

Rozległ się marsz weselny Mendelssohna i pierwsza modelka pojawiła się na wybiegu, z twarzą zakrytą tiulem, rękoma zaciśniętymi na bukietcie niezapominajek, w wianku z kwiatów pomarańczy, szerokiej, marszczonej sukni, jak królowa, jak obłok. Wszystkie dziewczęta wydały zbiorowy jęk zachwyty, który był czymś więcej niż westchnieniem, i żadna nie miała wątpliwości, że twarz osłonięta welonem jest śniada, jak ich twarze, dziewczyna była Meksykanką, obraziłoby je, gdyby to jakaś gńga wyszła ubrana jak panna młoda, chłopcy mogli sobie być jankesami, ale panny młode musiały być meksykańskie, pewnego razu, kiedy wypuścili jako pannę młodą jakąś blondynkę o niebieskich oczach, to dopiero się zrobiło, lokal prawie że poszedł z dymem, teraz już wie-

dzieli, pokaz sukni ślubnych musi być prezentowany przez Meksykan-ki, dla Meksykanek; pięć następujących po sobie panien młodych, bardzo eleganckich i obowiązkowo dziewic, następnie jedna - dla żartu - w taftowej mini i na koniec jeszcze jedna - rozebrana, tylko w welonie, z kwiatami w dłoniach, na wysokich obcasach, gotowa natychmiast położyć się, oddać; wszystkie dziewczyny śmiały się, krzyczały, aż wreszcie pojawił się człowieczek przebrany za księdza, który pobłogosławił je i przepełnił wzruszeniem, wdzięcznością, chęcią powrotu tutaj w następny piątek i sprawdzenia na własne oczy, ile ślubów się spełniło.

Ale przy wyjściu z dyskoteki czekali Villarreal, służący szefa don Leonarda Barroso, i Beltran Herrera, lider i związkowy kochanek Candelarii, mężczyzna pogodny, o śniadej cerze, siwych włosach, czułych oczach, teraz jeszcze bardziej czułych niż zwykle, patrzących zza okularów. Beltran miał wilgotne wąsy, wziął Candelarię pod rękę, powiedział jej coś na ucho, a ona zasłoniła sobie usta ręką, żeby zdusić krzyk, a może płacz, ale była to bardzo twarda kobieta, na medal, inteligentna, silna i dyskretna, więc powiedziała tylko do Mariny i Rosy Lupe:

- Coś strasznego się wydarzyło.
- Komu? Gdzie?
- Dinorah. Wracamy biegiem do kantonu.

Wsiedli w pośpiechu do auta Herrery i Villareal powtórzył historię, którą usłyszał w biurze don Leonarda Barroso: mają zburzyć kolonię Bellavista, bo chcą pobudować tam fabryki, kupią tereny za marne grosze, a sprzedadzą je za miliony. Co powinni zrobić oni, czy mają broń, żeby przeszkodzić temu ograbianiu ich ze wszystkiego, uszczknąć z tego choć kawałek, zażądać także czegoś dla siebie?

- Ale przecież domy nie są nasze - powiedziała Candelaria.
- Możemy się zorganizować jako najemcy i utrudnić sprzedaż - argumentował Beltran Herrera.
- Nawet teren nie jest nasz, Beltran.
- Mamy jakieś prawa. Możemy nie zgodzić się na wysiedlenie nas, dopóki nie zrekompensują nam tego proporcjonalnie do swych zysków.
- Prędzej wyrzucą wszystkie z fabryki...

- Dostyc już tego ciągłego robienia z nas idiotek - powiedziała Rosa Lupe, niespecjalnie rozumiejąc, o co chodzi, upierając się jedynie dla samego uporu i prosząc, by wreszcie odpowiedziano jej na niepokojące pytanie, wyzierające z oczu Mariny: co się stało z Dinorah?

- Dzięki za lojalność. - Herrera ścisnął ramię Villarre- alowi prowadzącemu samochód. Koński ogon kierowcy rozwiewiał wiatr. - Oby cię to nie kosztowało zbyt drogo.

- To nie pierwszy raz, kiedy cię informuję, Beltran - powiedział tamten.

- Tak, ale to są już poważne informacje. Spróbujemy się wreszcie zorganizować, przekaz to innym.

- Dziewczyny raczej nie umieją współpracować. - Villarreal pokręcił głową.
- Gdyby to byli mężczyźni...

- A ja to się nie liczę? - powiedziała Candelaria. - Nie bądź taki *macho*, Villarreal.

Herrera westchnął i objął Candelarię, patrząc na nocny pejzaż, błyszczące światła po amerykańskiej stronie, brak oświetlenia po stronie meksykańskiej. Lasy, produkcja tekstylna, kopalnie, powiedział, owoce, wszystko się skończyło, kiedy pojawiły się montażownie, wszystkie bogactwa Chihuahua odeszły w niepamięć.

Bo nie starczało to nawet na jedną piątą jedzenia, które mamy teraz - odpowiedziała Candelaria. - Były tu tylko iguany i żaby!

- Ty naprawdę sądzisz, że dziewczyny będą współpracować? - Herrera zbliżył swoją siwą głowę do czarnych i prostych włosów Candelarii.

- Tak - rzekła Candelaria. - Teraz będą współpracować, niech się tylko dowiedzą.

- - W domu nigdy nie jest czysto - mówiła Dinorah, siedząc na twardej ławce przed swoją ziemianką. - Nie mam na to czasu. Tak mało śpię.

Sąsiedzi zebrali się przed chatką, niektórzy przyszli, żeby pocieszyć Dinorah, najstarsze kobiety mówiły o ładnym pogrzebie dla dziecka, z kwiatami, w białej trumience, jak za dawnych czasów, we wioskach; Candelaria przyniosła

kilka świeczek, ale nie znalazła nic innego, tylko dwie butelki po coca-coli, żeby je w coś włożyć.

Starzy przyszedli także, dołączyła się cała dzielnica i ojciec Candelarii, zatrzymawszy się w progu, zapytał na głos, czy zrobili dobrze, że przyjechali do pracy w Ciudad Juarez, gdzie kobieta musi zostawiać samotnie dziecko przywiązane jak zwierzę do nogi stołu, biedactwo, jak miało nie wyrządzić sobie krzywdy, no jak? Całe zgrzybiałe towarzystwo przytaknęło, że coś takiego na wsi by się nie zdarzyło, tam rodziny zawsze miały kogoś do opieki nad dzieckiem, nie trzeba było malców przywiązywać, sznurki były dla psów i świń.

- Mój ojciec mówił mi - powtórzył ojciec Candelarii - żebyśmy siedzieli spokojnie w domu na jednym miejscu. Stawał, tak jak ja w tej chwili, jedną nogą na zewnątrz, a drugą wewnątrz domu i mówił: „Za tymi drzwiami świat się kończy”.

Powiedział, że jest już bardzo stary i nic więcej nie chce widzieć.

Marina, płacząc, nie wiedząc, jak pocieszyć Dinorah, usłyszała ojca Candelarii i dziękowała Bogu, że w jej domu nie było wspomnień, ona jest sama i lepiej dla niej ciągnąć to życie w samotności, niż mieć tyle trosk co ci, którzy mają dzieci i cierpią jak biedaczka Dinorah, cała potargana, wymięta, w czerwonej sukience podciągniętej aż do ud, pogniecionej, ze złączonymi kolanami i wykrzywionymi stopami, ona, zawsze tak dbająca o siebie, taka kokietka.

Marina, widząc tę straszną scenę śmierci, płaczu i pamięci, pomyślała nagle, że to nieprawda, że nie jest taka samotna, że ma przecież Rolanda, choćby go dzieliła z innymi, Rolando zrobi jej przysługę i zawiezie ją nad morze, gdziekolwiek, do San Diego w Kalifornii, albo do Corpus Christi w Teksasie, albo jako dziwkę do Guaymas w Sonorze, jest jej to winien, ona nie chce nic innego, jak tylko pojechać i po raz pierwszy w życiu zobaczyć morze z Rolandem, a później niech ją zostawi, niech ją wykorzysta, ale niech jej odda tę jedną maleńką przysługę...

Wyszła z chaty Dinorah, słysząc, jak ojciec Candelarii opowiada o stypie po uduszonym dziecku, i niby to po to, żeby polepszyć wszystkim nastrój, każe przynieść coś do picia i mówi:

-- Karafki są dobre, bo wydają się pełne, nawet kiedy są puste.

Marina pogrzebała w torebce i znalazła numer komórki Rolanda. Nieważne, że się naraża. To i tak sprawa życia lub śmierci. On musi się dowiedzieć, że ona jest zależna od niego tylko z jednego powodu - żeby ją zawiózł nad morze, żeby nie mogła kiedyś powiedzieć, jak ojciec Candelarii, że już nie chce zobaczyć nic więcej. Wykręciła numer, ale po drugiej stronie było zajęte, a następnie sygnał urwał się gwałtownie i to dało jej do myślenia, że Rolando ją słyszy, ale nie odpowiada, żeby jej nie narazić; a co by na to powiedział, gdyby ją usłyszał mówiącą: zawieź mnie nad morze, mój kochany, nie chcę umrzeć jak synek Dinorah, nie zobaczywszy morza, zrób mi tę przysługę, choćbyś później już mnie nie zobaczył i choćbyśmy się rozstali? Ale cisza telefonu zawiodła ją i zarazem rozgniewała, Rolando nie powinien tak się z nią bawić, ona się naraża, dlaczego więc on nie naraża się też choć trochę, ona proponuje mu wyjście, zebrać całą miłość, jaką czuje jedno do drugiego, w jeden weekend na plaży, i później nie zobaczyć się już więcej, jeżeli nie będzie tego chciał. Ale tego nie wytrzymam dłużej, powiedziała Marina, oddając głos czemuś, o czym sama nie wiedziała, że jest tam, w środku niej, czemuś, co kształtowało się wewnątrz w ciszy, jak osad na dnie butelki; kiedy się nią potrząśnie, podchodzi aż pod korek. Nie zniosę dłużej, żeby jakiś mężczyzna brał mnie jak coś, co znalazł na ulicy, i to tylko z litości, nigdy na to nie pozwolę, Rolando, ty mnie nauczyłeś żyć, a ja nic nie rozumiałam z tego, czego mnie nauczyłeś, aż do tej chwili, kiedy umarł synek Dinorah i ojciec Candelarii ciągle trwa tam chudy i stary, mimo że jego korzenie są gdzie indziej, jak gdyby nigdy nie miał umrzeć; ja tylko chcę żyć tą chwilą, w której uratowałam przed śmiercią dziewczynkę w sobie i nie chcę doczekać starości, teraz cię proszę, żebyś podniósł mnie do swojego poziomu, Rolando, unieśmy się oboje razem, daję ci tę szansę, mój ukochany, gdzieś w środku wiem, że wzniesiesz się ze mną i zabierzesz mnie wysoko, ku pięknu, jeśli zechcesz, a jeżeli tego nie zrobisz, obydwójce runiemy na pysk, tak nisko, że nie będziemy już nawet wiedzieli, kim jesteśmy, tak nisko, że nie będziemy znaczyć nic, nawet dla samych siebie...

Ale komórka Rolanda nigdy nie odpowiedziała. Była jedenasta w nocy i Marina podjęła decyzję.

Tym razem nie zatrzymała się, żeby wypić koktajl w ulicznym barze, przeszła przez most, wsiadła do autobusu i przebyła cztery przecznice do motelu. Znali ją tu, ale zdziwiło ich, że przyszła w piątek, a nie w czwartek.

- Co to, nie mamy prawa zmienić dnia?

- Ależ tak - powiedział recepcjonista z nutką ironicznej rezygnacji w głosie i dał Marinie jej klucz.

Pachniało środkami dezynfekcyjnymi, korytarze, schody, nawet automaty sprzedające lód i napoje pachniały czymś, czym się zabija robaki, czyści wychodki, spryskuje materace. Zatrzymała się przed drzwiami sypialni, którą dzieliła w czwartki z Rolandem, i zawahała się, czy zapukać, czy od razu przekręcić klucz i wejść. Szła tu w wielkim pośpiechu. Teraz wsunęła klucz do dziury, otworzyła drzwi, weszła i usłyszała głuchoe pojękiwanie Rolanda i krzykliwy dyszkant jakiejś jankeski. Zapaliła światło i stała, patrząc na nich rozebranych w łóżku.

- No to już wiesz. A teraz zjeżdżaj - powiedział do niej jej elegant.

- Wybacz mi. Ale dzwoniłam do ciebie na komórkę. Stało się coś, co...

Spojrzała na telefon na biurku i pokazała go palcem. Jankeska popatrzyła na nich oboje i zaniosła się śmiechem.

- Rolando, oszukiwałeś tę biedną dziewczynę? - powiedziała między jednym wybuchem śmiechu a drugim, biorąc do ręki komórkę. - Przynajmniej swoim ukochanym możesz powiedzieć prawdę. Kiedy wchodzisz do banków i urzędów publicznych z tą swoją komórką przy uchu albo kiedy mówisz do niej w restauracji i szpanujesz przed całym światem, to jest w porządku, ale po co oszukujesz swoje narzeczone? Sam widzisz, jakie nieporozumienia z tego wynikają, mój słodki - dodała. Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

- Baby, nie odchodź... Tak dobrze nam szło... Ta mała jest dla mnie nikim...

- Nie lubisz, kiedy ci przechodzi koło nosa choć jedna okazja, może nie? - Jankeska zaczęła wkładać pończochy. - Nie przejmuj się. Wrócę. To nie jest aż tak ważne, żebym musiała z tobą zrywać.

Baby wzięła komórkę, otworzyła ją z tyłu i pokazała Marinie.

- Spójrz. Nie ma baterii. Nigdy ich nie ma. Nosi ją tylko dla szpanu. Tak jak w tej piosence: „Jestem ważny i wpływowy, zadzwoń na komórkę, proszę, choć baterii nie mam do niej, dla szpanu ją tylko noszę...”

Rzuciła telefon na łóżko i wyszła, śmiejąc się głośno.

Marina poszła przez most międzynarodowy z powrotem do Ciudad Juarez. Bolały ją nogi i zdjęła buty na wysokich i ostrych jak szpilety obcasach. Ulica utrzymywała jeszcze zimne drżenie dnia, ale Marina nie czuła pod stopami tego samego, co wtedy, kiedy tańczyła, wolna i radosna, na trawniku montażowni należącej do don Leonarda Barroso.

- To miasto to jeden wielki bajzel - powiedział Barroso do swojej synowej Micheliny, kiedy przejeżdżali obok Mariny; ona szła z powrotem do Ciudad Juarez, oni wracali do swojego hotelu w El Paso. Michelina roześmiała się i pocałowała Leonarda w ucho.

PRZYJACIÓŁKI

Mojej siostrze Bercie

Powiedz im, że mnie tu nie ma!

Powiedz im, że nie chcę ich widzieć!

Powiedz im, że nie chcę widzieć nikogo!

Pewnego dnia już nikt więcej nie przyszedł w odwiedziny do miss Amy Dunbar. Służący, którzy zawsze wytrzymywali bardzo krótko na posadzie u staruszki, także przestali się zgłaszać. Rozeszła się pogłoska na temat trudnego charakteru panny Dunbar, jej rasizmu, jej wyzwisk.

Zawsze znajdzie się ktoś, komu bardziej będzie zależało na pracy niż na poczuciu godności.

Ale nie stało się tak. Cała murzyńska rasa, bez wyjątków, sprzysięgła się - w mniemaniu miss Amy - żeby odmawiać służby u niej. Ostatnia służąca, piętnastoletnia dziewczyna o imieniu Bathsheba, spędziła w domu miss Dunbar miesiąc, bez przerwy szlochając. Zawsze kiedy otwierała drzwi, coraz rzadsi goście najpierw patrzyli na dziewczynę skapaną we łzach, a zaraz potem, niezmiennie, słyszeli zgorzkniały, ale dumny głos staruszki:

Powiedz im, że mnie nie ma!

Powiedz im, że nie interesują mnie ich odwiedziny!

Powiedz im, że nie chcę widzieć nikogo!

Siostrzeńcy miss Amy Dunbar wiedzieli, że stara nigdy nie wyniesie się ze swojego domu na przedmieściach Chicago. Uznała, że jedna przeprowadzka w życiu całkowicie jej wystarczy, kiedy opuściła dom rodzinny w Nowym Orleanie i przyjechała na północ, żeby zamieszkać z mężem. Z domu z kamienia, nad jeziorem Michigan, otoczonego lasami, wyniosą ją jedynie martwą.

- Już niewiele brakuje - mawiała do siostrzeńca zajmującego się płatnościami, kwestiami prawnymi i innymi sprawami, wielkimi i małymi, wymykającymi się całkowicie jej własnej uwadze.

Ale nie umykało jej za to najcichsze westchnienie ulgi, wydobywające się z ust krewnego, gdy wyobrażał ją sobie martwą.

Mimo to nie obrażała się. Twierdziła niezmiennie:

- Najgorsze, że jestem przyzwyczajona żyć. Weszło mi to w nawyk. -
Iśmiała się, pokazując w uśmiechu końskie zęby, które z wiekiem u kobiet rasy anglosaskiej stają się coraz dłuższe, chociaż ona była nią właściwie tylko w połowie, córka jankeskiego handlowca osiadłego w Luizja- nie po to, żeby nauczyć flegmatycznych południowców, jak się robi interesy, i subtelnej damy o odległym już francuskim rodowodzie, Lucy Ney. Miss Amy mawiała, że matka była krewną marszałka Bonapartego. Ona nazywała się Amelia Ney Dunbar. Amy, miss Amy, nazywana panienką, jak wszystkie dobrze urodzone panie z Delty, z prawem do obu tytułów - zarówno tego wynikającego z zawarcia związku małżeńskiego, jak i tego wynikającego z prawa do podwójnego dzieciństwa: dziewczynki - do lat piętnastu, i ponownie - po osiemdziesiątce...

- Nie nalegam, żebyś się przeniosła do jednego z tych zakładów dla osób w podeszłym wieku - tłumaczył jej siostrzeniec, adwokat, z uporem lansujący wszelkie atrybuty stroju, jakie tylko brał za elegancję właściwą jego zawodowi: niebieskie koszule z białymi kołnierzykami, czerwone krawaty, garnitury od Braci Brooks, sznurowane buty, nigdy mokasyny w dni pracy, broń Boże! - ale jeżeli zostaniesz w tym ogromnym domu, będziesz potrzebowała jakiejś pomocy.

Miss Amy już miała odpowiedzieć jakimś zuchwalstwem, lecz ugryzła się w język.

Choć już zdążyła wysunąć jego białawy koniuszek.

- Powinnaś, ciociu, postarać się o to, żeby jakoś zatrzymać swoich służących. Ten dom jest naprawdę bardzo duży.

- Kiedy właśnie wszyscy odeszli.

- Trzeba by przynajmniej czworo służby, żebyś miała zapewnioną taką opiekę jak w dawnych czasach.

- Nie. Tamte czasy - to młode czasy. Te - to stare czasy, Archibaldzie. I to nie służący odeszli. To odeszła rodzina. Zostawili mnie samą.

- W porządku, ciociu. Ma ciocia rację.

- Jak zawsze.

Archibald przytaknął.

- Znaleźliśmy pewną Meksykankę, gotową pracować u cioci.

- Meksykanki mają opinię nierobów.

- Nieprawda. To zwykły stereotyp.

- Zabraniam ci podważać moje *cliches*, siostrzeńcze. Są tarczą chroniącą przesady. A przesady, jak sama nazwa wskazuje, są niezbędne do wyrobienia sobie sądu. Zdrowego sądu, Archibaldzie. Rozsądnego. Moje przekonania są ściśle określone, utrwalone i niewzruszalne. Nikt nie będzie mi kazał ich zmieniać w tym wieku. - Pozwoliła sobie na głębokie i smutne westchnienie. - Meksykanki to leniwe obiboki.

- Spróbuj przynajmniej. Są usłużni, przyzwyczajeni do posłuszeństwa.

- Ty też masz swoje przesady. Widzisz? - zaśmiała się miss Amy, przyklepując sobie włosy tak stare i siwe, że stały się niemal żółte, niczym papier wystawiony przez długi czas na działanie nieubłaganego światła. Jak gazeta, mówił do siebie Archibald, cała zrobiła się jak stara gazeta, pożółkła, pomarszczona, pełna wiadomości, które już nikogo nie interesują...

Archibald często bywał w meksykańskiej dzielnicy w Chicago, bo jego kancelaria adwokacka zajmowała się różnymi sprawami handlarzy, naturalizacjami, ludźmi bez zielonej karty, tysiącami kwestii związanych z imigracją i pracą przybyszów zza południowej granicy... Poza tym w wieku czterdziestu dwóch lat ciągle był kawalerem, przekonany, że zanim się ożeni, powinien zakosztować nawet podejrzenie mętnego napoju z czary życia, nie wiążąc się na razie rodziną, dziećmi, żoną... Ponieważ Chicago jest miastem, gdzie krzyżuje się wiele kultur, nietypowy siostrzeniec miss Amy Dunbar wybierał swoje narzeczone według przynależności etnicznej. Zbadał już dogłębnie dzielnicę ukraińską, polską, chińską, węgierską i litewską, teraz szczęśliwe połączenie spraw zawodowych i ciekawości erotycznej zawiodło go do Pilsen, meksykańskiej dzielnicy o czeskiej nazwie, nazwie miasta piwowarów w Bohemii. Czesi już stąd odeszli, a Meksykanki zaczęły pomału opanowywać ten teren, wypełniając go bazarami, restauracjami, muzyką, centrami kulturalnymi i oczywiście piwem równie dobrym jak pilsner.

Wielu przyszło do pracy w fabrykach konserw, jedni legalnie, posiadając pozwolenie na pracę, inni nie, ale wszyscy w pełni doceniani z powodu swojej zręczności w krajaniu i konserwowaniu mięsa. Adwokat, siostrzeniec miss Amy, znalazł sobie narzeczoną - dziewczynę pochodzącą z licznej rodziny robotniczej; prawie wszyscy jej członkowie pochodzili z Guerrero, skoligaceni między sobą więzami krwi, uczucia, solidarności i czasem wspólnymi imionami.

Pomagali sobie bardzo, jak to jedna wielka rodzina, organizowali zabawy i, znów jak wszystkie rodziny, kłócili się. Pewnej nocy doszło do jakichś niesnasek i padły dwie ofiary śmiertelne. Policja nie bawiła się w dochodzenia. Zabójców było czterech, jeden z nich nazywał się Perez, zatrzymano czterech osobników o tym nazwisku, oskarżono ich, a ponieważ ci prawie nie mówili po angielsku, nie potrafili wytłumaczyć, co się stało, nie rozumieli oskarżeń, i jeden z nich, ten, którego Archibald odwiedził w więzieniu, wytłumaczył mu, że oskarżenie było niesprawiedliwe, opierało się na fałszywych zeznaniach, złożonych po to, żeby ochronić prawdziwych zabójców. Policji zależało o tym, żeby jak najprędzej wsadzić do kicia podejrzanych i zamknąć dochodzenie, a oni nie wiedzieli, jak się bronić. Archibald podjął się prowadzenia sprawy i w ten sposób poznał żonę oskarżonego, którego odwiedził w więzieniu.

Nazywała się Josefina, dopiero co się pobrali, a była już najwyższa pora, każde z nich miało czterdziestkę, Josefina mówiła po angielsku, ponieważ jej ojcem był pewien hutnik, Francisco Ayala, który zostawił ją razem z matką w Chicago, ale ponieważ akurat była w Meksyku, kiedy zdarzył się wspomniany wypadek, nie mogła pomóc mężowi.

- Może nauczyć się angielskiego w więzieniu - zasugerował Archibald.

- Tak - odpowiedziała Josefina, w rzeczywistości nie przyznając mu racji. - Ale przede wszystkim chce się nauczyć bronić. Chce się nauczyć angielskiego i chce zostać adwokatem. Może pan zrobić z niego adwokata?

- Mogę dać mu kilka lekcji, czemu nie? A ty, Josefino?

- Potrzebuję pracy, żeby móc opłacić pańskie lekcje.

- Nie musisz.

- Muszę. Potrzebuję tego. To moja wina, że Luis Maria jest w więzieniu. Powinnam być przy jego boku, kiedy to się zdarzyło. Ja mówię po angielsku.

- Zobaczą, co się da zrobić. Będziemy walczyć, żeby uratować twojego męża. W każdym razie w więzieniu ma prawo do nauki, do zajęcia się czymś. Ja pokieruję jego studiami. Ale dlaczego jedni Meksykanie niesprawiedliwie oskarżyli innych?

- Ci, co przychodzą pierwsi, nie chcą tych, którzy przychodzą po nich. Czasami sami sami traktujemy się niesprawiedliwie, jakby nie wystarczało nam to, że inni nas źle traktują.

- Sądziłem, że jesteście jak jedna wielka rodzina.

- W rodzinach zdarzają się najgorsze rzeczy, proszę pana.

Na początku miss Amy nawet nie zaszczycła Josefiny spojrzeniem. Gdy zobaczyła ją po raz pierwszy, utwierdziła się w swoich podejrzeniach. Kobieta była Indianką. Miss Amy nie rozumiała, dlaczego ci ludzie, którzy niczym nie różnią się od Irokezów, nalegają, żeby nazywać ich Latino czy Hispanic. Josefina miała jedną zaletę. Była cicha. Wchodziła i wychodziła z sypialni swej pani jak duch, jakby nie miała nóg. Szelest sukien i fartuchów służącej mógł mieszać się z szelestem zasłon, kiedy wiała bryza od strony jeziora. Teraz zaczyna się jesień i miss Amy wkrótce zamknie okna. Lubiła lato, ciepło, wspomnienia związane z jej rodzinnym miastem, jakże francuskim w charakterze...

- Nie, ciociu - mawiał siostrzeniec, kiedy chciał się z nią posprzeczać. - Architektura Nowego Orleanu jest zdecydowanie hiszpańska, nie francuska. Hiszpanie byli tam prawie przez całe stulecie, i to oni nadali wygląd miastu. Część francuska to tylko fasada dla tuiystów.

- *Taisez-vous* - odpowiadała mu z zimną pogardą ciotka, podejrzewając, że Archibald prowadzi się akurat z jakąś Latynoską czy Hiszpanką, czy jak im tam, tym Komańczom, którzy dotarli za daleko na północ.

Josefina знаła przyzwyczajenia swej pani - Archibald opisał je kobiecie szczegółowo - tak więc odsuwała zasłony sypialni o ósmej rano, stawiała na stole śniadanie, wracała o dwunastej, żeby posłać łóżko, pani nalegała, że będzie się ubierać sama, Josefina zniknęła, by przygotować posiłek, miss Amy schodziła na samotny, spartański obiad, złożony z sałat, rzodkiewek, wiejskiego sera, po południu zaś siadała przed telewizorem w salonie i popuszczała wodzów swojej perwersyjnej energii, komentując wszystko, co oglądała, z sarkazmem, wyzwiskami, pogardą dla Murzynów, Żydów, Włochów, Meksykanów, podniesionym głosem, bez względu na to, czy jej słuchano, czy też nie, przeżywając jedynie

nieprzyjemne uwagi nagłymi, nieoczekiwanymi rozkazami, skierowanymi do Josefiny, tak samo jak niegdyś do Bathsheby i całej reszty: poduszka pod nogi, mój szkocki pled na kolana. W piątki herbata - tylko Lapsang Souchung, nie Earl Grey, ile razy muszę...; ciekawe, kto ci kazał przestawiać moje szklane kule, no, któż mógł je ruszać, jeżeli nie ty, idiotko, kretynko, niechluj, jesteś taka sama jak wszystkie czarnuchy, które miałam do tej pory, gdzie fotografia mego męża, która jeszcze wczoraj stała na stoliku, kto ją włożył do tego kufra, chyba nie ja, a więc? Służąca z ciebie do niczego, zrób chociaż coś, żeby zasłużyć na swoje wynagrodzenie, czy nigdy nie przepracowałaś naprawdę ani jednego dnia w swoim życiu? Co ja mówię, czarnuchy przecież nic innego nie robią, tylko żyją na koszt białych...

Szpiegowała kątem oka nową meksykańską służącą. Czy mówić jej to samo co nieśmiałej i płacziwej Bathshebie? A może powinna stworzyć nowy repertuar wyzwisk, które dotknęłyby Josefina? Czy znów ma schować przed Josefina portret męża do kuferka, żeby potem Josefina oskarżać? Czy w dalszym ciągu warto dekompletować kolekcję szklanych kul, żeby później zrzucić winę na służącą? Śledziła ją. Oblizywała się. Przygotowywała ofensywę. Ciekawe, ile potrafi wytrzymać ta tęga, mocno zbudowana kobieta, o delikatnej twarzy, wysublimowanych rysach, które wydają się bardziej arabskie niż indiańskie, z szarawą cerą i błyszczącymi oczyma, bardzo czarnymi, ale o żółtawych białkach.

Josefina natomiast podjęła następujące postanowienia: pierwsze - dziękować Bogu za to, że w ogóle ma pracę, i błogosławić każdego dolara, który wpada jej w ręce, bo może go przeznaczyć na obronę swego męża, Luisa Marii. Drugie - wypełniać precyzyjnie instrukcje don Archibalda, dotyczące tego, jak posługiwać jego ciotce. I trzecie - spróbować urządzić sobie własne życie w tym ogromnym domu nad jeziorem. To była najtrudniejsza decyzja, ale Josefina, co sama przyznawała, musiała ją podjąć, żeby w ogóle dało się tu jakoś przeżyć. Kwiaty na przykład. Brakowało jej bardzo kwiatów w domu. Do swego pokoiku służącej zawsze przynosiła świeże fiołki i bratki, które stawiała na komodzie, obok świec wotywnych i świętych obrazków, które towarzyszyły jej częściej niż jakakolwiek istota ludzka, z wyjątkiem Luisa Marii. W pojęciu Josefiny istniał pewien tajemniczy, ale wiarygodny związek między żywotem świętych obrazków i kwiatów. Któż zaprzeczy, że kwiaty, chociaż nie umieją mówić, żyją, oddychają, a pewnego dnia więdną i umierają. Otóż obrazki ukrzyżowanego Chrystusa, Świętego Serca Jezusowego, Matki Boskiej z Guadelupe były jak kwiaty - chociaż nie mówiły, żyły, oddychały i - w przeciwieństwie do roślin - nie wię-

dły. Życie kwiatów - życie świętych obrazków. Dla Josefiny były to dwie sprawy nie- rozdzielne i w imię swojej wiary obdarzała kwiaty życiem namacalnym, pachnącym, zmysłowym, które chciałaby ofiarować także obrazkom.

- W tym domu coś cuchnie! - wykrzyknęła pewnego wieczoru podczas kolacji miss Amy. - Śmierdzi starzyzną, stęchłym powietrzem, wilgocią. Chcę poczuć wreszcie jakiś ładny zapach - powiedziała, zwracając się do Josefiny obraźliwym tonem, wietrząc kuchenne zapachy. Służąca postawiła przed nią właśnie talerz i nalewała jej zupy jarzynowej, a ona spoglądała natarczywie w stronę pach Josefiny z nadzieją odnalezienia źródła ohydnej woni, jakiejś plamy godnej zganienia, służąca jednak była czysta, miss Amy słyszała co noc szum leżącej z kranu wody w łazience, zawsze o tej samej porze, nim Josefina poszła do swego pokoju. Powinna raczej oskarżyć ją o zużywanie zbyt dużej ilości wody, bała się jednak, że kobieta roześmiałaby się tylko, wskazując na jezioro, ogromne jak morze...

Josefina wstawiła bukiet kaczeńców do salonu, którego miss Amy nigdy nie przysłoby do głowy ozdobić kwiatami. Kiedy starsza panienka weszła, aby zażyć swoją popołudniową dawkę telewizji, najpierw zaczęła węszyć jak zwierzę zaskoczone obecnością wroga, później utkwiała spojrzenie w kaczeńcach i na koniec wykrzyknęła z wściekłością:

- Kto wsadził mi do domu te cmentarne papierowe kwiaty?

- Te kwiaty są świeże, są żywe - odpowiedziała zgodnie z prawdą Josefina.

- Skąd je wytrzasnąłeś? - warknęła miss Amy. - Założę się, że ukradłeś! Tu nie wolno nic zrywać! Istnieje coś takiego, co się nazywa własność prywatna! Rozumiesz?

- Kupiłam je - odparła spokojnie Josefina.

- Kupiłeś - powtórzyła miss Amy; pierwszy raz w życiu zabrakło jej argumentów.

- Tak - Josefina uśmiechnęła się. - Żeby trochę ożywić dom. Mówiła pani, że pachnie stęchlizną, zamknięciem.

- A teraz pachnie cmentarzem! Cóż to za kpiny? - wykrzyknęła gwałtownie miss Amy, myśląc o portrecie swojego męża ukrytym w kufrze, o rozrzuconych szklanych kulach; to ona robiła to wszystko, nie służące, to ona obrażała samą

siebie, żeby móc obrażać te kobiety, żadna z nich nie powinna przejmować inicjatywy. - Natychmiast zabierz te swoje kwiaty!

- Jak pani każe, panienko.

- I powiedz mi, za co je kupiłaś?

- Za własne pieniądze, panienko.

- Wydajesz swoje pieniądze na kwiaty?

- Są dla pani. Dla domu.

- Ale dom jest mój, a nie twój, co ty sobie wyobrażasz? Na pewno ich nie ukradłaś? Nie przyjdzie tu policja, żeby sprawdzić, gdzie ukradłaś te kwiaty?

- Nie. Mam paragon z kwaciarni, panienko.

Josefina wycofywała się, pozostawiając po sobie zapach mięty, kolendry, którym celowo pozwalała wydobywać się z kuchni, biorąc dosłownie skargę pani, że pachnie tutaj zamknięciem, i miss Amy, niepewna, w jaki sposób ma zaatakować nową pracownicę, wyobraziła sobie przez chwilę, że mogłaby zniżyć się do pewnej niegodnej rzeczy, do szpiegowania jej, czego nigdy nie robiła w stosunku do innych służących, przekonana, że uczynić coś takiego to jak dać im broń do ręki... Stanowiło dla niej największą pokusę, przyznawała to sama przed sobą, wejść po cichutku do pokoju służącej, pogrzebać w jej rzeczach, być może odkryć jakiś sekret. Ale wówczas straciłaby autorytet we własnych oczach, autorytet przesądów, niesłusznych oskarżeń, irracjonalnych zarzutów. Inni musieli mówić jej, że służbówka to jeden wielki śmietnik, że powinien przyjść hydraulik i odetkać muszlę klozetową zatkaną jakimś świństwem; czego innego można oczekiwać po jakiejś tam Murzynce, jakiejś Meksykance?

Kiedy hydraulik jako pretekst odpadał, powoływała się na swojego Archibalda.

- Mój siostrzeniec powiedział mi, że nigdy nie ściesz łóżka.

- Niech je sam pościele, skoro już do niego włązi, żeby mnie przelecieć - odparła kiedyś pewna młoda i arogancka Murzynka, po czym odeszła, nie mówiąc nawet „do widzenia”.

Josefinę miss Amy chciała przeciągnąć na swój własny teren, do salonu, do jadalni, do sypialni, i zmusić ją tam do kompromitacji, do popełnienia jakiegoś

poważnego błędu, na przykład do przejrzenia się w sypialni pani, gdy poda jej śniadanie, w ozdobnym lusterku, kiedy miss Amy gwałtownie się odwróci, sama przestając się w nim przeglądać i zmusi w ten sposób służącą, by zobaczyła w zwierciadelku siebie samą.

- Chciałabyś być biała, prawda? - zapytała agresywnie miss Amy.

- W Meksyku jest dużo *gireritos* - odparła niewzruszenie Josefina, nie spuszczać wzroku.

- Dużo czego?

- Ludzi o blond włosach, panienko. Tak samo jak tutaj jest dużo Murzynów. Wszyscy jesteśmy dziećmi bożymi. - Chciała zakończyć prostym i prawdziwym stwierdzeniem, tak żeby wypowiedź nie wydawała się zbyt bezczelna.

- Wiesz, dlaczego jestem przekonana, że Jezus mnie kocha? - spytała Miss Amy, podciągając koc pod brodę, jak gdyby chciała zanegować istnienie własnego ciała i okazać się jednym z tych cherubinków, które składają się tylko z oblicza i skrzydełek.

- Bo pani jest dobra, panienko.

- Nie, głupia, dlatego że urodziłam się biała, to jest dowód, że Bóg mnie kocha.

- Skoro pani tak twierdzi, panienko...

Czy nigdy jej nie odpysknie ta Meksykanka? Nigdy się na nią nie rozzłości? Nie przejdzie do kontrataku? Czyżby miała zamiar wygrać z miss Amy, nie okazując złości?

Toteż mogła spodziewać się wszystkiego, oprócz faktu, że Josefina zaatakuje pierwsza, jeszcze tego samego wieczoru, po kolacji, kiedy ona oglądała jeden z tych programów, które bez przerwy relacjonują jakieś straszliwe wydarzenia jedynie po to, żeby przekonać ludzi jeszcze raz, że dla świata nie ma już ratunku.

- Schowałam portret pani męża w kufrze, tak jak pani lubi - oznajmiła Josefina i miss Amy zastygła z otwartymi ustami, obojętna na katastroficzny komentarz Dana RATHERA.

- A co ona trzyma w swoim pokoju? - zapytała nazajutrz swojego siostrzeńca Archibalda. - Czym go ozdabia?

Jak wszystkie Meksykanki, ciociu. Obrazkami świętych, Chrystusa i Matki Boskiej, wotami, bo ja wiem, czym jeszcze.

- To bałwochwalstwo. Świętokradczy papizm.

- Zgadza się, i nic tego nie zmieni - orzekł Archibald, próbując zaszczepić miss Amy choć odrobinę tolerancji.

- Czy nie wydaje ci się to obrzydliwe?

- Jej wydają się obrzydliwe nasze kościoły, puste, bez ozdób, purytańskie - powiedział Archibald w duchu, obliując się na myśl o przyjemnościach, których dostarczało mu sypianie z pewną meksykańską dziewczyną w Pilsen, zasłaniającą chustą obrazek Matki Boskiej, żeby ta nie widziała, jak się kochają. Ale świece wotywnne zostawiała zapalone i ciało koloru cynamonu lśniło w ich blasku cudownie...

Bezcelowe jednak było spodziewać się po miss Amy tolerancji.

- A właśnie, gdzie jest zdjęcie twojego męża, ciociu Amelio? - zapytał Archibald z lekką drwiną w głosie, ale panienska udała, że nie rozumie, gdyż uważała, że zaraz, nazajutrz, nie może opowiedzieć Archibaldowi, iż służąca ukryła portret. Przewidywała już, co dalej nastąpi.

- Jak ci się podoba mój mąż? - zapytała Josefiny, wyjmując portret z kufra i umieszczając go na stoliku.

- Bardzo przystojny, panienko, bardzo dystyngowany.

- Kłamiesz, hipokrytko. Spójrz na niego uważnie. Walczył w Normandii. Spójrz, jaka blizna przecina mu twarz, niczym piorun, co przecina na dwoje niebo podczas burzy.

- Nie ma pani zdjęć z czasów sprzed jego zranienia, panienko?

- A ty masz obrazki Chrystusa, bez ran, bez krwi, nie- przybitego do krzyża, żywego, nie w koronie cierniowej?

- Oczywiście że tak, mam obrazki Świętego Serca Jezusowego i Dzieciątka Jezus, bardzo ładne. Chce je pani zobaczyć?

- Tak, przyniesiesz mi je kiedyś - uśmiechnęła się kpiąco miss Amy.

- Ale tylko pod warunkiem, że obieca mi pani pokazać swojego męża, kiedy jeszcze był młody i przystojny - uśmiechnęła się Josefina.

- Co za bezczelność! - zdążyła wymamrotać miss Amy, kiedy służąca wyszła z tacą do herbaty.

Ale Meksykanka popełniła błąd - miss Amy prawie piała z radości, kiedy ponownie ujrzała Archibalda - gdyż nazajutrz po rozmowie na temat Chrystusa i zranionego męża chlebobawczyni przyniosła jej śniadanie jak zazwyczaj, postawiła tacę na łóżku i zamiast się wycofać, poprawiła poduszki, po czym dotknęła głowy i pieszczotliwie pogłaskała czoło pani.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła histerycznie miss Amy. - Nigdy nie próbuj mnie dotykać! - powtórzyła, przewracając tacę ze śniadaniem, rozlewając herbatę na prześcieradło, rozrzucając rogaliki i brudząc dżemem poduszki...

- Nie osądzaj jej źle, ciociu Amy. Josefina też czasem czuje ból, tak jak ciocia. Może chciała się nim podzielić.

- Ja, ból? - Miss Amy Dunbar uniosła brwi aż po linię włosów, uczesanych tego dnia, żeby nadać jej młodzieńczy wygląd, w sposób odmienny. Biały odwrócony znak zapytania ozdabiał jej czoło, o tak: i

- Wie ciocia, o czym mówię. Ja mogłem być cioci synem. To przypadek, że zamiast tego jestem siostrzeńcem.

- Nie masz prawa, Archibaldzie! - Zduszony głos wydobył się z ust miss Amy, jak gdyby mówiła zza chusteczki. - Nigdy tego nie powtarzaj, albo zabronię ci wstępu do tego domu.

- Więc Josefina także poczuła ból, dlatego pogłaskała cię wczoraj rano. Zrobiło jej się ciębie żal.

Czy udało się Archibaldowi dopiąć celu? Miss Amy zdała sobie sprawę z makiawelicznych intencji siostrzeńca; w kolokwialnej angielszczyźnie Machiavelli to po prostu Diabeł, legendarny Stary Nick we własnej osobie. Miss Amy wiedziała o tym, ponieważ jako dorastająca panna wzięła udział w przedstawieniu „Żyd maltański” Marlowe'a. Pierwszym, który zabiera tam głos, jest Niccolo Machiavelli, przemieniony w diabła, w demona, czyli Stary Nick. Za-

częła przyglądać się swojemu siostrzeńcowi, czy aby nie ma rogów i długiego ogona.

Usiadła w oknie otwartym na ogród, Josefina weszła z herbatą, ale miss Amy nie odwróciła spojrzenia. Był to początek jesieni, najpiękniejszej pory roku nad jeziorem. Zimy bywały tu długie i ostre jak sztylet, wiosny krótkie, zuchwale kokieteryjne, a latem nie poruszał się ani jeden liść, wilgotność powietrza zaś była identyczna z rozpaloną do czerwoności rtęcią w termometrach.

Miss Amy pomyślała, że ogród, tak doskonale jej znajomy, jest zapomnianym ogrodem. Alejka wysadzana cedrami prowadziła do bramy wejściowej; i stamtąd rozciągał się widok na jezioro, które zaczynało się trochę burzyć. To właśnie było piękno jesieni, zawsze nostalgicznie łączące się w mniemaniu panny Dunbar z punktualnym pojawieniem się klonowych pączków na wiosnę. A jednak jej obecny ogród był zagubionym ogrodem i tego wieczoru, nie mając wcale takiego zamiaru, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi, przekonana, że sama do siebie, kierując słowa naturalnie nie do służącej, stojącej tu tylko przypadkowo z tacą do herbaty w rękach, nie, ot, po prostu w przestrzeń, jak to człowiek samotny, powiedziała, że w Nowym Orleanie jej matka w dni świąteczne wychodziła na balkon przyozdobiona we wszystkie swoje klejnoty po to, żeby całe miasto ją podziwiała...

- To tak samo jak w Juchitanie.

- Juchi... gdzie?

- Juchitan to nasza wioska, w Tehuntepec. Moja matka także wkładała swoją biżuterię w święta i chwaliła się nią przed ludźmi.

- Biżuterię? Twoja matka? - powtórzyła coraz bardziej skonfundowana miss Amy. Co też jej opowiada ta służąca? Za kogo ona się uważa? Jakaś mitomanka, czy co?

- Tak. Ozdoby przechodzą u nas z matki na córkę, panienko, i nikt się nie waży ich sprzedać. Pochodzą z bardzo daleka. Są święte.

- Chcesz mi powiedzieć, że mogłabyś żyć jak wielka dama w twoim juchimuchi, a zamiast tego przyjechałaś tutaj, żeby u mnie czyścić klozety? - zaatakowała służącą wściekle miss Amy.

- Nie, prędzej sprzedałabym klejnoty, żeby opłacić adwokatów. Ale jak już mówiłam, te pamiątki w każdej rodzinie z Juchitan są święte, wkłada się je tylko od wielkiego dzwonu, przechodzą z matki na córkę. To bardzo ładny zwyczaj.

- Więc musicie je nosić cały czas, bo z tego, co wiem, świętujecie przez cały rok bez przerwy, a to dzień jakiegoś tam świętego, a to jakiejś męczennicy... Dlaczego jest tylu świętych w Meksyku?

- A dlaczego jest tylu milionerów w Stanach Zjednoczonych? Bóg według własnego uznania dzieli dobra między ludzi, panienko.

- Mówisz, że musisz opłacać adwokatów? Nie mów mi, że ten idiota mój siostrzeniec ci pomaga?

- Pan Archibald jest bardzo wielkoduszny.

- Wielkoduszny? Za moje pieniądze? Będzie miał tylko to, co mu zapiszę w spadku. Niech zbyt pochopnie nie szasta cudzymi pieniędzmi.

- Nie, nie daje nam pieniędzy, panienko, nie o to chodzi. Uczy prawa mojego męża, żeby mógł zostać adwokatem i bronić siebie i swoich towarzyszy.

- A gdzie jest twój mąż? Przed czym musi się bronić?

- Jest w więzieniu, panienko. Został niesprawiedliwie oskarżony...

- Wszyscy tak mówią - rzekła uszczypliwie miss Amy.

- Nie, to szczerza prawda; w więzieniu każdy może wybrać sobie jakieś zajęcie. Mój mąż zdecydował, że będzie studiował prawo, żeby bronić siebie i swoich przyjaciół. Nie chce, żeby go bronił don Archibald, chce bronić się sam. Taka właśnie jest jego duma, panienko. Don Archibald jedynie udziela mu lekcji.

- Za darmo? - Stara zmrużyła bezwiednie drapieżne oczy.

- Nie, dlatego właśnie tu pracuję. Płacę mu ze swojej pensji.

- To znaczy płacę ja. Co za kpina!

- Niech się panienka nie gniewa, bardzo proszę, niech panienka nie wpada w złość. Ja nie jestem zbyt skryta, nie umiem ukrywać własnych myśli. Mówię panience jak na spowiedzi. Proszę o wybaczenie.

Wyszła i miss Amy pozostała sama z swoimi domniemaniami, co może łączyć te dwa bóle: służącej oraz jej samej; wspomniał o nich tak mało delikatnie jej siostrzeniec kilka dni temu... Co mogą mieć wspólnego kryminalne sprawy meksykańskich imigrantów z jej utraconą miłością, zmarnowaną okazją?

- No i jak oceniasz Josefinę? - zagadnął ciotkę Archibald podczas następnej wizyty.

- Przynajmniej jest punktualna.

- A widzisz, nie wszystkie stereotypy się sprawdzają.

- Powiedz mi, czy jej pokój wygląda bardzo nieporządnie z tymi wszystkimi jej bożkami i świętymi?

- Nie, jest czysty jak łąza.

Kiedy Josefina przyniosła tego popołudnia herbatę, miss Amy uśmiechnęła się do niej i powiedziała, że niedługo nadejdzie jesień, a później zaczną się prawdziwe chłody. Czy Josefina nie zechciałaby wykorzystać tych ostatnich dni lata na zorganizowanie małego przyjęcia?

- Widzisz, Josefino, parę dni temu powiedziałaś mi, że w twoim kraju jest wiele świąt. Czy nie zbliża się jakieś, które chciałabyś uczcić?

- Jedyne, co mogę uczcić, to dzień, w którym uznają mojego męża za niewinnego.

- Ale to może trwać jeszcze bardzo długo. Nie. Daję ci zgodę na urządzenie przyjęcia dla twoich przyjaciół w tylnej części ogrodu, tam gdzie stoi altanka...

- Jeżeli pani uważa, że to dobry pomysł...

- Ależ tak, Josefino, już ci mówiłam, że ten dom cuchnie stęchlizną. Wiem, że z natury jesteście bardzo weseli. Zaprosz jakieś niewielkie grono przyjaciół. Ja przyjdę oczywiście, żeby was pozdrowić.

W dzień przyjęcia najpierw obserwowała ich z garderoby na drugim piętrze. Josefina - za pozwoleniem miss Amy - ustawiła długi stół pod altanką obrosniętą dzikim winem. Dom nappełnił się niezwykłymi zapachami i w tej chwili miss Amy widziała procesję ogromnych glinianych talerzy, na których spoczy-

wały góry nieodgadnionych potraw, mieszanin zalanych gęstymi sosami, koszyków z tortillą, dzbanków z napojami koloru migdałów, koloru magenty...

Przybyli goście, a ona oglądała ich zachłannie ze swojej kryjówki. Jedni przyszli ubrani jak co dzień, to było widać, inni, a przede wszystkim inne, wybrali najlepsze stroje na tę specjalną okazję. Widziała więc kurtki, tenisówki, ale także garnitury i krawaty. Były kobiety w spodniach, inne w atłasowych sukniach. Były dzieci. Było wiele osób.

Wielu innych ludzi. Miss Amy próbowała przeniknąć swoją inteligencją czarne oczy, ciemnoskóre ciała, szerokie uśmiechy przyjaciół jej służącej, tych Meksykanów. Byli nieprzeniknieni. Czuła, że patrzy na kłujący mur z kaktusów, tak jakby każda z tych istot była w rzeczywistości jeżozwierzem. Meksykanie ranili spojrzenie miss Amy, tak samo jak zraniłyby ją ich ręce, gdyby spróbowali jej dotknąć. Ci ludzie cięli jej ciało niczym jakaś ledwo wyobrażalna kula, zrobiona z żyletek. Nie można było ich dotknąć. Tacy inni, obcy, utwierdzali tylko panienkę w jej odrazie, w jej uprzedzeniach...

Co też robią teraz? Wieszają gliniany garnek u szczytu altanki, wręczają kij dziecku, zawiązują mu oczy i dziecko wali kijem na oślepe, wymachuje nim, aż wreszcie trafia, garnek spada rozbity na kawałki, dzieciaki rzucają się, żeby zbierać cukierki i orzechy, ktoś odważa się puścić jakąś hałaśliwą muzykę, gitary, trąbki i jakieś wycia, jakby wilków, z przenośnego gramofonu, będą tańczyć w jej ogrodzie, będą się obejmować w plugawy sposób, będą się dotykać wśród śmiechów, głaskać po plecach, śmiać, płakać albo jeszcze gorzej...

Pojawiła się, zgodnie z obietnicą, w ogrodzie. W ręku niosła swój kostur. Podeszła prosto do drugiego garnka z podarkami dla dzieci i rozwalila go jednym uderzeniem, drugim zniszczyła gramofon, krzyknęła do zebranych: precz z mojego domu, co sobie myślicie, to nie jakaś spelunka, to nie dom publiczny, wynoście się gdzie indziej z tą waszą szatańską muzyką i niestrawnym jedzeniem, nie nadużywajcie cudzej gościnności, to jest mój dom, my tutaj jesteśmy inni, tu nie hoduje się świń w domu...

Wszyscy spojrzeli na Josefinę. Josefina najpierw zmieszała się, a potem odparła pogodnie, wyprostowana niemal na baczność.

- Panienska ma rację. To jest jej dom. Dziękuję, żeście przyszli. Dziękuję za życzenia pomyślności dla mojego męża.

Zgromadzeni opuścili ogród, niektórzy spoglądając na miss Amy z gniewem, inni z pogardą, jeszcze inni ze strachem, wszyscy zażenowani jej zachowaniem.

Tylko Josefina dalej stała nieporuszona.

- Dziękuję za użyczenie ogrodu, panienko. Zabawa była bardzo przyjemna.

- Przesadziliście - przez zaciśnięte zęby wycedziła speszona miss Amy. - Za dużo ludzi, za dużo hałasu, za dużo wszystkiego...

Jednym ruchem kostura zrzuciła gliniane talerze ze stołu. Ten niezwykajny wysiłek zmógł ją. Straciła oddech.

Miała panienka rację. Kończy się lato. Żeby się tylko panienka nie przeziębiła. Proszę iść do domu i pozwolić mi przygotować jak zwykle herbatę.

- Zrobiłaś to specjalnie - oświadczył z widoczną wściekłością Archibald, nerwowo manipulując przy węźle krawata od Braci Brooks. - Sama ją namówiłaś, żeby zorganizowała zabawę, tylko po to, żeby poniżyć tę kobietę przed przyjaciółmi...

- To była przesada. Posunęli się za daleko.

- Czego ty właściwie chcesz, żeby ona też odeszła, tak jak wszystkie inne? Chcesz, żebym na siłę oddał cię do domu starców?

- Straciłbyś spadek.

- Ale nie rozsądek. Ciocia jest zdolna doprowadzić do szaleństwa każdego, ciociu Amy. Całe szczęście, że mój ojciec nie ożenił się z ciocią!

- Co ty mówisz, nieszczęsny?

- Mówię, że ciocia zrobiła to, żeby poniżyć Josefina i zmusić ją do odejścia.

- Nie, powiedziałaś coś innego. Ale Josefina nie odejdzie. Potrzebuje pieniędzy, żeby wyciągnąć męża z więzienia.

- Już nie. Sąd odrzucił apelację. Mąż Josefiny pozostanie w więzieniu.

- I co ona zrobi?

- Niech ciocia ją o to zapyta.

- Nie chcę z nią rozmawiać. Nie chcę rozmawiać z tobą. Przychodzisz do mojego domu, żeby mnie obrażać, przypominać mi rzeczy dawno zapomniane. Ryzykujesz utratą spadku...

- Widzi ciocia, rezygnuję ze spadku.

- Co, mnie na złość chcesz sobie odmrozić uszy? Nie bądź głupcem, Archibaldzie.

- Nie, naprawdę rezygnuję, pod warunkiem że mnie ciocia wysłucha i dowie się wreszcie prawdy.

- Twój ojciec zachował się jak tchórz. Nie mógł się zdecydować. Nie poprosił mnie w porę. Poniżył mnie. Kazał mi zbyt długo czekać. Nie miałam innego wyjścia, musiałam wybrać twojego wuja.

- To dlatego, że ciocia nigdy nie okazała czułości mojemu ojcu.

- On tego oczekiwał?

- Tak. Mówił mi to wiele razy. Gdyby Amy dała mi jakiś dowód miłości, zdecydowałbym się, powiadał.

- No to dlaczego, dlaczego się nie zdecydował? - Staruszce głos się załamał. - Dlaczego nie okazał mi nigdy, że mnie kocha?

- Bo był przekonany, że ciocia tak naprawdę nie kocha nikogo. Dlatego pragnął, żeby to ciocia pierwsza okazała mu czułość.

- Chcesz powiedzieć, że całe moje życie było po prostu jednym wielkim nieporozumieniem?

- Nie, nic podobnego. Mój ojciec przekonał się, że zrobił dobrze, nie prosząc cię o rękę, ciociu Amelio. Powiedział mi, że czas przyznał mu rację. Ciocia nigdy nikogo nie kochała.

Tego wieczoru, kiedy Josefina przyniosła herbatę, miss Amy powiedziała, nie patrząc jej w oczy, że jest jej bardzo przykro z powodu tego, co się stało. Josefina przyjęła to niesłychane oświadczenie spokojnie.

- Niech się panienka nie przejmuje. To panienka jest właścicielką domu. Jakżeby inaczej.

- Nie, nie chodzi o to. Mówię o twoim mężu.

- No cóż, nie pierwszy raz nie ma sprawiedliwości w sądzie.

- Co zamierzasz zrobić?

- Jak to, panienko? To panienka nie wie?

- Nie. Co takiego, Josefino?

Wtedy Josefina podniosła spojrzenie i wbiła wzrok w zgaszone oczy miss Amy Dunbar, rozpalając go, jak gdyby oczy Josefiny były dwiema świecami, i powiedziała swojej pani, że będzie dalej walczyć, że kiedy wybierała Luisa Marię, to na zawsze, na dobre i na złe; wie, że tak się mówi podczas przysięgi, ale w jej przypadku to prawda, upływały lata, smutku było więcej niż radości, ale właśnie dlatego ich miłość stawała się z dnia na dzień coraz większa, coraz pewniejsza; Luis Maria może spędzić całe życie w więzieniu, nie wątpiąc ani przez jedną sekundę, że ona go kocha, nie tylko tak jak wtedy, gdy mieszkali razem, jak na początku, ale o wiele bardziej, coraz bardziej, panienko, rozumie mnie panienka, bez wstydu, żalu, bez złośliwości, bez zbędnych gierki, bez dumy, bez pychy, jesteśmy sobie oddani, on mnie, a ja jemu...

- Mogę coś wyznać, panienko Amelio, nie będzie się panienka na mnie gniewać? Mój mąż ma silne ręce, czułe, piękne. Urodził się, żeby z wyczuciem kroić mięso. Ma cudowny dotyk. Nigdy nie partaczy roboty. Jego dłonie są ogorzałe, mocne i ja nie mogę bez nich żyć.

Tego wieczoru miss Amy poprosiła Josefinę, żeby pomogła jej się rozebrać i włożyć koszulę nocną. Miała to być koszula wełniana - już czuć było chłód jesieni. Służąca pomogła staruszce położyć się do łóżka. Przykryła ją jak małą dziewczynkę. Poprawiła jej poduszki i była już prawie w progu, życząc dobrej nocy, kiedy dwie suche, napięte ręce miss Amelii Ney Dunbar ujęły tęgie i silne ręce Josefiny. Miss Amy podniosła ręce służącej do warg, ucałowała je, a Josefina objęła prawie przezroczyście ciało panienki w uścisku, który choćby nigdy nie miał się powtórzyć, będzie trwał całą wieczność.

KRYSTAŁOWA GRANICA

Jorgemu Bustamante

1

Pierwszą klasą samolotu linii Delta lecącego bezpośrednio z Meksyku do Nowego Jorku podróżował don Leonardo Barroso. Towarzyszyła mu piękna kobieta o czarnych, długich, błyszczących włosach. Uczesanie obramowało twarz z przyciągającym uwagę dołeczkiem w brodzie, gwiazdką tego oblicza. Don Leonardo, mężczyzna pięćdziesięciokilkuletni, był dumny ze swojego damskiego towarzystwa. Kobieta siedziała przy oknie i zadawała sobie pytanie, jak wyglądałaby pośród rzeźby i urozmaiconego piękna odległego pejzażu i nieba. Wielbiciele zawsze napomykali o chmurności jej powiek i cieniu burzy pod rzęsami. Meksykanie mówią o kobiecej urodzie, jakby śpiewali serenady.

Michelina spoglądała spod nieba na ziemię, wspominając młodzińcze czasy, kiedy chłopcy śpiewali pod jej oknem albo pisywali do niej przesłodzone, sentymentalne listy. Chmurność powiek i cień burzy pod rzęsami. Westchnęła. Nie można mieć piętnastu lat przez całe życie. Ale dlaczego w takim razie powracała do niej nagle ta niepożądana tęsknota za młodością, kiedy chodziła na tańce i zalecali się do niej synowie najbogatszych rodzin w stolicy?

Don Leonardo wołał usiąść przy przejściu. Choć często podróżował samolotem, wciąż odczuwał lekkie zdenerwowanie, kiedy uświadamiał sobie, że leci zamknięty w aluminiowym cygarze, trzydzieści tysięcy stóp nad ziemią, bez żadnego zabezpieczenia. Natomiast dawała mu ogromną satysfakcję myśl, że ta podróż jest wynikiem jego inicjatywy.

Kiedy tylko został podpisany traktat o wolnym handlu, don Leonardo rozpoczął intensywne negocjacje, aby migracja siły roboczej z Meksyku do Stanów Zjednoczonych została zakwalifikowana jako usługi, a nawet znalazła się w sektorze handlu zagranicznego.

W Waszyngtonie i w Meksyku dynamiczny menedżer i biznesmen przekonywał, kogo trzeba, że podstawowe artykuły eksportowe Meksyku to nie produkty rolne czy przemysłowe, nie wyroby z montażowni ani nawet nie kapitał

służący do spłaty zadłużenia zewnętrznego (zbyt dużego zadłużenia), tylko właśnie praca. Eksportujemy pracę, to o wiele bardziej opłacalne niż cement czy pomidory. Wiedział, co zrobić, żeby to przebiegało bezkonfliktowo. Sprawa była prosta - nie dopuścić do nielegalnego przekraczania granicy.

- Dalej będą przyjeżdżać - tłumaczył sekretarzowi do spraw zatrudnienia Robertowi Reichowi. - Będą przyjeżdżać dlatego, że wy potrzebujecie meksykańskiej siły roboczej. Choćby nawet w Meksyku wystarczało dla nich pracy.

- Legalnie - powiedział sekretarz. - Legalnie tak. Nielegalnie, nie.

- Nie można jednocześnie głosić zasad wolnego rynku i zamykać drzwi przed napływem pracowników; to tak jakbyście zamknęli je przed inwestycjami. Czy magia rynku już u was nie działa?

- Mamy obowiązek ochrony granic - ciągnął Reich. - To problem polityczny. Republikanie wykorzystują nastroje rosnącej wrogości do imigrantów.

- Nie można zmilitaryzować granicy. - Don Leonardo podrapał się w zamyśleniu po brodzie, usiłując odszukać tam taki sam uroczy dołeczek, jaki miała jego synowa. - Jest zbyt długa, zbyt pustynna, niemożliwa do uszczelnienia. Nie możecie być pobłażliwi, kiedy potrzebujecie pracowników, i twardzi, kiedy ich nie potrzebujecie.

- Ja popieram wszystko to, co poprawia stan gospodarki amerykańskiej - powiedział Reich. - Tylko w ten sposób możemy poprawić również stan gospodarki światowej - i vice versa. - A co pan proponuje?

To, co zaproponował Leonardo, było już w tej chwili faktem, a fakt ten podróżował w klasie ekonomicznej. Nazywał się Lisandro Chavez i próbował wyglądać przez okno, ale przeszkadzał mu w tym jego towarzysz siedzący po prawej stronie, patrzący z wytężeniem w chmury, jak gdyby z każdą chwilą odzyskiwał utraconą ojczyznę. Zasłaniał okienko rondem kapelusza z lakierowanej słomy. Po lewej stronie Lisandra inny robotnik spał z kapeluszem nasuniętym na czubek nosa. Tylko Lisandro podróżował bez nakrycia głowy i przejeżdżał ręką po czarnych, miękkich, kręconych włosach, gładził gęste i przystrzyżone wąsy, i przecierał od czasu do czasu ciężkie, zmęczone powieki.

Kiedy wsiadł do samolotu, natychmiast dostrzegł słynnego przedsiębiorcę Leonarda Barroso, siedzącego w pierwszej klasie. Serce trochę mocniej zabiło Lisandro- wi. Rozpoznał siedzącą obok tamtego dziewczynę, którą znał z cza-

sów szkolnych, kiedy chodził na zabawy do dzielnic Las Lomas, Pedregal i Polanco. To była Michelina Laborde i wszyscy chłopcy chcieli z nią tańczyć. A w rzeczywistości chcieli z nią zrobić coś więcej.

-- Pochodzi ze starej arystokracji, ale nie ma grosza przy duszy - mówili chłopcy. - Jak się z nią prześpisz, to się nie żeń. Nie ma posagu.

Lisandro zatańczył z nią jeden raz i już nie pamięta, czy jej to powiedział, czy tylko pomyślał, że obydwójce są biedni, i to właśnie ich łączy, są zapraszani na te zabawy, ponieważ ona wywodzi się z wysokich sfer, a on chodzi do tej samej szkoły co bogaci chłopcy. Ale to raczej upodobnia ich do siebie niż różni, czyż ona nie jest tego samego zdania?

Nie pamięta, co odrzekła mu Michelina, nie pamięta nawet, czy powiedział jej to głośno, czy tylko pomyślał. Później tańczyli z nią inni i on nigdy więcej jej nie spotkał. Aż do dzisiaj.

Nie odważył się jej ukłonić. Jakżeby mogła go pamiętać? Co miał jej powiedzieć? Pamiętasz, jak jedenaście lat temu poznaliśmy się na piywatce u Cachetona Casilla- sa i poprosiłem cię do tańca? Michalina nawet na niego nie spojrzała. Don Leonardo - i owszem. Podniósł oczy znad lektury czasopisma „Fortune”, gdzie zamieszczono listę stu najbogatszych ludzi w Meksyku i, jak najbardziej fortunnie, po raz kolejny nie wspomniano o nim. Ani on, ani bogaci politycy nie pojawiali się tu nigdy. Politycy dlatego, że żadnych interesów nie firmowali własnym nazwiskiem, jak łuski cebuli chroniły ich nazwiska najróżniejszych wspólników, podstawionych osób, fundacji... Don Leonardo postępował tak samo. Trudno by było przypisać mu wprost bogactwa, które w rzeczywistości posiadał.

Podniósł wzrok, ponieważ zobaczył albo wyczuł czyjeś spojrzenie. Od kiedy zaczęli wsiadać robotnicy zatrudnieni w sektorze usług, don Leonardo wpięrowo pogratulował sobie sukcesu przeprowadzonej akcji, później jednak stwierdził, że przeszkadza mu to przeciskanie się przez pierwszą klasę tyłu kolorowych w kapeluszach z lakierowanej słomy, i dlatego przestał na nich patrzeć. Inne samoloty mają dwa wejścia, jedno z przodu i drugie z tyłu. To trochę irytujące zapłacić za pierwszą klasę i być potrącanym przez przechodzących obok ludzi, źle ubranych i niedomytych...

Coś zmusiło go do spojrzenia, właśnie gdy przechodził Lisandro Chavez, który nie miał kapelusza, pochodził - tak się wydawało - z innej klasy, miał inny

profil i był odpowiednio ubrany na grudniowe chłody w Stanach. Inni mieli na sobie ubrania z dżinsu. Nie uprzedzono ich, że w Nowym Jorku jest zimno. Lisandro miał na sobie wełnianą kurtkę w czerwono-czarną kratę, zaciąganą na suwak pod samą szyję. Leonardo powrócił do lektury „Fortune”. Michelina Laborde wolno sączyła kieliszek Mimozy.

Lisandro Chavez postanowił nie otwierać oczu przez cały czas podróży. Poprosił, żeby nie podawano mu jedzenia i pozwolono spać. Stewardesa spojrzała na niego zdumiona. O to pasażerowie proszą jedynie w pierwszej klasie. Chciała być uprzejma: nasze risotto jest wspaniałe. W rzeczywistości jedno pytanie, natarczywe niby stalowy komar, brzęczało w mózgu Lisandra: co ja tutaj robię? Nie powinienem tu być. To nie jestem ja.

Ja - ten, którego tu nie ma - miałem inne ambicje i póki chodziłem do szkoły średniej, rodzina mogła je wspierać. Fabryczka napojów gazowanych ojca nieźle prosperowała, a w Meksyku, kraju o upalnym klimacie, spożywało się ich zawsze dużo. Im więcej oranżady, tym więcej szans na wysłanie Lisandra do prywatnej szkoły, wzięcie kredytu pod hipotekę domu w kolonii Cuauhtemoc, spłacenie rat za chevroleta i utrzymanie taboru ciężarówek do rozwożenia towaru. Można było raz na rok wybrać się do Houston, co najmniej na kilka dni, pochodzić po centrach handlowych, skłamać, że pojechało się na doroczne badania lekarskie... Lisandro był wszędzie dobrze przyjmowany, chodził na tańce, czytywał Garcíę Maręęza, w przyszłym roku miał już nie dojeżdżać autobusem do szkoły, tylko kupić swojego własnego volkswagena...

Nie chciał patrzeć w dół, ponieważ bał się odkryć coś straszego, co może jedynie z wysokości nieba można dojrzeć; już nie było kraju, nie było Meksyku, ojczyzna stała się fikcją albo raczej snem śnionym wciąż przez garstkę szaleńców, którzy kiedyś wierzyli w istnienie Meksyku... Taka rodzina jak Lisandra nie mogła wytrzymać dwudziestu lat kryzysu, zadłużenia, bankructwa, nadziei odradzających się tylko po to, żeby z nadejściem nowych płatności ponownie odczuć ostry kryzys, jak co sześć lat, coraz większej biedy, bezrobocia... Jego ojciec nie mógł już regulować swoich długów w dolarach, żeby utrzymać fabrykę, sprzedaż napojów spadła, przejęło ją kilka monopolii, niezależni producenci i drobni wytwórcy musieli zbankrutować i zniknąć z rynku. A teraz jakiej pracy się podejmę, mówił do siebie ojciec, krążąc jak duch po mieszkaniu przy ulicy Narvarte, kiedy już nie było możliwe regulowanie długów hipotecznych, zaciągniętych pod zastaw domu w Cuauhtemoc, i wnoszenie w terminie rat za chevroleta, kiedy matka musiała umieścić w oknie ogłoszenie PRZERÓBKI KRA-

WIECKIE, kiedy oszczędności wyparowały najpierw z powodu inflacji z 1985, a potem z powodu dewaluacji z 1995 roku, i jak zawsze z powodu kumulujących się, niespłacanych długów; był to koniec prywatnych szkół, koniec marzeń o własnym samochodzie, twój wuj, Roberto, ma ładny głos i zarabia parę groszy, śpiewając i grając na gitarze na rogu, no, ale jeszcze nie upadliśmy tak nisko, Lisandro, jeszcze nie musimy szukać pracy pod kościołem, niosąc worek z własnymi narzędziami w ręce, a na szyi tabliczkę z wypisanym zawodem: hydraulik, cieśla, elektryk, murarz, jeszcze nie upadliśmy tak nisko jak dzieci naszych dawnych służących, które musiały pójść na ulicę, przerwać szkołę, przebrać się za klaunów, pomalować sobie twarze na białą, żonglować piłeczkami w powietrzu na skrzyżowaniu Insurgentes i Reforma, pamiętasz syna Rosity, z którym się bawiłeś, kiedy urodził się w naszym domu, w porządku, w domu, który mieliśmy przedtem w Rio Nazas, więc wyobraź sobie, że już umarł, nazywał się Lisandro, tak jak ty, pewnie że tak, tak mu dali na imię, żebyśmy byli jego rodzicami chrzestnymi; musiał odejść z domu w wieku siedemnastu lat i został połykaczem ognia na skrzyżowaniach, namalował sobie dwie czarne łzy na twarzy i połykał ogień przez cały rok, plując benzyną, wkładając sobie rozpalone pakuły do gardła, aż wreszcie mózg mu się rozpuścił, Lisandro, rozpuścił mu się mózg, zrobił się miękki jak ciasto, a przecież ten chłopak był najstarszym synem w rodzinie, był jej nadzieją, teraz najmłodszy sprzedają jednorazowe chusteczki do nosa, gumę do żucia, opowiedziała mi to wszystko zrozpaczona Rosita, nasza służąca, pamiętasz ją; najbardziej boją się, żeby malcy nie wachali kleju, żeby się nie odurzali, kiedy pracują na ulicy, razem z bandami dzieciaków, mogących iść w zawody z bezpańskimi psami pod względem liczebności, głodu, upokorzeń: Lisandro, co ma powiedzieć matka dzieciom, które wychodzą na ulicę, żeby ją utrzymać, żeby przynieść coś do domu, Lisandro, spójrz na swoje miasto, zapominające już, czym niegdyś było, ale przede wszystkim czym chciało być; nie mam prawa do niczego, powiedział sobie pewnego dnia Lisandro Chavez, muszę dołączyć do innych obywateli tego kraju źle rządzonego, skorpumpowanego, bezlitosnego, muszę zapomnieć o swoich marzeniach, zarobić forszę, pomóc swoim starym, wybrać to, co mnie mniej poniży, uczciwą pracę, pracę, która uratuje mnie przed pogardą wobec moich rodziców, przed urazą wobec mojego kraju, przed wstydem za siebie samego, ale także przed kpinami moich przyjaciół; wiele lat już straciłem, próbując związać koniec z końcem, zapomnieć o dawnych marzeniach, wyzuć się z ambicji, nie myśleć o przyszłości, zarażony powszechnym fatalizmem, bronić się przed sentymentami, poniżony w swoim dumnym uporze, aby mimo wszystko wyjść z tego z honorem. Li-

sandro Chavez, dwadzieścia sześć lat, utracone złudzenia, a teraz nowa możliwość - wyjazd do Nowego Jorku w charakterze pracownika sektora usług, nieświadomego słów don Leonarda Barroso:

- A dlaczego wszyscy tacy ciemnoskórzy, co to... sami Indianie?

- Taka jest większość, don Leonardo. Kraj ma tylko to do zaoferowania.

- Niech no mi poszukają choć jednego o twarzy przyzwoitego człowieka, bardziej jasnoskórego, a jak go znajdą, mają faceta przyprowadzić do mnie. To pierwsza podróż do Nowego Jorku. Jakie wrażenie tam zrobimy, kolego?

I teraz, kiedy Lisandro przeszedł przez salon pierwszej klasy, don Leonardo spojrzął na niego i nie uświadomił sobie, że to jeden z zaangażowanych pracowników; zapragnął, żeby wszyscy byli tacy jak ten chłopak, robotnik o twarzy przyzwoitego człowieka, delikatnych rysach, choć z tradycyjnymi wąsiskami, jak jakiś *marichi*, i, do cholery, o skórze jaśniejszej niż ma sam Leonardo Barroso. Jest inny, zauważył milioner, inny niż reszta, nie wydaje ci się, Michę? Ale jego synowa, a zarazem kochanka, już zasnęła.

2

Kiedy wylądowali na lotnisku Kennedyego, w samym środku zamieci śnieżnej, Barroso chciał jak najszybciej wyjść, ale Michelina siedziała skulona koło okna, przykryta kocą, z głową opartą o poduszkę. Zaczęła się ociągać. Poczekajmy, aż wszyscy wyjdą, poprosiła don Leonarda.

On natomiast chciał wyjść jak najwcześniej, żeby przywitać się z ludźmi odpowiedzialnymi za skompletowanie meksykańskich pracowników, którzy mieli być zatrudnieni przy myciu elewacji różnych budynków na Manhattanie podczas weekendu, kiedy biura są puste. Kontrakt mówił wyraźnie: przylot z Meksyku do Nowego Jorku w piątek wieczorem, praca przez sobotę i niedzielę, i niezwłoczny powrót do Meksyku w niedzielny wieczór.

- Biorąc pod uwagę wszystkie koszty, w tym bilety na samolot, i tak wyjdzie to taniej niż zatrudnienie miejscowych pracowników. Zaoszczędzimy jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści procent wydatków - objaśnili mu jego jankescy wspólnicy.

Ale zapomnieli powiedzieć Meksykanom, że w Nowym Jorku jest zimno, i dlatego don Leonardo, podziwiając swój własny humanitaryzm, chciał wyjść pierwszy, żeby uprzedzić tamtejszych, iż chłopcy potrzebują kurtek, koców i tak dalej.

Meksykanie zaczęli przechodzić do wyjścia i naprawdę trzeba powiedzieć, że prezentowali się bardzo różnie. Taka trochę zbieranina. W don Leonardzie z podwójną siłą wezbrała duma - oprócz humanitarnej także narodowa. Kraj był tak zrujnowany, po okresie, kiedy sądzono, że wszystko jest w jak najlepszym porządku! Śniliśmy, że należymy do pierwszego świata, myślał don Leonardo, i znów obudziliśmy się w trzecim. Trzeba więcej pracować dla Meksyku, nie tracić ducha, znajdować nowe rozwiązania. Takie jak to. Tak, prawdziwa zbieranina. Oprócz chłopaka z wąsami i w kraciastej kurtce, byli również inni, na których przedsiębiorca początkowo nie zwrócił uwagi, ponieważ stereotyp wieśniaka w lakierowanym słomianym kapeluszu, ze spoconym grzbietem i obgryzionym wąsem, przeważał. Teraz don Leonardo zaczął przybyłych rozróżniać, indywidualizować, wykorzystując całe swoje czterdziestoletnie doświadczenie w kontaktach z robotnikami, kierownikami, fachowcami, urzędnikami. Wszyscy byli na jego usługach, zawsze na jego usługach, nikt nigdy nie zaszedł wyżej niż on, to było właśnie hasło jego niezależności, nikt, nawet prezydent republiki, nie stoi wyżej niż Leonardo Barroso, tak lubił mawiać do swoich amerykańskich wspólników:

- I am my own man. Fm just like you, a self-made man. I don't owe nobody nothing.

Przyglądał się uważnie każdemu bez wyjątku. Oprócz przystojnego chłopaka z wąsami wyróżniał kilku młodzieńców, ubranych może bardziej prowincjonalnie, ale zwracających uwagę, choć czasami bezbarwniejszych niż meksykankie z Dystryktu Federalnego; z grupy tych ostatnich wydzielił odbijających wyglądem od reszty stada chłopaków, których jakieś dwa, trzy lata temu, kiedy królowała euforia prezydenta Salinasa, widywano w restauracjach sieci Denny's, na wakacjach w Puerto Vallarta albo w multikinach Ciudad Satelite. Wyróżniał ich, ponieważ byli najsmutniejsi, choć także najmniej zrezygnowani; to ci zadawali sobie pytanie, podobnie jak Lisandro Chavez: co ja tutaj robię, nie należę do tego miejsca. Tak, tak, należysz, chciałby im odpowiedzieć Barroso, należysz tak bardzo, że w Meksyku, choćbyś szedł na kolanach do Guadalupe, nawet cudem nie zarobisz stu dolarów za dwa dni pracy, czyli czterystu miesięcznie, trzech tysięcy pesos, tego nawet Najświętsza Paniienka ci nie zapewni.

Patrzył na nich jak na swoją własność, swoją dumę, swoich synów, realizację swojej idei.

Michelina ciągle miała zamknięte oczy. Nie chciała widzieć przechodzących robotników. Byli młodzi. Mieli zrujnowane życie. Męczyły ją już podróże z don Leonardem, z początku podobało jej się, czuła się ważna, choć niektórzy się od niej odsunęli, ze znajomości z innymi sama zrezygnowała. Jeśli chodzi o rodzinę, nikt nie miał do Micheliny pretensji, w końcu takie wygody, jakie don Leonardo im oferował, były nie do pogardzenia, zwłaszcza w czasach kryzysu. Jaki byłby ich los? Co stałoby się z babką, Carycą, która przekroczyła już pięćdziesiątkę, ale mimo to nadal powiększała swoje zbiory w kartonowych pudełkach, przekonana, że Porfirio Diaz wciąż jest prezydentem republiki? Albo z ojcem Micheliny, dyplomata znającym się jak nikt na burgundzkich winach, miłośnikiem zamków nad Loarą? Z matką potrzebującą wygód i pieniędzy, żeby robić to, co naprawdę lubi, to znaczy milczeć, nawet podczas posiłków, z powodu nieopisanego wstydu, jaki czuła, mając otworzyć usta publicznie? Co stałoby się z rodzeństwem Micheliny korzystającym ze szczodrości Leonarda Barroso - tutaj jakaś robótka, tam koncesja, tutaj kontrakt, tam agencja?... Ale Michelina była już tym zmęczona. Nie chciała otworzyć oczu. Nie chciała spotkać wzroku żadnego młodego mężczyzny.

Jej obowiązkiem było trwać przy Leonardzie. Przede wszystkim nie chciała myśleć o swoim mężu, synu Leonarda, który za nią nie tęsknił, był szczęśliwy, odizolowany na swoim ranczu, o nic jej nie winił, nie miał pretensji, że ona wyjeżdża z jego ojcem...

Michelina zaczęła się bać wzroku innych mężczyzn.

Meksykanom rozdano koce, którymi oni owinęli się, jakby to były sarapes, i polecono im wsiadać do autobusów. Wystarczył ziąb, jaki odczuwało się, pokonując odległość między wyjściem z lotniska a autobusem, żeby gratulować sobie w duchu zabrania kurtki, szalika, czy też być wdzięcznym za ciepło innych ciał. Odszukiwali się nawzajem wzrokiem i identyfikowali według przynależności społecznej, każdy wyraźnie poszukiwał towarzysza o pewnych cechach podobieństwa do własnej osoby, podobnie myślącego. Z wieśniakami czy mieszkańcami małych miasteczek zawsze można się było jakoś dogadać, ale oni sami zachowywali świadomość własnego niskiego stanu, celebrowali pewien rodzaj oficjalnego formalizmu, uprzejmości, która miała na celu znalezienie zwierzchnika. Nigdy zresztą nie brakowało zuchwalców traktujących z wyższ-

ścią tych najbiedniejszych, mówiących im „ty”, wydających rozkazy, strofujących ich. W tej chwili jednak nie było to możliwe, nie tutaj. Wszyscy czuli się równie nieszczęśliwi, a nieszczęście zrównuje.

W tych, którzy nie byli małomiasteczkowi z wyglądu ani ubioru, uwidoczniła się teraz pełna smutku rezerwa, jakaś przemożna wewnętrzna negacja faktu, że są tutaj, że w Meksyku, w ich domach, dzieje się aż tak źle, iż nie pozostaje im nic innego, jak tylko ulec perspektywie trzech tysięcy pesos miesięcznie za dwa dni pracy w tygodniu w Nowym Jorku, obcym, całkowicie nieodgadnionym mieście, gdzie nie ma potrzeby nawiązywania przyjaźni, ryzykowania poufnych zwierzeń, wymiany żartów, wywoływania nieporozumień w kontaktach z rodzinami.

Dlatego cisza lodowata jak zimowe powietrze panowała wewnątrz autobusu, w którym siedziało dziewięćdziesięciu trzech meksykańskich pracowników, i Lisandro Chavez wyobraził sobie, że wszyscy, chociaż mają sobie wiele do powiedzenia, w rzeczywistości oniemieli z powodu ciszy, którą narzuca śnieg, od tego cichego deszczu białych gwiazdeczek, spadających bez hałasu, rozpuszczających się w miejscu zetknięcia się z czymkolwiek i powracających do stanu przejrzystej cieczy. Jaki był ten Nowy Jork pod długim śniegowym welonem? Lisandro ledwie mógł rozróżnić niektóre znane z filmów kontury, duchy tego miasta, niewyraźne i pokryte śniegiem oblicza drapaczy chmur i mostów, sklepów i nadbrzeży...

Zmęczeni, wkroczyli wreszcie do sali gimnastycznej, pełnej prycz, rzucili swoje tobołki na łóżka polowe armii amerykańskiej, kupione przez Leonarda Barroso w jednym ze sklepów *Army and Navy Supply Store*, przeszli do bufetu przygotowanego w rogu sali, łazienki były z tyłu, jedni zaczęli się zaprzyjaźniać, po przyjacielsku szturchać się kciukami w brzuch, zwracać się do siebie per „bracie” i „stary”, dwóch lub trzech, mocno fałszując, zaczęło nawet śpiewać „Złoty stateczek”, inni uciszali ich, chcieli spać, dzień miał się zacząć o piątej rano, do portu jadę, gdzie czeka złoty stateczek, który zabierze mnie.

Sobota, szósta rano, teraz już można było poczuć, powąchać, dotknąć tego miasta, jeszcze nie zobaczyć, lodowata mgła sprawiła, że stawało się niewidoczne, ale zapach Manhattanu wciskał się niczym żelazny sztylet w dziurki od nosa i usta Lisandra Chaveza; to dym, ciepki i kwaśny dym z kanalizacji i podziemnych tuneli metra, z ogromnych dwunastokolowych ciężarówek, z wylotów rur wydechowych i kratek ściekowych na asfalcie ulic twardych i błyszczących jak

lakierowana podłoga, na każdej ulicy metalowe szczęki otwierały się i połykały skrzynki i jeszcze więcej skrzynek z owocami, warzywami, puszkami, piwami, napojami, które przypomniały mu jego ojca, nagle tak obcego w swoim Mieście Meksyk, zupełnie tak samo jak jego syn w mieście Nowy Jork, obydwaj zadając sobie pytania, co my tu robimy, czy po to właśnie się urodziliśmy, czy nasz los nie miał być inny, co się stało?...

- Przyzwoici ludzie, Lisandro. Nie pozwól sobie wmówić, że jest inaczej. Zawsze byliśmy przyzwoitymi ludźmi. Wszystko robiliśmy przyzwoicie. Zawsze zgodnie z prawem. Czy dlatego poszło nam tak źle? Czy dlatego, że jesteśmy przyzwoitymi ludźmi? Czy dlatego, że żyliśmy jak dumna klasa średnia? Dlaczego zawsze nam idzie źle? Dlaczego nigdy nie kończy się dobrze ta historia, mój synku?

Pomyślał o swoim ojcu, tak zagubionym w mieszkaniu w Narvarte, jakby to była pustynia, bez dróg, bez wody, bez znaków, przemieniającym mieszkanie w pustynię swojego zdumienia, schwytanym w zawrotny pęd zdarzeń nieprzewidywalnych, niewytłumaczalnych, tak jakby cały kraj rzucił się w szaleńczy pęd, przeskakując przez płot, uciekając przed sobą samym, wyrywając się w krzyku i strzelaniu z więzienia porządku, przewidywalności, instytucjonalizmu, jak to mówiły gazety, instytucjonalizmu. Gdzie ojciec jest teraz, co robi, jaki z niego pożytek? Lisandro widział trupy zamordowanych mężczyzn, widział nieuczciwych urzędników państwowych, niekończące się niezrozumiałe intrygi, walkę na śmierć i życie o władzę, pieniądze, samice, gejów... Śmierć, bieda, tragedia. W ten niewytłumaczalny, skłębiony wir wpadł jego ojciec, ustępując przed chaosem, niezdolny, żeby podjąć walkę, pracować. Zależny od swojego syna, tak jak on był zależny jako dziecko od swojego ojca. Ile płacono jego matce za naprawę starego ubrania, za zrobienie na drutach niekończącego się szala albo swetra?

Oby na miasto Meksyk spadła kiedyś także taka śnieżna zasłona, przykrywając wszystko, kryjąc urazy, pytania bez odpowiedzi i ogólne poczucie zawodu. To nie było to samo, patrzeć na rozpalony proch Meksyku, na maskę niestrudzonego słońca, godząc się z utratą miasta, i podziwiać koronę śniegu przystrajającą szare mury i ciemne ulice Nowego Jorku, czuć tętno życia - Nowy Jork, wzrastający na bazie swojego rozkładu, swojego przeznaczenia jako miasta wszystkich, energicznego, niezłomnego, brutalnego, morderczego miasta całego świata, w którym wszyscy możemy się odnaleźć i dostrzec to, co najgorsze i najlepsze w nas samych...

To był właśnie ten budynek. Lisandro Chavez nie chciał patrzeć, jak jakiś tłumok, na jego czterdzieści pięć kondygnacji; zapytał tylko, w jaki sposób będą myć okna pośród zamieci śnieżnej, sprawiającej, że kontury budowli czasem rozmywały się, tak jakby drapacz chmur wzniesiony był z lodu. Złudzenie, oczywiście. Kiedy się trochę rozjaśniło, można było zobaczyć budynek, cały z kryształu, wszystkie materiały użyte do jego budowy były przezroczyste - ogromne pudło z pozytywką, wykonane z luster połączonych ze sobą szkłem, chromowanym, niklowanym - zamek z kryształowych kafli, zabawka o labiryntach z żywego srebra.

Mieli go myć od wewnątrz, wytłumaczono im, gdy zebrali się już w atrium, pośrodku wewnętrznego dziedzińca, wypełnionego szarym światłem, z którego sześciu boków wyrastało, niby sześć ślepych urwisk, sześć ścian ze szkła. Nawet obie windy były kryształowe. Czterdzieści razy sześć, dwieście czterdzieści wewnętrznych twarzy biurowca, żyjących własnym życiem, sekretnym i przezroczystym zarazem, wokół atrium, sześcianu wydrążonego w samym sercu zamku, o jakim marzy każde dziecko budujące go na plaży, tyle że ten, zamiast z piasku, był z kryształu...

Zmontowano już rusztowania, które miały wynieść ich na różne piętra tej budowli, zwężającej się, niby piramida, w kierunku szczytu. Jak w jakimś Teotihuacan ze szkła, pracownicy zaczęli wspinać się na dziesiąte, dwudzieste, trzydzieste piętro, żeby myć szyby, schodząc w dół o dziesięć kondygnacji poziomów, wyposażeni w ręczne myjki do szyb, ze zbiornikami kwasu gnomonowego na plecach, tak jakby to były butle tlenowe jakichś podwodnych poszukiwaczy skarbów. Lisandro wznosił się ku kryształowemu niebu, ale czuł się zanurzany, opuszczany w głąb dziwnego, szklanego morza, w jakiś nieznany świat, do góry nogami...

- Czy ta substancja jest bezpieczna? - chciał wiedzieć Leonardo Barroso.

- Jak najbardziej. Ulega biodegradacji. Po użyciu rozkłada się na nieszkodliwe cząstki - odpowiedzieli mu jego jankescy współpracownicy.

- Tym lepiej dla was. W kontrakcie jest klauzula, która czyni was odpowiedzialnymi za choroby zawodowe. Tutaj można umrzeć na raka od samego oddychania.

- Ach, ten don Leonardo! - roześmieli się jankesi. - Jest pan twardszy niż my.

- *Welcome a tough Mexican* - odparł biznesman.
- *You're one tough man!* - roześmiali się *gringos*.

3

Szła, wdzięczna losowi, ze swojego mieszkania przy Sześćdziesiątej Siódmej Wschodniej do budynku usytuowanego przy Park Avenue. Piątkową noc spędziła zamknięta na cztery spusty, polecivszy portierowi, żeby nie wpuszczał nikogo, a już na pewno nie jej byłego męża, którego natarczywy głos słyszała przez całą noc w telefonie. Nagrywał się na automatyczną sekretarkę, prosząc, żeby odebrała: kochanie, posłuchaj, pozwól mi mówić, pośpieszyliśmy się, powinniśmy to lepiej przemyśleć, poczekać, aż rany się zablizną, przecież wiesz, że nie chcę ci zrobić krzywdy, ale życie czasami bywa takie skomplikowane, ale ja wiedziałem zawsze, nawet w najgorszych chwilach, że mam ciebie, że mogę do ciebie wrócić, że zrozumiesz, wybaczysz, bo gdyby było na odwrót, ja bym ci wybaczył...

- Nie! - krzyknęła zrozpaczona kobieta do telefonu, do głosu niewidocznego dla niej byłego męża. - Nie! Ty byś to wykorzystał okrutnie, egoistycznie, zniewoliłbyś mnie swoim przebaczeniem...

Spędziła noc przepelniona strachem, spacerując tam i z powrotem po małym, ale dobrze urządzonej mieszkanie, w wielu szczegółach nawet luksusowym, chodząc od okna o odsuniętych aksamitnych zasłonach, ukazujących okazałą śnieżną scenografię, do zniekształcającego cyklopowego oka, które chroni ludzi przed wiecznym niebezpieczeństwem, bezsensną groźbą miasta, otworu w drzwiach zaopatrzonego w kryształ, pozwalający widzieć, samemu nie będąc widzianym, ale widzieć świat zniekształcony, podwodny, ślepym wejrzeniem zmęczonego rekina, który nie może sobie pozwolić na luksus odpoczynku, bo utonie, pójdzie na dno morza. Rekiny muszą bez przerwy się ruszać, żeby przeżyć.

Rankiem nie czuła już strachu. Zamięć ucichła, a miasto, oproszone na biało, wyglądało odświętnie. Trzy tygodnie dzieliło je od Bożego Narodzenia, i wszystko stroiło się, jarzyło światłami, błyszczało niczym wielkie lustro.

Jej mąż nigdy nie wstawał przed dziewiątą. Była punkt siódma, kiedy wyszła do biura. Dziękowała losowi za to, że ten weekend dał jej możliwość za-

mknięcia się w pracy, uporządkowania wszystkich papierów, wydania dyspozycji, i to bez używania telefonu, faksu, bez żartów kolegów z pracy, bez całego tego rytuału, obowiązującego w nowojorskich biurach, bez obowiązku bycia zarazem obojętną i dowcipną, bez konieczności podkreślania swojej kompetencji ironicznym żartem, ucinania konwersacji oraz rozmów telefonicznych szorstko, ale zarazem tak, żeby nikogo nigdy nie dotknąć, a przede wszystkim bez fizycznego kontaktu, bez uścisków, nawet bez zwyczajowego cmoknięcia w policzek - ciała oddalone, spojrzenia się unikają... Jak tu dobrze. Tutaj nie naktnie się na swojego męża. On nie ma pojęcia, że... Prędzej postrada zmysły, próbując się do niej dodzwonić, wkraść się do jej mieszkania...

Była tego ranka kobietą świadomą swej wolności. Oparła się zewnętrznemu światu. Swojemu mężowi, także teraz wyrzuconemu z jej wewnętrżności, fizycznej i uczuciowej. Opierała się tłumowi pochłaniającemu ją każdego ranka, kiedy szła do pracy, każącemu czuć jej się częścią stada, indywidualnie pozbawioną wszelkiego znaczenia - czyż setki osób, kursujących przez cały ranek po Park Avenue między Sześćdziesiątą Siódmą a Sześćdziesiątą Szóstą Ulicą nie robiły czegoś równie ważnego albo nawet ważniejszego niż ona, czy może równie lub jeszcze bardziej nieważnego?...

Nie było szczęśliwych twarzy.

Nie było twarzy, na których malowałyby się duma z tego, co robią ich właściciele.

Nie było twarzy ludzi usatysfakcjonowanych swoją pracą.

Zresztą twarze pracowały także, mrugały oczami, robiły grymasy, błyskały białkami oczu, przybierały miny udawanego przerażenia, najwyższego zdumienia, sceptycyzmu, fałszywej uwagi, kpiny, ironii, pełnej wyższości powagi; rzadko, skonstatowała kobieta, idąc pośpiesznie i nie mogąc się nacieszyć ciszą i pustką ośnieżonego miasta, ona sama rzadko pokazywała, albo jej pokazywano twarz prawdziwą, spontaniczną, bez owego wachlarza wyuczonych min, żeby się podobać, przekonać, zastraszyć, wymóc szacunek, podzielić się plotką...

Samotna, nietykalna, pani siebie samej, wszystkich części swojego ciała i duszy, wewnętrżnie i zewnętrżnie, złączona w jedną całość. Zimny ranek, samotność, elegancki, żwawy krok, jakim szła, sprawiły, że tak właśnie się czuła w drodze ze swego mieszkania do biura.

Na miejscu zobaczyła rzeszę robotników. Zapomniała. Roześmiała się sama z siebie. Wybrała na smakowanie samotności dzień, w którym ci ludzie mieli myć szyby budynku od strony atrium. Poinformowano o tym na czas, ale zapomniała. Uśmiechnięta wjechała windą na ostatnie piętro, nie patrząc na nikogo, niby ptak, który myli klatkę z wolnością. Przeszła przez korytarz czterdziestego piętra - kryształowe ściany, szklane drzwi, nawet posadzki z matowego kryształu, architekt musiał być tyranem, bo zabronił używania wykładzin w swoim mistrzowskim przezroczystym dziele.

Weszła do swojego gabinetu, usytuowanego między kryształowym korytarzem i wewnętrznym atrium. Nie miała stąd widoku na ulicę. Nie dochodziło tu też zanieczyszczone spalinami powietrze. Działała tylko klimatyzacja. Budynek był opieczętowany, odizolowany, właśnie tak jak ona chciała czuć się dzisiaj. Drzwi oczywiście prowadziły na korytarz. Ale za kryształową ścianą naprzeciwko, w dole, było atrium, a ona czasami lubiła pikować tam spojrzeniem z czterdziestego piętra, zamieniając je w czasie lotu w płatek śniegu, piórko, motyla.

Kryształ nad korytarzem. Kryształy po bokach, tak że oba sąsiadujące z jej gabinetem biura też były przezroczyste, zmuszając jej kolegów do pewnej powściągliwości w okazywaniu swoich powszednich nawyków, ale mimo wszystko nie każąc im całkowicie rezygnować z naturalnych odruchów. Zdjąć buty, położyć stopy na stole - to było wolno wszystkim, ale mężczyźni mogli drapać się pod pachami i między nogami, a kobiety nie. Za to one mogły przeglądać się w lusterku i poprawiać makijaż. Mężczyźni - oprócz nielicznych wyjątków - nie.

Spojrzała przed siebie, na kryształową ścianę, i zobaczyła go.

Lisandro Chavez został wyniesiony na specjalnym podeście na najwyższe piętro. Wszystkich pytano przedtem, czy mają zawroty głowy, i on przypomniał sobie, że czasami je miewał, na przykład pewnego razu na karuzeli w wesołym miasteczku, podczas jakiejś zabawy, doznał nagłej chęci rzucenia się w przepaść, lecz teraz przemilczał to zdarzenie.

Na początku, zajęty przygotowywaniem rynsztunku do mycia szyb, ale przede wszystkim tym, aby samemu wygodnie się usadowić, nie zaglądał do środka budynku. Jego celem był kryształ. Zresztą w sobotę przypuszczalnie nikt nie będzie pracował w biurze.

Ona zobaczyła go pierwsza, ale właściwie nie uświadomiła sobie tego. Patrzyła na niego, nie widząc go. Jak przypadkowego pasażera w windzie, autobusie albo widza w fotelu kinowym. Uśmiechnęła się. Jej praca kierownika działu reklamy zmuszała ją do częstych podróży lotniczych - spotkania się z klientami z całego kraju o rozmiarach wszechświata, USA. Nikogo nie obawiała się bardziej niż rozmownych towarzyszy podróży, z tych, co to opowiadają o swoich zmartwieniach, pracy, pieniądzach i na koniec, po trzeciej szklance Krwawej Mary, kładą jej rękę na kolanie. Znowu się uśmiechnęła. Spała wiele razy tuż obok różnych nieznanomych, każde z osobna, oboje zawinięci w koc, niczym najniewinniejsi kochankowie...

Kiedy oczy Lisandra i Audrey spotkały się, ona skłoniła lekko głowę na znak powitania, tak jak pozdrawia się kelnera w restauracji, a z mniejszą uprzejmością niż portiera domu, w którym się mieszka... Lisandro umył właśnie dokładnie pierwsze okno, i w miarę jak usuwał ze szkła delikatny nalot kurzu i popiołu, zaczęła pojawiać się ona, najpierw daleka i mglista, później przybliżająca się powoli, mimo że pozostawała w bezruchu, dzięki coraz większej przejrzystości kryształu; przypominało to nastawianie ostrości w aparacie fotograficznym. Powolne osvajanie kobiety za szybą.

Przezroczystość kryształu stopniowo usuwała zasłonę z oblicza nieznanomej. Światło lamp oświetlało głowę kobiety od tyłu, jej jasnokasztanowe włosy falowały delikatnie niczym łąn zboża, którego kłosa spletały się w piękny warkocz, zwinięty niby gruby sznur z tyłu, na karku. Tam koncentrowało się więcej światła niż na reszcie głowy. Lśnienie warkocza, gdy odrzucała głowę do tyłu, uwypuklało falistą linię każdego włosa - były one jak garść nasion, pragnących odnaleźć swój kawałek gleby, zrealizować swą bujną i zmysłową płodność w masie jasnych splotów.

Pracowała z głową pochyloną nad papierami, obojętna na niego, obojętna na pracę innych, czysto usługową, fizyczną, tak różną od jej zajęcia, polegającego na znalezieniu właściwego zdania, chwytliwego sloganu do telewizyjnej reklamy pepsi-coli. On poczuł się niezręcznie, przestraszył się, że mógłby rozproszyc ją ruchami rąk na kryształach. Gdyby podniosła głowę, czy spojrzałaby na niego ze złością, rozdrażniona nieoczekiwanym wdarcie się zwykłego robotnika?

Jak spojrzałaby na niego, gdyby ponownie uniosła głowę?

Jeżu Chryste, powiedziała do siebie w duchu, uprzedzono mnie, że przyjdą robotnicy. Mam nadzieję, że ten mężczyzna mnie nie obserwuje. Czuję się obserwowana. Zaczynam się złościć. Zaczynam się rozpraszać.

Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Lisandra. Chciała zrobić rozdrażnioną minę, ale nie udało jej się. Było w jego twarzy coś, co ją zdziwiło. Z początku nie zwróciła uwagi na szczegóły. To coś sprawiło, że cała zadrżała, bo prawie nigdy nie znajdowała tego w mężczyźnie. Walczyła rozpaczliwie, by ująć to w słowa, ona - specjalistka od słów, od haseł. Brakowało jej tego, które by opisało zachowanie, twarz, wygląd robotnika, myjącego szyby w biurówcu.

Znalazła je wreszcie - nagły przebłysk umysłu. Uprzejmość. To, co zdawało się dominujące w tym mężczyźnie, w jego zachowaniu, w jego oddaleniu, w jego sposobie skłaniania głowy, w dziwnej mieszaniu smutku i radości w jego spojrzeniu - to uprzejmość, niewiarygodny wręcz brak najmniejszego choćby śladu wulgarności, pospolitości.

Ten mężczyzna, powiedziała sobie w duchu, nigdy nie zadzwoniłby do mnie o drugiej nad ranem, rozpaczliwie prosząc o wybaczenie. Umiałby się powstrzymać. Potrafiłby uszanować moją samotność, a ja - jego.

Co zrobiłby dla ciebie ten mężczyzna? - zadała sobie po chwili pytanie.

Zaprosiłby mnie na kolację, a później odprowadził aż do drzwi mojego domu, nie pozwoliłby mi odjechać samej taksówką pośród nocy.

On przelotnie dostrzegł kasztanowobrazowe oczy, wielkie, głębokie, kiedy podniosła wzrok i zmieszała się, opuścił więc swoje, powrócił do rozpoczętej pracy, ale w tej samej chwili przypomniał sobie, że kobieta się uśmiechnęła. Czy sobie to tylko wyobraził, czy tak było naprawdę? Odważył się jeszcze raz na nią spojrzeć. Kobieta uśmiechała się do niego przez krótką chwilę bardzo uprzejmie, zanim opuściła głowę i powróciła do swego zajęcia.

Rzut oka wystarczył. Nie spodziewał się odnaleźć melancholii w oczach jankeski. Mówiono mu, że wszystkie są bardzo silne, pewne siebie, bardzo fachowe, bardzo punktualne. Nie żeby wszystkie Meksykanki były słabe, niepewne, niedbałe i spóźnialskie, nie, w żadnym wypadku nie. Chodzi o to, że kobieta, która przychodzi do pracy w sobotę, powinna być chyba przepełniona czymś zupełnie innym niż melancholią - może nawet czułością czy miłością. Ale to

właśnie zobaczył Lisandro wyraźnie w spojrzeniu kobiety. Był w nim jakiś żal, jakaś tęsknota. Pragnienie. To właśnie mówiły mu jej oczy: chcę czegoś, czego nie mam.

Audrey spuściła głowę niżej, niż to było konieczne, chcąc zatracić się bez reszty w swoich papierach. To śmieszne. Miała zakochać się w pierwszym lepszym mężczyźnie z ulicy, tylko po to, żeby definitywnie zerwać ze swoim mężem, tylko po to, żeby go ukarać, ot, w zwykłym odruchu zemsty? Robotnik był przystojny, i to właśnie nie podobało jej się w całej tej sprawie, zachowywał się w sposób niezwykle wytworny, prawie wyzywająco szarmancki, zupełnie nie na miejscu, jak gdyby nadużywając swojej niższości, ale miał błyszczące oczy, które smutek i radość rozświetlały z równą intensywnością, matowooliwkową skórę, drażniąco szczupły, nieduży wąski nos o drżących nozdrzach, czarne kręcone włosy i bujny wąs. Był młody. Stanowił całkowite przeciwieństwo jej męża. Znowu roześmiała się. To chyba przywidzenie.

On odwzajemnił jej uśmiech. Miał mocne białe zęby. Lisandro pomyślał, że do tej pory unikał wszelkich prac, mogących poniżyć go wobec tych, których znał, kiedy był chłopcem z ambicjami. Raz zgodził się być kelnerem w „Focolare” i było bardzo krępujące, kiedy musiał obsługiwać swoim dawnym kolegom ze szkoły średniej, bo wszystkim się powiodło oprócz niego. Rzucił na nich żalosne spojrzenie, oni odpowiedzieli takim samym. Nie wiedzieli, jak się do niego zwracać, co mu powiedzieć. Pamiętasz jeszcze tego gola, którego strzeliłeś, kiedyśmy grali przeciwko klubowi Simón Bolívar? To było najmiłsze zdanie, jakie wtedy usłyszał, później zapadła kłopotliwa cisza.

Nie nadawał się na urzędnika, rzucił szkołę średnią w trzeciej klasie, nie umiał stenografować ani pisać na maszynie. Jako taksówkarzowi szło mu jeszcze gorzej. Zazdrościł najbogatszym klientom, pogardzał najbiedniejszymi, Meksyk i jego pogmatwany ruch uliczny wyprowadzały go z równowagi, rozwścieczały, robiły z niego choleryka, miotającego przekleństwami, człowieka, jakim nie chciał być... Zostałby zresztą nawet sprzedawcą sklepowym, pracownikiem stacji benzynowej, kimkolwiek, byle tylko mieć pracę, oczywiście. Najgorsze, że nawet takiej roboty nie mógł znaleźć. Wszyscy byli bezrobotni, nawet żebraków traktowano jako bezrobotnych. Był wdzięczny losowi za tę pracę w Stanach Zjednoczonych. Wdzięczny za oczy kobiety, która teraz patrzyła wprost na niego.

Nie wiedział, że ona nie tylko na niego patrzy. Wyobrażała go sobie. I to we wszelkiego rodzaju sytuacjach. W zamyśleniu podniosła długopis do ust. Jaki sport lubi uprawiać? Wygląda na silnego mężczyznę, jest atletycznie zbudowany. Filmy? Aktorzy? Co lubi bardziej, kino, operę, seriale telewizyjne? Czy jest z tych, którzy opowiadają zakończenie filmu? Na pewno nie. To od razu widać. Uśmiechnęła się wprost do niego. Czy umie znieść to, że jakaś kobieta, na przykład ona, nie może oprzeć się pokusie opowiedzenia zakończenia filmu, kryminału, wszystkiego oprócz własnej osobistej historii, bo nigdy nie wiadomo, jak ta się zakończy?

On chyba wyczuł, że jakieś myśli przebiegają jej przez głowę. Chciałby powiedzieć jej szczerze: jestem inny, nie daj się zwieść pozorom, nie powinienem robić tego co robię, to nie jestem ja, nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz. Ale nie mógł do niej mówić przez kryształ, mógł tylko zakochać się w świetle kryształu; jedynie kryształ potrafiłby wejść w nią, dotknąć jej; wyłącznie światło było dla nich wspólne.

Zapragnął gwałtownie dotknąć kobiety, choćby przez szybę.

Ona wstała zmieszana i wyszła z pokoju.

Coś ją obraziło? Czyżby jakiś jego gest, jakiś znak był niewłaściwy? Czyżby posunął się za daleko, nie znając jankeskich norm grzecznościowych? Poczł gniew na siebie samego za ten strach, Rozczarowanie, niepewność. Może odeszła na zawsze? Jak się nazywa? Czy ona zapyta go o to samo? Jak on się nazywa? Co mają ze sobą wspólnego?

Wróciła ze szminką w ręku.

Zamarła w bezruchu, trzymając ją bez skuwki, wysoko, patrząc uważnie na Lisandra.

Upłynęło wiele minut, a oni patrzyli tak na siebie, przedzieleni kryształową granicą.

Tworzyła się między nimi pewna ironiczna wspólnota, wspólnota w izolacji. Każde z nich przypominało sobie swoje własne życie i wyobrażało sobie życie drugiego. Ulice, po których chodzili, jaskinie, w których się ukrywali, dżungle każdego z miast, Nowego Jorku i Meksyku, niebezpieczeństwa, biedę, wszelkie zagrożenia, napastników, policjantów, żebraków, zbieraczy szmat i

makulatury, postrach obu wielkich miast, pełnych ludzi takich jak oni, zbyt mało znaczących osób, żeby móc obronić się przed tyloma zagrożeniami.

To nie jestem ja, powiedział sobie w duchu, nie zdając sobie sprawy, że ona chce, żeby to był właśnie on, właśnie taki, jakiego odkryła dziś rano, kiedy obudziła się i powiedziała do siebie, mój Boże, za kogo ja wyszłam za męża, z kim tak długo żyłam, a później odnalazła jego i przypisała mu wszystko, co było przeciwieństwem tego, czego nienawidziła w swoim mężu - uprzejmość, melancholię i nieprzywiązywanie wagi do tego, że ona opowiada zakończenia filmów...

On i ona, samotni.

On i ona, nietykalni w swojej samotności.

Oddzieleni od reszty świata. Ona i on, twarzą w twarz, pewnego poranka pewnej niezwykłej soboty. Wyobrażając sobie siebie nawzajem.

On i ona, przedzieleni kryształową granicą.

Jak się nazywają? Obydwoje pomyśleli to samo. Mogę dać temu mężczyźnie imię, które najbardziej mi się spodoba. A on: niektórzy muszą wyobrażać sobie, że ich kochanka jest nieznaną. On musiał wyobrazić sobie, że nieznaną jest jego kochanką.

Nie było potrzeby mówienia sobie „tak”.

Ona napisała swoje imię na kryształ szminką. Napisała je odwrotnie, jak w lustrze: YERDUA. Przypominało to imię jakiejś egzotycznej indiańskiej bogini.

On zawahał się, czy podać swoje, tak długie, tak rzadkie w języku angielskim. Ślepo, bezmyślnie, może nawet głupio, nie wie tego aż po dziś dzień, napisał jedynie swoją narodowość: NACIXEM.

Ona zrobiła gest, jakby prosiła o coś więcej, dwie rozłożone ręce, otwarte - może jeszcze coś?

Nie, odmówił ruchem głowy, nic więcej.

Z dołu zaczęto na niego pokrzykiwać, co tam robisz tyle czasu w górze, nie skończyłeś jeszcze, przestań się lenić, pośpiesz się, już dziewiąta, musimy pędzić na następny budynek.

Jeszcze coś? - prosił gest, prosił cichy głos Audrey.

Zbliżył wargi do kryształu. Ona nie zawahała się zrobić tego samego. Ich usta połączyły się poprzez kryształ. Obydwoje zamknęli oczy. Ona nie otworzyła ich przez wiele minut. Kiedy to wreszcie zrobiła, jego już nie było.

ZAKŁAD

Cesarowi Antonio Molinie

Kraj z kamienia. Język z kamienia. Krew i pamięć z kamienia. Jeżeli nie wyrypiesz się stąd, sam się zamienisz w kamień. Odejdź prędko, przejdź przez granicę, zrzuć z siebie kamień.

Umówiono go na dziewiątą w hotelu na wyjazd do Cuernavaca i powrót jeszcze tego samego wieczoru. Tylko troje pasażerów. Jedna turystka ze Stanów Zjednoczonych, to było widać na pierwszy rzut oka, bezbarwna blondynka, ubrana w folklorystyczne meksykańskie ciuchy. Meksykanin ani na chwilę nie puszczający jej ręki, typowy indiański goguś, o śniadej skórze, z wąsami, w fioletowej koszuli. Oraz kobieta, której nie mógł rozszyfrować, biała, chuda, w butach na płaskim obcasie, szerokiej spódnicy i ręcznie robionym swetrze. Miała proste włosy i gdyby nie była taka biała, Leandro Reyes pomyślałby, że jest służącą. Ale mówiła głośno, dźwięcznie, bez kompleksów, z akcentem z Półwyspu.

Leandro, kierowca, był przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju mieszanek na wycieczkach i ta nie była ani lepsza, ani gorsza od innych. Hiszpanka usiadła z przodu, obok niego, a meksykańsko-jankeska para przycupnęła za nimi. Hiszpanka zrobiła oko do Leandra i kiwnęła znacząco głową ku tyłowi. Leandro udał, że nie rozumie. Traktował arogancko wszystkich swoich pasażerów, niech sobie nie myślą, że mają do czynienia z jakimś usłużnym i pokornym meksykańskim gnojkiem. Nie zareagował na mrugnięcie Hiszpanki.

Ruszył gwałtownie, może nawet szybciej, niż chciał, ale zdławiony tłokiem na jezdniach ruch pojazdów miasta Meksyk spowodował, że za chwilę Leandro musiał zwolnić. Włożył kasetę do swojego magnetofonu i zapowiedział, że teraz oto pasażerowie usłyszą informacje o turystycznych atrakcjach Meksyku - o piramidach w Teotihuacan, o plaży w Cancun, no i oczywiście o Cuernavaca, dokąd właśnie się wybierają tego ranka. On świadczy usługi na poziomie, przypominał, dla ludzi na poziomie.

Głosy, muzyka, warkot ciężarówek, zanieczyszczone powietrze miasta uspiły wszystkich prócz niego. Zaledwie więc wyjechali na drogę do Cuernava-

ca, przyśpieszył i zaczął jechać coraz szybciej. Przyglądał się w lusterku wstecznym parze na tylnym siedzeniu, jankesce i meksykańskiemu gogusiowi, i czuł, jak wzbiera w nim wściekłość; było tak zawsze, kiedy jakiś kolorowy wykorzystywał siostrzyczki z północy, przyjeżdżające tu w poszukiwaniu egzotyki, romantycznej przygody, i kończące w rękach takich sukinsynów, obrzydliwych i wulgarnych tępo- li, za których żadna tutejsza dziewczyna nie dałaby złamanego grosza. A więc powinien przynajmniej napędzić im strachu.

Prowadził bardzo szybko i jednocześnie powtarzał informacje płynące z magnetofonu, aż chłopak z tyłu zdenerwował się i ostrzegł go, niech pan uważa na zakrętach, nie musi pan drugi raz gadać tego, co mówi magnetofon, myśli pan, że jestem głuchy, a jankeska śmiała się *how exciting*, i jedynie Hiszpanka zupełnie się nie przejmowała, patrzyła na Leandra z drwiącym uśmiechem, a on ciągnął niewzruszenie:

- To nie jest jakaś zwykła wycieczka. To wycieczka kulturalna. Tak mi powiedziano w hotelu. Jeśli chcecie się obmacywać, powinniście wybrać innego kierowcę, nie mnie.

Kolorowy skulił się na tylnym siedzeniu; jankeska pocałowała go, Indianiec zatopił swoją twarz cyrkowego klauna, pozującego na amanta telewizyjnego, w jej blond fryzurze i już więcej nie podskakiwał. Ale ta z Półwyspu, siedząca po lewej stronie Leandra, zapytała: - Dlaczego wykonujesz pracę, której nie lubisz?

Miałeś szczęście, żeś się nie urodził idiotą. Widzisz, oto Paquito, wariat z miasteczka. Spójrz, jak wychodzi na rynek, żeby się ogrzać na słońcu, śmiejąc się do niego i ludzi. Widać, że chce, żeby go lubiano. Ale tutaj, w twoim miasteczku, nie pochwała się tego. Jakim prawem ten osioł ma się czuć szczęśliwy tylko dlatego, że żyje, że słońce świeci mu w nos, w trzy lub cztery zęby, które mu zostały, w prawie zawsze mętne oczy? Przyjrzyj mu się dobrze. Tak jakby sam wiedział, że jego szczęście nie może trwać zbyt długo, drapie się w zadumie po krótko ostrzyżonej głowie. Ani uczesany, ani nieuczesany, jego włosy są tak krótkie, że chciałoby się wiedzieć, czy rosną, czy nie. Jeżeli rosną, to do przodu, zarastają niskie czoło, wiecznie zafrasowane i zmarszczone. Tego ranka blask zawsze martwego spojrzenia kontrastuje z pobrużdżonym czołem. Paquito spogląda w kierunku arkad przy rynku. Co mu się dzisiaj przydarzy? Pragnie odsunąć tę myśl, odrzucić ją od siebie niczym stary i zakurzony przedmiot. Ale groźba nie mija. Stoi bezbronny, pośrodku placu, w samo południe, w pełnym słoń-

cu, pod gołym niebem, i nic nie chroni go przed obcymi spojrzeniami. Podnosi ręce do oczu, zamyka je, chowa się, wkłada maskę i z każdą minutą staje się coraz bardziej widoczny. Nawet ci, którzy nigdy nie zwracają na niego uwagi, teraz nań patrzą. Paquito zamyka oczy, żeby nikt na niego nie spoglądał w ten sposób. Czuje straszliwy ból w głowie. Jeżeli zamknie oczy, słońce umrze. Otwiera je i patrzy na kamień. Kraj z kamienia. Język z kamienia. Krew i pamięć z kamienia. Rynek z kamienia. Jeżeli nie wyrwiesz się stąd, sam się zamienisz w kamień.

Hiszpanka patrzy na Leandra uważnie i przenikliwie. Najpierw chciał uchodzić za inteligentnego kierowcę, który pokazuje piękno Meksyku cudzoziemcom. Irytowała go, że jakiś inny Meksykanin, nie on, mógłby uprawiać miłość z Amerykanką ze Stanów. Złościło go, że się całują, zamiast słuchać informacji z kaset na temat indyjskich ruin. Chciał im wszystkim dać popalić, wstrząsnąć nimi, pędząc dwieście na godzinę, mieszając swój niby to wyszukany sposób bycia z barbarzyńską przemocą fizyczną. Hiszpance zrobiło się żal tego czterdziestokilku-letniego śmiesznego mężczyzny, o ceglastej, niemal marchewkowej cerze, charakterystycznej dla niektórych Meksykanów z miasta, będących mieszanką rasy czerwonej i białej. Kolor aniliny, można powiedzieć. Oczywiście farbował sobie włosy na rudo i był w niebieskiej koszuli, krawacie i garniturze, srebrzyście połyskliwym jak samolot linii Iberia, który przywiózł ją na wakacje do Meksyku w nagrodę za wygranie konkursu na najlepszą przewodniczkę turystyczną po grotach Asturii.

No a ludziom zupełnie odbiło, gdy dowiedzieli się, że padło na nią, ale takie już jest szczęście, nie ma na to rady.

Mężczyzna za kierownicą nie wie, że obydwójce wykonują ten sam zawód. Ona z rozbawieniem przygląda się mu podczas drogi, obserwując jego miny, ponieważ wszystkie są śmiesznie fałszywe - kierowca jest naburmuszony, pogardliwy, w jednej chwili chodząca encyklopedia, brutalny macho w następnej, wściekły na parę kochanków, która jedzie z tyłu, zazdrosny, ale jeszcze bardziej zirytowany tym, że ona tylko się uśmiecha, i przygląda mu się uważnie, podczas gdy jemu nie udaje się zrobić na niej żadnego wrażenia.

- No i co się tak pani na mnie patrzy? - wrywa się w końcu mężczyźnie, kiedy dojeżdżają do Cuernavaca. - Mam dwie głowy czy co?

- Nie powiedziałaś mi, dlaczego wykonujesz pracę, której nie lubisz.

- Czy my się znamy? Od kiedy jesteśmy na ty?
- W Hiszpanii wszyscy mówimy sobie na ty.
- Tam być może. Ale tutaj okazujemy sobie szacunek.
- W takim razie wpierw okaż go sobie.

Spojrzał na nią z wściekłością, zbity z tropu. Co ma z nią zrobić? Uderzyć ją, kazać wysiąść z wozu, zostawić w Tres Marias? Nie może. Wyrzuciliby go z pracy. Od razu. Zawsze się tego bał, chociaż właściwie zwykle tolerowano jego impertynenckie zachowanie. Ale tu chodziło o zakład. Bądź zuchwały, każ się szanować, nie miarkuj się, Leandro, zaryzykuj wyrzucenie z pracy, a zobaczysz, że prawie zawsze ludzie dadzą za wygraną, nie zechcą psuć sobie zabawy i przekłną twoje grubiaństwo. Niektórzy nie, i wtedy właśnie zakładasz się sam ze sobą, każesz im wysiąść z samochodu w samym środku Sierra de Guerrero, iść pieszo do Chilpancingo, zobaczymy, czy poskarżą się w hotelu, ty zasłonisz się swoją godnością zawodową, któż nie miał zatargów z tymi skurczybykami turystami, uważającymi się za nie wiadomo kogo, jeśli chcecie, możemy przedstawić tę sprawę na zebraniu związku, jestem pewien, że koledzy będą się ze mną solidaryzować, chcecie strajku kierowców, który dotknie nie tylko ten obskurny hotel, ale całe miasto? Wtedy uspokajają cię, przyznają ci rację, ludzie czasem nadużywają swojej pozycji, nie mają szacunku dla naszej pracy, ciągle nas traktują jak byle kogo, a my jesteśmy kierowcami wycieczek turystyczno-kulturalnych, Europejczycy, Japończycy, z nimi nigdy nie ma problemów, my ich szanujemy, oni nas szanują, świadczymy usługi na poziomie, kłótnie zdarzają się tylko z jankesami i kolorowymi...

No, ale ta babka to Hiszpanka i nie wiedział, jak ją podejść. Gdyby byli z nim tylko jankeska i ten indiański kurdupel z wąsami, śliniący się razem teraz z tyłu, nie zwracający należytej uwagi na informacje z magnetofonu i traktujący go tak, jakby był zwykłym afrokierowcą, asfaltem za kierownicą, uwłaczający mu... A ona? Czy aby ona mu także nie uwłacza? Patrzy na niego z uśmiechem, który jest chyba bardziej obraźliwy niż stek obelg, kto to wie, więc on także ją obserwuje, czując, że jej się podoba, gdy tak na nią patrzy, nie rozumiejąc jej, jak gdyby ona także była tajemnicą, jeszcze większą tajemnicą dla niego niż on dla niej.

- No dobra - odezwała się raptem Hiszpanka. - Widzisz, ty i ja robimy to samo. Ja też jestem przewodnikiem turystycznym. Ale lubię swoją pracę, a ty ją

odwalasz, do cholery. Po co to robisz, jeżeli tego nie lubisz? Nie bądź idiotą. Zajmij się czymś innym, głupcze, przecież jest bez liku różnych zawodów.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Dzięki Bogu, na horyzoncie zamajaczyła stacja benzynowa. Zatrzymał się i szybko wysiadł. Odegrał całe przedstawienie z chłopakami ze stacji. Wyściskali się, pogadali, pozwolił im wyrzucić z siebie wszystko, co ich boli, dali sobie kciukami szturchańca w brzuch, zaczęli się przerzucać ulubionymi powiedzonkami, ci ze stacji puścili do niego oko, zapytali go, jaki towar wiezie, on także puścił do nich oko, doradzili, żeby wykorzystał sytuację, bo wszyscy turyści to dupki, ale mają forszę, dlaczego oni tak, a my nie, no powiedz, kumie, napij się, na jedną nóżkę, żeby podróż szybciej zeszła...

Hiszpanka wychyliła się przez okno i krzyknęła do Leandra:

- Jeśli wypijesz chociaż jeden łyk, złożę na ciebie skargę i wszyscy zaraz wysiadziemy, łajdaku. Przestań wreszcie się zachowywać jak zasrany *macho* i wracaj do swoich obowiązków, skurwysynu!

Pracownicy stacji pękali ze śmiechu, trzymając się za brzuchy, klepiąc się po udach, obejmowali i walili nawzajem po pośladkach, patrzcie no, Leandro, już się ożeniłeś, a może to twoja teściowa, już cię wzięli pod pantofel, tak? Teraz się do nas nawet nie zbliżaj, dupku, musisz już chodzić w zaprzęgu, jak wół...

Kierowca ruszył, czerwony na twarzy.

Dlaczego mnie pani kompromituje? Ja traktuję panią z szacunkiem...

Dobra, dobra, słuchaj, ja nazywam się Encarnación Cadalso, ale mówią na mnie Encarna. Będziemy się razem dobrze bawić. No już, nie rozdieraj szat. Pozwól mi nauczyć cię, jak się dobrze bawić. Do cholery, mnie nie oszukasz. Jesteś tylko jeszcze jednym niepewnym siebie facetem, udającym aroganta. Wyżywasz się na innych, a tak naprawdę tylko sobie szkodzisz. Jedźmy do Cuernavaca, podobno to wspaniałe miejsce.

Rynek z kamienia. Spojrzenia z kamienia. Głupek spogląda na grupę wyrostków siedzących przed barem. Ty jesteś wśród nich. Oni patrzą tam, gdzie stoi Paquito. Robią zakłady. Jak go zbijemy, będzie się bronił czy nie? Jeśli nie będzie się bronił, pójdzie sobie stąd czy zostanie? A jeżeli zostanie, to po to, żebyśmy go jeszcze raz zbili? Tak lubi cierpieć ten idiota? A może tylko chce nas zmęczyć, żebyśmy go zostawili w spokoju? Kraj z kamienia - o wszystko się

tutaj można założyć; zakład, że będzie padać lub że nie, że się ochłodzi, że się ociepli, że Atlantico, że Real Madryt, że w nagrodę jedno ucho byka, że cios rogiem, dla Espartaca? Że taka to a taka jest dziewicą, że już nie, że taki to a taki jest pedałem, że jeszcze nie, że doktor Centeno farbuję włosy, że nie, że Zutana ma sztuczną szczękę, a aptekarka - sztuczne cycki. Ile dasz? Kim są mieszkańcy tego miasteczka, którzy ośmielają się nie zamykać drzwi swoich domów? Ilu jest śmiałków, którzy zostawiają je otwarte? O co się założysz?

Jankesko-indiańska para zajęła się podziwianiem widoków z tarasu pałacu Cortesa, trzymając się za ręce i śmiejąc się do siebie jak głupi do sera. Encarna i Leandro obejrzel murale Diego Rivery na temat konkwisty i wtedy ona zapytała, czy rzeczywiście byli tacy źli, a Leandro nie wiedział, co jej odpowiedzieć, on nie jest od tego, żeby wydawać jakiegokolwiek opinie, tak to widział malarz, no to w takim razie dlaczego mówicie po hiszpańsku, a nie w jakimś indiańskim narzeczu, jeżeli tak załujecie Indian, znowu chciała wiedzieć kobieta.

- Byli bardzo waleczni - powiedział Leandro. - Mieli wysoko rozwiniętą cywilizację, a Hiszpanie ją zniszczyli.

- Więc jeżeli tak bardzo ich kochacie, traktujcie ich od dzisiaj lepiej - odparowała swoim twardym, pozbawionym sentymentów tonem Encarna - bo ja widzę, że są bardziej sponiewierani niż kiedykolwiek.

Następnie zatrzymali się w sali, gdzie Rivera namalował wszystko to, co Europa zawdzięcza Meksykowi: czekoladę, kukurydzę, pomidory, chili, indyki...

- Do diaska! - wykrzyknęła Encarna. - Gdybym chciała namalować wszystko to, co Meksyk zawdzięcza Europie, nie wystarczyłoby ścian tego pałacu...

Leandro wreszcie zaczął się śmiać z odzywek bezpośredniej Hiszpanki i kiedy usiedli w kawiarni na wprost pałacu, żeby napić się zimnego piwa, w parę chwil poczuł do niej zaufanie i zaczął opowiadać, jak to jego ojciec pracował jako kelner w restauracji pewnego hotelu w Acapulco, podczas gdy on od małego zmuszony był sprzedawać słodczy na ulicach portu. Bo godniej czuł się ze swoimi pudełeczkami słodczy na ulicy niż jego ojciec zmuszony ubierać się jak mała i kłaniać od świtu każdemu skurczysynowi, któremu przyjdzie ochota, żeby coś zjeść.

- Czulem wstyd zawsze, gdy widzialem go wciśniętego w czarny surdut, z serwetką przewieszoną przez rękę, ustawiającego równo krzesła, zawsze w ukłonach, i to jest to, czego nie mogę ścierpieć, ta jego głowa, wciąż unizenie pochylona, powiedziałem sobie, że taki nie będę, wszystko, byle nie musieć się kłaniać.

- Słuchaj, a może twój ojciec był po prostu uprzejmy z natury?

Nie, był służalczym, uległym niewolnikiem, jak wszyscy w tym kraju, gdzie niektórzy mogą wszystko, ale naprawdę bardzo niewielu - większość jest załatwiona na amen, nie mogą nic. Kilku chojraków zmusza całą resztę, żeby się kłaniali. Tak było zawsze.

- Ciężko jest piąć się w górę, Leandro. Podziwiam twój wysiłek, ale nie bądź taki zgorzkniały. Tracisz dużo czasu na mówienie, dlaczego oni mogą, a ja nie. Nie pozwól, żeby twoje własne szanse przeszły ci koło nosa. Chwytaj je, póki czas, bo nigdy nie powtarzają się dwa razy.

Zapytała go, dlaczego nazywa się Leandro.

- Encarnación to ładne imię. Kto ci je nadał?

- Sam Bóg, oczywiście. Noszę je na pamiątkę tajemnicy wcielenia, urodziłam się w to święto. A ty?

- Na pamiątkę Leandra Valle. Takiego bohatera. Urodziłem się na ulicy jego imienia.

Opowiedział jej, jak mając kilkanaście lat, przestał sprzedawać słodycze i został dozorcą w klubie golfowym w Acapulco.

- Wiesz co? Zostawałem tam na noc i spałem na polu golfowym. Nigdy później nie miałem miększego łóżka. To mnie odmieniło. W końcu postanowiłem, że pewnego dnia zostanę bogaczem. Ten puszysty trawnik mnie ukołysał, stał się jakby moją prawdziwą kolebką.

- Twój ojciec ci pomagał?

- Nie, o to właśnie chodzi. Nie chciałem, żebyś szedł w górę. Połamiesz sobie nogi, mówił mi. Nie próbuj być czymś więcej, niż jesteś. Twierdził, że nie mam szans. Dowiedziałem się od moich kumpli z hotelu, gdzie pracowałem, że nie przyjmuje propozycji, które mi robiono za jego pośrednictwem, a to żebyś się

uczył, a to żebym prowadził samochód. Chciał jedynie, żebym był kelnerem, tak jak on. Nie pragnął dla mnie niczego więcej. O to chodzi. Musiałem wziąć swój los we własne ręce. Dozorca w klubie golfowym. Chłopak od piłek. Kierujący wózkiem z kijami golfowymi. W końcu szofer. *Adiós, Acapulco!* Nigdy więcej nie widziałem swojego ojca.

- Ja cię rozumiem. Ale nie musisz być grubianinem, tylko dlatego że twój ojciec podawał do stołu i zachowywał się uprzejmie. Ty też musisz świadczyć usługi, tak samo jak ja. Co zyskasz, powtarzając sobie cały dzień: muszę to robić, choć tego nie lubię? Nie odgrywaj się na kliencie. Dżentelmeni tak nie postępują, rozumiesz?

Leandro się zaczerwienił. Milczał przez dłuższą chwilę, a potem pojawili się wśród drzew laurowych jankeska i jej elegancik, dając znaki, że muszą wracać do miasta. Już im się śpieszyło.

Leandro podniósł się i stanął za Encarną. Uprzejmie odsunął jej krzesło. To ją zaniepokoiło. Nikt nigdy nie wyświadczył jej takiej grzeczności. Nawet się przestraszyła. Czyżby chciał ją uderzyć? Ale on także nie wiedział, dlaczego raptem uczynił ten gest.

Wracali w milczeniu do stolicy. Para, objęta, zasnęła. Leandro jechał ze zwykłą prędkością. Encarna obserwowała krajobrazy - od przenikniętego tropikalnym zapachem pinii do zanieczyszczonego smogiem na wyżynie, wciśniętej między góry niczym w trującą pułapkę.

Kiedy dojechali do hotelu, Indianiec nawet nie spojrzął na Leandra, ale Amerykanka uśmiechnęła się do niego i wręczyła mu suty napiwek.

Leandro i Encarna patrzyli na siebie przez długą chwilę; każde z nich wiedziało, że nikt nie spoglądał na żadne z nich w ten sposób już od dawna.

- Chodź ze mną - powiedziała do niego. - Moje łóżko jest miększe niż trawa pola golfowego.

Pewnej nocy odwiedzili razem wszystkie domy w miasteczku, żeby sprawdzić, kto wygra zakład o otwarte drzwi, i okazało się, że wszystkie są zamknięte, na klucz, kłódkę albo skobel, tylko drzwi niedorozwiniętego stały otworem, drzwi na strych, a sam głupek spał na łóżku z desek, po chwili zbudził się, przecierając oczy, zdumiony, jak zawsze. Jedyne drzwi bez kłódki i kolejny przegrany zakład; stryszek, gdzie mieszkał Paquito, nie był jakąś brudną norą, lśnił

czystością, niczym srebrna filiżaneczka, to ich trochę zbiło z tropu, zaśmiecili go puszkami po coca-coli i wyszli, śmiejąc się i krzycząc. Nazajutrz głupek starał się nie patrzeć na ciebie i twoich przyjaciół, pozwalał kochać się słońcu, a wy zakładaliście się znowu: jeżeli będzie się tylko wygrzewał na słońcu, to go zostawimy, ale jeżeli ruszy przez rynek, jak panisko, dołożymy mu. Nienormalny nie może być panem. Panami jesteśmy my, bo nam wolno wszystko. No, kto się odważy sprzeciwić, powiedzieć, że nie? Paquito poruszył się, mrugając oczami, patrząc w słońce, a wy zaczęliście wyrzaskiwać obelgi i bombardować go wpierw kulkami z chleba, później całymi twardymi bułkami, a na koniec kapslami z butelek, ten dureń zaś, osłaniając się dłońmi, ramionami, powtarzał tylko: zostawcie mnie, zostawcie mnie już, zobaczcie, jestem dobry, nie robię wam krzywdy, zostawcie mnie w spokoju, nie zmuszajcie mnie, żebym odszedł z miasteczka, uważajcie, bo przyjdzie mój tata, on się mną zaopiekuje, jest bardzo silny... Do cholery, powiedziałaś im, przecież rzucamy w niego tylko tymi kulkami z chleba, i coś niekontrolowanego wybuchło w tobie, wstałeś od stołu, krzesło się przewróciło, rzuciłeś się z cienia arkad ku słońcu w rynku i tam natarłeś pięściami na głupka, który kwilił: ja jestem dobry, nie bijcie mnie już, powiem wszystko tatusiowi, cały czas mając świadomość, że to, czego najbardziej pragniesz, to bić swoich przyjaciół, wyrostków, twoich żandarmów, tych którzy trzymają cię jak więźnia w tym więzieniu z kamienia, w tym gównianym miasteczku. To im chciałeś utoczyć krwi, rozwalić ich pięściami, a nie tego biednego pechowca, na którego wylałeś całą swoją niesprawiedliwą złość, swoją niepewność, swoje zdeptane braterstwo, swój wstyd... No odejź, idź sobie. Zakład, że odejdziesz?

To była bardzo piękna noc. Sprawiała im obojgu wiele przyjemności, spotkali się, a później utracili. Zgodzili się oboje, że to miłość niemożliwa do spełnienia, ale że było warto. Jak mawiała Encarna, szansę trzeba chwycić póki czas, pojawia się tylko raz, a później, trzask - znika jak sen.

Pisywali do siebie przez pierwsze miesiące. Leandro nie umiał zbyt dobrze wyrazić tego, co czuje, ale ona miała do niego zaufanie. On pewność siebie musiał budować tak, jak buduje się zamek z piasku na plaży, nietrwały i narażony na to, że zmyje go pierwsza fala. Teraz, poznawszy Encarnę, zdał sobie sprawę ze wszystkiego, co było fałszywe i spartolone w życiu zostającym powoli w tyle. Ale istniało ryzyko, że znów stanie się taki jak przedtem, jeżeli ją straci, jeżeli jej znów nie zobaczy. To było cholernie trudne musieć usługiwać, wdawać się

w spory z gamoniowatymi, nadętymi klientami, którzy nawet na ciebie nie raczą spojrzeć, jak gdybyś był przezroczysty niczym kryształ. Powracały złe maniere Leandra, jego aroganckie odzywki, jego grubiaństwa. Powracała do niego jego złość. Jako mały chłopak kopał w pale cumownicze w Acapulco po prostu z wściekłości, że jest tym, kim jest, a nie tym, kim chciał być. Dlaczego oni mają, a ja nie? Pewnej nocy, czekając przed luksusową restauracją, zrobił to samo, nie mógł się powstrzymać, zaczął kopać w zderzaki zaparkowanych samochodów, inni kierowcy musieli go powstrzymać, teraz to naprawdę będziesz miał kłopoty, ten samochód należy do ministra, ten do kacyka z PRI, ten do takiego jednego, co wykupił państwowe zakłady w...

Całe szczęście, że w tym momencie wyszedł z restauracji amerykański milioner i były minister don Leonardo Barroso, który szukał swojego kierowcy, i szef parkingu powiedział mu, że szofer źle się poczuł i poszedł do domu, ale zostawił klucze od samochodu swego pracodawcy. Barroso wpadł we wściekłość, cóż to za kraj nieodpowiedzialnych gnojków, i raptem zobaczył swoje odbicie we wściekłości Leandra, tak jakby ujrzał siebie w ogarniętym amokiem zwykłym kierowcy wycieczek turystycznych, siebie parkującego w tym samym miejscu, czekającego na klientelę i kopiającego paliki do cumowania, po czym roześmiał się głośno. Uspokoił się dzięki temu spotkaniu, porównaniu i utożsamieniu. Uspokoił się także i dlatego, że prowadził pod rękę kobietę boskiej piękności, wyglądała jak prawdziwa modelka, miała długie włosy i dołeczek w brodzie. Ta kobieta wodziła pana Barroso za nos, to od razu rzucało się w oczy. Był w niej zakochany po uszy, jak dwa razy dwa cztery.

Don Leonardo poprosił Leandra, żeby odwiózł do domu jego i jego synową, i tak mu się spodobał sposób prowadzenia wozu, dyskrekcja i wygląd szofera, że zaproponował mu wyjazd do Hiszpanii w listopadzie. Będzie tam załatwiał jakieś interesy i potrzebuje kogoś, kto byłby jako kierowca do dyspozycji jego synowej, która ma mu towarzyszyć. Leandro bardzo nieufnie, zaraz po pierwszej fali entuzjazmu, zadał sobie w duchu pytanie, czy aby ten wysoki, wszechwładny mężczyzna, mogący sprostać naprawdę wszystkiemu, nie widzi w nim, kierowcy, nic nieznaczącego eunucha, który nie będzie zagrażał jego „synowej”, podczas gdy on zajmie się swoimi „interesami”. Ale jakże mógłby wybrzydząć? Zdusił swoje wątpliwości i powiedział sobie, że jeżeli oni zaufali jemu, to niby dlaczego on miałby im również nie okazać zaufania.

No tak. To coś innego niż wożenie turystów. Pewien awans. A poza tym widać, że pan Barroso jest twardym człowiekiem, szefem budzącym szacunek i

podejmującym szybkie decyzje. Leandro nie szczędził wysiłków, komuś takiemu można było służyć z godnością, nie poniżając się. Poza tym, napisał, lecąc do Asturii, dzięki temu znowu zobaczy Encarnę.

Założyli się, że ten, który spuści solidne lanie głupiemu Paquito, wygra bilet autobusowy z miasteczka nad morze i z powrotem. I chociaż Portugalia leżała bliżej Estremadury, był to kraj galicyjski, niegodny zaufania, gdzie mówiło się w dziwnym języku. Asturia natomiast, chociaż dalej, znajdowała się na hiszpańskim brzegu i, jak głosił hymn, była „kochaną ojczyzną”. Okazało się, że wuj jednego z twoich przyjaciół-wyrostków jest kierowcą autobusów dalekobieżnych i może wyświadczyć wam tę przysługę. Był Baskiem i rozumiał, że świat kręci się wokół zakładów, i tylko wokół zakładów. Nawet koła autobusów, powiedział z miną filozofa, nakręca zakład, że wypadki są możliwe, ale nieprawdopodobne. Pod warunkiem że jakiś kierowca nie założy się z drugim, że dojedzie pierwszy z Madrytu do Oviedo, roześmiał się wuj chłopaka. Nie zaskoczyło cię, że aby spotkać się z wujem, nikomu nie przyszło do głowy zatelefonować albo wysłać telegram, napisaliście tylko odręcznie na kartce wiadomość, którą bez żadnej kopii czy koperty oddaliście kierowcom autobusów. Dlatego upłynęło tyle czasu między laniem, które spuściłeś durnemu Paquito, a domniemanym wyjazdem nad morze. Upłynęło tyle czasu, że prawie przegrałeś wygrany zakład, dlatego że były inne, tu życie upływa na zakładach. Sto peset na to, że Paquito nie pojawi się więcej na rynku po łomocie, jaki mu spuściłeś. Dwieście, że się pojawi, a jeżeli się nie pojawi, tysiąc peset, że opuścił miasteczko, dwa tysiące, że umarł, sześć, że gdzieś się ukrył. Poszliście pod drzwi stryżku, gdzie spał głupek. Panowała wielka cisza. Wreszcie drzwi się tworzyły. Wszedł starzec ubrany na czarno, w czarnym kapeluszu naciśniętym na ogromne uszy, z szarym trzydniowym zarostem, kłującym biały kołnierzyk od koszuli bez krawata. Z małżowiny ucha wyrastało tyle włosów, że wyglądała jak jakieś nowo narodzone zwierzę. Wilcze szczenię. Zatrzymałeś dla siebie to porównanie. Żadnemu z twoich towarzyszy nie podobała się ta twoja mania porównań, aluzji, całe to niezrozumiałe zainteresowanie słowami. Język z kamienia, który spadł z księżycyca, w kraju, gdzie ulubiony sport to przenoszenie kamieni. Głowy z kamienia - żeby nic do nich nie weszło. Oprócz kolejnego zakładu. Zakłady były jak wolność, były rozumem, męskością, wszystkim razem. Dlaczego ten starzec w żałobie wychodzi z chaty, w której mieszka Paquito? Czyżby głupek umarł? Spojrzeli po sobie z dziwną mieszaniną ciekawości, strachu, kpiny i szacunku. Brała ich ochota, żeby się założyć i przestać wątpić! Przynajmniej ten jeden raz spojrzenie każdego z twoich przyjaciół było niepewne. Ten ogromny mężczy-

zna, pełen mocy pośród swojej biedy, wyzwał w was inne, nieoczekiwane zachowanie. Nie byliście już stadem młodych wilków, polujących razem wśród nocy. Śmiech, szacunek i strach. Czyżby Paquito umarł? Czy dlatego jest w żałobie ten starzec z kamienia, który pojawił się w domu głupka? Założymy się o dwa tysiące peset? Wszyscy zamilkli, kiedy powiedziałaś, że ten zakład byłby nieważny, bo nie można się dowiedzieć, czy Paquito dlatego nie przyjdzie już na rynek, że umarł, i czy w jego domu jest żałoba, ponieważ tutaj wszyscy zawsze noszą żałobę. Nie zauważyliście tego? W tym miasteczku żałoba nie ma końca. Zawsze jest jakiś trup. Zawsze. I będzie ich więcej, powiedział głosem jak grzmot starzec w żałobie. Zobaczymy, czy potraficie tylko bić bezbronne dziecko. Zobaczymy, co z was za mężczyźni, czy macie honor i odwagę, czy też, jak podejrzewam, jesteście bandą zaszranych gówniarzy. A ty raptem poczułeś, że twoje życie nie należy już do ciebie, że wszelkie plany wzięły w łeb, że wszystkie zakłady połączyły się w jeden.

Encarna nie miała nadziei, że go jeszcze kiedykolwiek zobaczy. Szamotała się. Nie chciała zmienić wyglądu ani sposobu życia. Niech ujrzy ją taką, jaka jest, z całą jej codziennością, kiedy robi to, co robi zawsze, żeby zarobić na kawałek chleba. Chleba płaczu, przypomniała sobie, weselny chleb panny młodej nazywany był na tej ziemi *pan de chourar*, chlebem płaczu.

On wiedział już, gdzie jej szukać. Od dziewiątej rano do trzeciej po południu, od kwietnia do listopada. Przez resztę czasu grota była zamknięta, żeby nie dopuścić do zniszczenia malowideł. Oddechy, pot, pracujące wnętrza kobiet i mężczyzn, wszystko to, co przydaje nam życia, ujmuje go grocie, dewastuje ją, niszczy. Wizerunki jeleni i bizonów, konie rysowane węglem, tlenkiem i krwią w grocie są śmiertelnie zagrożone przez oddech i krew ludzi.

Czasami Encarna śniła o tych dzikich koniach naszkicowanych przed dwudziestoma pięcioma tysiącami lat, i to najczęściej zimą, kiedy grota była zamknięta dla zwiedzających; wyobrażała je sobie skazane na ciszę i ciemność, niecierpliwie oczekujące wiosny, żeby znowu puścić się galopem, oszalałe z głodu, mroku i miłości.

Była prostą kobietą. To znaczy nikomu nie opowiadała swoich snów. Turystom, którzy zapuszczali się tutaj, mówiła tylko lakonicznie:

- To bardzo prymitywne. Bardzo prymitywne.

Tego listopadowego dnia lało jak z cebra, i po to żeby dojść do groty, Encarna włożyła kalosze. Droga z jej domu na miejsce była stromą glinianą ścieżką. Nogi zapadały się w błoto po kostki. Encarna obwiązała głowę wiejską chustką, ale nawet wtedy nitki deszczu spływały jej na czoło, tak że musiała zamykać oczy i pocierać ręką twarz, jakby płakała. Kurtka, którą miała na sobie, nie była nieprzemakalna, lecz uszyta z króliczego futra, i nie najlepiej pachniała. Pod spódnicę kobieta włożyła dwie halki, co sprawiało, że wyglądała jak cebulka. Na nogi wciągnęła kilka par wełnianych pończoch.

Nie było nikogo tego ranka. Czekala na próżno. Niedługo miano grotę zamknąć, turyści już nie przyjadą. Postanowiła wejść do środka sama i pożegnać się z grotą, która wkrótce zapadnie w swój zimowy sen. Czy można sobie wyobrazić lepszy sposób pożegnania niż położyć własne ręce na śladzie pozostawionym na kamieniu przez inną rękę tysiące lat wcześniej? To dziwne. Ślad był koloru ciała, ochry, i dokładnie rozmiaru dłoni Encarnación Cadalso.

Wzruszyło ją to. Miło było pomyśleć, że upłynęły wieki, a dłoni jakiejś kobiety odpowiada idealnie dłoni innej kobiety, a może mężczyzny, męża, syna - martwych, ale wciąż żywych w spuściźnie z kamienia. Ta ręka wzywała ją, prosiła Encarnę o trochę jej własnego ciepła, żeby nie umrzeć na dobre.

Kobieta krzyknęła. Inna dłoń, tym razem żywa, ciepła, pełna odcisków, przykryła jej rękę. Duch zmarłego, który pozostawił tu swój ślad, to zrobił. Encarna odwróciła się i w wąłym świetle ujrzała twarz swego meksykańskiego narzeczonego, tak, narzeczonego, Leandra Reyesa, który przytrzymał jej rękę dokładnie w tym miejscu, gdzie niegdyś pulsowało życie, nie tylko jej, ale także jej ziemi, jej przeszłości, jej zmarłych... Czy on zaakceptuje ją taką, jaka jest, tu gdzie jest, nie pośród *glamour* - przywołała to słowo, tyle razy spotykane w czasopiśmie - turystycznej wycieczki do Meksyku?

Nie musiał ich namawiać. Wszyscy byli gotowi, aby przyjąć zakład, ty o tym wiedziałeś. Pośród tego się wychowałeś. Tym żyliście, ty i twoi przyjaciele. Ale ten prawie nadnaturalny stwór w żałobie, który powitał was niespodziewanie na stryszku, gdzie mieszkał Paquito, mocno podwyższył stawkę, rzucił na szalę zakładu wasze życie i honor. To było tak, jak gdyby wszystkie lata dzieciństwa, a teraz wieku młodzieńczego, zwały się na was raptem niby huczący, rozszalały wodospad, zmiatający ze swej drogi wszystko, co było przedtem, wszelkie obraźliwe odzywki, kpiny, okrucieństwa jednych wobec drugich, ale przede wszystkim przez silniejszych wobec słabszych. Te lata zwały się w jedno

srebrne ostrze, przesywające i oślepiające. Ani kroku więcej nie postawicie na tej ziemi, mówił mężczyzna bez krawata i w żałobnym ubraniu, jeżeli przedtem nie uczynicie tego jednego, śmiertelnego, który ja wam każę zrobić.

Któryś z wyrostków chciał go uderzyć, ale mężczyzna o owłosionych uszach rozgniół go jak robaka i cisnął o ścianę; dwóch innych, którzy próbowali rzucać jakieś obraźliwe słowa pod jego adresem, stuknął o siebie głowami jednym oszczędnym, twardym ruchem ręki, pozbawiając ich przytomności.

Oświadczył, że jest ojcem Paquita i że to nie jego wina, że syn urodził się niedorozwinięty. Żadnych więcej wyjaśnień. Jest także ojcem jednego z nich, dodał raptem całkiem spokojnie, i spojrzął po dziewięciu wyrostkach, w tym dwóch znokautowanych i jednym leżącym na wznak pod murem. Nie powie którego, oznajmił, wyszczerzając dwa czy trzy pośliskłe zęby, które mu jeszcze zostały, ponieważ wybierze tylko jednego, tego, co zaatakował Paquita. Tego wyróżni. Tego wyzwie na pojedynek jak mężczyzna mężczyzną.

- Zakładajcie się, jeśli chcecie, z którą z waszych matek spałem kiedyś. Przemyślcie to dobrze, zanim odważycie się tknąć jeszcze raz mojego syna Paquita, i pamiętajcie, że to brat jednego z was.

Nie powiedział, czy głupek jest żywy, czy martwy, ciężko ranny czy już w lepszej formie, i nie posiadał się z radości, widząc twarze dziewięciu skurwysynów, którzy jednak woleliby założyć się wpiern o to wszystko. Uciszył ich jednym spojrzeniem, a ono rozkazywało: niech się przyzna ten, który spuścił lanie Paquito.

Wystąpił krok naprzód, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, czując, jak gwałtownie jeżą ci się włosy pod rozpiętą brudną koszulą, aż stały się dzunglą prawdziwego *macho*, symbolem honoru twoich dziewiętnastu lat.

Chłopisko nie spojrzęło na ciebie ani z nienawiścią, ani z kpina, lecz z prawdziwą powagą. Ten osiłek wyszedł z więzienia tydzień temu (przyznając się do tego, wytrącił sobie broń z ręki, ale im także) i ma im trzy rzeczy do powiedzenia. Po pierwsze, na nic się nie zda donosić na niego. Są wprawdzie na to zbyt głupi, ale lepiej, żeby im to nie przyszło do głowy. Obiecał, że w razie czego załatwi ich jak muchy. Po drugie, w ciągu dziesięciu lat odsiadki zaoszczędził około dwustu tysięcy peset, pochodzących z dzierżawy jego ziem, jego renty wojskowej, spadków, jakie otrzymał. Takie tam apanaże. Teraz się o tę sumę założy. Postawi ją całą. Założy się o wszystko, co posiada.

Twoi towarzysze spojrzeli na ciebie. Poczuleś ich głupawe, rozbiegane spojrzenia na swoich plecach. Co to za zakład? Dwieście tysięcy peset. Już ci ich zazdrościli. Można za to żyć po królewsku przez długi czas. Można żyć. Albo zmienić swoje życie. Można robić, co się komu żywnie spodoba. Wszyscy zaakceptowali zakład, zanim jeszcze się dowiedzieli, o co chodzi.

- Przejedziemy przez tunel w Barrios de la Luna. To jeden z najdłuższych. Ja od strony północnej, ty od południowej. Każdy z nas poprowadzi samochód, ale stroną przeciwną do kierunku ruchu, pod prąd. Jeżeli obydwaj wyjdziemy z tego bez szwanku, podzielimy się pieniędzmi. Jeżeli ja nie wyjadę z tunelu, ty wezmiesz pieniądze. Jeżeli ty nie wyjedziesz, ja je wezmę. Jeżeli nie wyjedzie żaden z nas, niech podzielą je między siebie twoi przyjaciele. Zobaczymy, komu bardziej szczęście sprzyja.

Leandro zsunął jej delikatnie chustkę z głowy, przyglądał wilgotne włosy i zaczął całować łąpczywie mokrą twarz, nieumalowaną, teraz starszą od tamtej z Cuernavaca, ale należącą do niego, znowu do niego.

Później, wyciągnięci na posianiu Encarny, mocno objęci, starając się przewyciężyć przepyszny chłód listopada, żądający od nagiej skóry bliskości jej odpowiedniczki, pod grubym wełnianym kocem, na wprost rozpalonego ognia, wyznali sobie miłość, a ona powiedziała, że kocha swoją pracę i swoją ziemię. Nie spodziewała się niczego, przyznawała to. Prawda jest taka, zaśmiała się, że od dawna nikt nie wrócił, żeby się z nią zobaczyć. On jest pierwszy od bardzo długiego czasu. Ona nawet nie myśli o tym, czy będzie jakikolwiek inny. Nie, nie będzie. Wcześniej, owszem, miewała przygody miłosne, nie była zakonnica. Ale prawdziwa miłość, szczerą miłość jest tylko jedna. On może być pewien jej wierności. Dlatego mu to wszystko opowiada.

Leandro w ramionach Encarny poczuł, że już nie musi niczego udawać, czas niepewności i fanfaronady został w tyle, on już nigdy więcej nie powie: „wszyscy zostaliśmy załatwieni na amen”, od tej chwili będzie mówił: „tacy jesteśmy, ale razem możemy być lepsi”.

Encarna opowiedziała mu sen o grocie, którego nikomu nigdy jeszcze nie opowiadała, tak smutno było jej zostawiać te wszystkie konie samotne, zmartwiałe z zimna, w ciemnościach, od listopada do kwietnia galopujące bez celu. Zapytał ją, czy odważy się zostawić swoje strony i zamieszkać w Meksyku. Od-

parła, że tak, powtórzyła to wiele razy, obsypując go jednocześnie pocałunkami. Ale uprzedziła go, że chleb panny młodej w Asturii nazywany jest chlebem płaczu.

- Przy tobie staję się inny, Encarnita. Już nie rozdaję kopniaków całemu światu.

- Myślałam, że kiedy mnie odnajdziesz tutaj, pośród tego błota, z twarzą zalaną deszczem, nie będę ci się podobać.

- Obydwoje się starzejemy. Nie wydaje ci się?

- Jasne, chociaż ja wolałabym, żebyśmy zawsze byli młodzi, razem.

Rozbawiła go i zaśmiał się swobodnym śmiechem, bez męskiego szowinizmu, bez kompleksów i nieufności. Wziął ją czule za rękę i powiedział jej, tak jak gdyby nigdy już nie mieli wspomnieć o tym drugim Leandrze:

- No dobra, chyba zrozumiałem już wszystko.

Ona bała się, że Leandro się rozczaruje, widząc ją tutaj, w jej pieleszach, taką jak teraz, z kocem narzuconym na ramiona, w wełnianych skarpetkach i drewniakach na grubej podeszwie, które włożyła wstając, żeby dołożyć dREW do ognia. Pamiętała słodycz Cuernavaca, jej ciepłe zapachy, a teraz żyła w kraju ludzi i domów na szczudłach; tu właśnie sama mieszkała w spichlerzu wzniesionym na kamiennych cokołach, żeby uniknąć wilgoci, błota, rześistego deszczu, wodnej hekatombi, jak to określił Leandro.

Zaproponował jej, żeby spędziła z nim weekend w Madrycie. Jego szef, pan Barroso, i synowa szefa, pani Michelina, polecili do Rzymu. Leandro chciał oprowadzić Encarnę na miejsce, pokazać jej Cibeles, Gran Via, ulicę Alcalá i park Retiro.

Spojrzeli tylko na siebie bez słowa. Byliśmy dwojgiem samotników, a teraz jesteśmy razem.

Ubrane na czarno chłopisko, w czarnym kapeluszu, wbitym na głowę aż po owłosione uszy, prowadzi furgonetkę i nie patrzy na ciebie; chce tylko być pewien, że jedziesz koło niego i wypełnisz swoją część zakładu.

Nie patrzy na ciebie, ale do ciebie mówi. To tak, jakby rozpoznawał cię tylko jego głos, nigdy spojrzenie. Ten głos napawa cię strachem, już lepiej

zniósłbyś wzrok, choćby oczy mężczyzny były nie wiadomo jak straszne, martwe, wymierzające sprawiedliwość. Coś, o czym nigdy nie pomyślałeś, mówi do ciebie wewnątrz twojej piersi, tak jakbyś tylko tam, pośród uwięzionego oddechu, mógł rozmawiać z twoim dozorcą, więźniem, który odsiedział już swój wyrok, wyszedł na wolność i natychmiast zrobił więźnia z ciebie...

Ty i twoi przyjaciele także nie patrzycie na siebie. Boicie się obrazić spojrzeniem. Kontakt oczu jest gorszy, niebezpieczniejszy niż kontakt rąk, genitaliów, skóry. Należy go unikać. Byliście bardzo męscy, bo nigdy nie patrzyliście na siebie, chodziliście po ulicach miasteczka, spoglądając na czubki swoich butów, a na wszystkich innych - niezmiennie - krzywo, z pogardą albo prowokacją, kpina albo niepewnością. Paquito, ten spojrzał na ciebie, spojrzał na ciebie wprost, śmiertelnie przestraszony, ale wprost, i tego mu nie mogłeś wybaczyć, to dlatego rzuciłeś się na niego z pięściami i złołeś mu skórę...

Oto przebiega sto, może dwieście jeleni koloru dojrzałej brzoskwini po ziemiach Estremadury, jak gdyby w poszukiwaniu ostatnich posiłków, mogących zwiększyć ich liczebność. Stary patrzy na nie i mówi ci, żebyś nie patrzył na jelenie, żebyś spojrzał w górę, na sępy krążące już w oczekiwaniu, że któremuś jeleniowi coś się stanie...

- Są tu także dziki - powiedziałaś, byle coś powiedzieć, podtrzymać rozmowę z ojcem, katem, mścicielem niedorozwiniętego Paquito.

- Te są najgorsze - odparł starzec. - Najbardziej tchórzliwe.

Powiedział, że odyńce, zanim wejdą do wody, wysyłają przodem młode i ich matki, młodych samców i młode samice, węszące pod wiatr, żeby zakomunikowały staremu dzikowi, że droga jest wolna i można bezpiecznie zbliżyć się do wodopoju. Dopiero wtedy sam odyniec tam podchodził.

- Młode samce, idące przodem, nazywane są tarczownikami - wyjaśnił stary z powagą, ale zaraz z wolna zaczął go opanowywać śmiech. - To właśnie one padają łupem myśliwych, one giną. Stary dzik natomiast wie coraz więcej, dlatego że jest stary, pozwala, żeby warchlaki i samice poświęcały się za niego...

Teraz spojrzał. Dopiero teraz spojrzał na ciebie wzrokiem czerwonym, rozpalonym jak rozdmuchany żar, ostatni żar z samego dna popiołu, o którym wszyscy myśleli, że jest już zimny.

- Robią się szare na starość. Odyńce. Wychodzą tylko w nocy, kiedy warchlaki już zostały upolowane albo wróciły żywe, co świadczy o tym, że droga jest wolna. - Śmiał się do rozpuku. - Wychodzą tylko w nocy. Z czasem stają się szare. Zakrzywiają im się kły. Im starszy dzik, tym szable bardziej zawinięte.

Przestał się śmiać i stuknął palcem o zęby.

Wynajął ci samochód z tej strony tunelu. Wierzył w twój honor. Zostawiał cię samego, żebyś przejechał na drugą stronę. Czternastu minut potrzeba na przejechanie tunelu w Barrios de la Luna. Będzie mierzył czas od twojego wyjazdu. Po piętnastu minutach zawrócisz, żeby ponownie wjechać do tunelu, a on ruszy w przeciwnym kierunku.

- *Adiós* - powiedział stary.

Wyjechali drogą wśród dymów elektrowni, zmieszanych z mgłą opadającą z wysokich gór, mijając opuszczone szyby węglowe, zablizniające się powoli na powierzchni ziemi. Dzieciaki kopaly piłkę. Stare kobiety zginały grzbiety nad grządkami warzyw. Żelbeton, żelazne sztaby, bloki cementu i ściany przeciwlaminowe stopniowo niwelowały spiętrzenia terenu, torując drogę autostradom i tunelom, zagłębiającym się we wzgórze Sierra Cantabrica, pokonując je. Była to wspaniała droga, a Leandro prowadził mercedesa swojego szefa szybko, jedną ręką, drugą obejmował Encarnę, która prosiła go, żeby zwolnił, Jezus Maria, niech jej tak nie straszy, przecież mieli dojechać żywi do Madrytu, ale on ani myślał usłuchać, miał swoje przyzwyczajenia i odruchy samca, których nie porzuca się z dnia na dzień, a poza tym mercedes mruczał jak kot, to była rozkosz prowadzić samochód, który ślizga się po drodze jak masło po bułce, roześmiał się, kiedy wjechali w bardzo długi tunel, w Barrios de la Luna, zostawiwszy za sobą widok ośnieżonych szczytów i poszarpanych mgieł. Leandro zapalił światła, niby dwoje oczu kota; za sobą miał starą furgonetkę, którą prowadził mężczyzna ubrany na czarno, w czarnym kapeluszu, wciśniętym na głowę aż po ogromne uszy, i z szarą brodą, kłującą biały kołnierzyk koszuli bez krawata. Stary drapał się w małżowinę owłosionego ucha. Starzał się nie zmieniać pasa ruchu, nie zjeżdżać na lewą stronę, co by go niechybnie naraziło na zderzenie. Lepiej jechać z tyłu, za tym eleganckim mercedesem na madryckich numerach. Wybuchnął śmiechem. Honor zostawiał głupkom. On zemści się za swojego biednego syna.

Ty jechałeś dziewięćdziesiątką, wstydząc się pomyśleć, że robisz to po to, żeby policja drogowa zatrzymała cię i przeszkodziła wjechać do tunelu, który

nieuchronnie się przybliżał. Zakręciło ci się w głowie od nagłego przejścia ze strefy palącego słońca w obłok dymu, w oddech czarnej mgły wnętrza tunelu. Zdecydowałeś się na lewy pas ruchu, ruszyłeś w przeciwnym kierunku, mówiąc sobie, że zostawisz tę wioskę z kamienia, język z kamienia, że to jest jeszcze lepsze niż wyjazd do Ameryki, to dopiero znaczy być autentycznym, być sobą, narazić swoje życie, żeby wygrać zakład, i to jaki zakład, o dwieście tysięcy peset, za jednym zamachem, zobaczymy, po czyjej stronie jest szczęście, jeżeli nie zaryzykowałbyś teraz, nie zrobiłbyś tego już nigdy, los szczęścia, wszystko zależy od jednego zakładu, to tak samo jak zostać toredorem, ale zamiast byka pędziła w twoją stronę para zapalonych świateł, oślepiających ciebie i tego, który prowadził samochód z naprzeciwka, dwa świetliste rogi, założyłeś się: no, ile za to, że to ten stary z matki kurwy i ojciec skurwysynów, który... Kto? Kim, kim są te istoty, które miałeś właśnie wziąć w swój uścisk z kamienia, ty ze swoimi świetlistymi rogami byka, podobnymi do tych, co podtrzymują figury Najświętszych Panienek, patronek Hiszpanii i Ameryki? Pomyślałeś o jednej kobiecie, zanim roztrzaskałeś się o auto nadjeżdżające z naprzeciwka, z właściwego kierunku. Pomyślałeś o chlebie panien, chlebie wszystkich panien młodych na całym świecie, *pan de chourar*, chlebie płaczu zamienionym w kamień.

WIELKA RZKA, DZIKA RZKA

Davidowi Carrasco

Córka wysokości, w prostej linii ze śniegów, lody nieba trzymają ją do chrztu, kiedy tryska ze wzgórz San Juan, potem traci niewinność w starciu z górkimi szczytami, rozpoczyna swój szalony młodzieńczy bieg, rzucając wyzwanie kanionom, drążąc żleby i parowy, aby dać upust swym burzliwym wodom, od maja do czerwca traci wysokość, ale zyskuje pustynię, trwoni dojrzałość, rozdając jałmużnę wody to tu, to tam, między osty, swą życiodajną starość przyznaje żyznym, uprawnym ziemiom, a swoją śmierć, wyczerpana, ofiarowuje morzu wielka rzeko, dzika rzeko, czy zawsze, od dnia stworzenia, rosły razem z tobą te potężne i pachnące cedry, których drewno cię wykołysało, czy zawsze zapowiadały twe przybycie płożące się rośliny pustyni, czy zawsze broniły do ciebie dostępu ciernie pało verde i bagnetowate liście juki, czy zawsze perfumowały twoje miłosne przygody kadzidla sosnowych szyszek, czy zawsze eskortowała cię świta białych brzoź i przysrajaly czerwone świerki, czy zawsze kołysały cię oliwkowe fale twoich pastwisk, czyż nie powstrzymywały twej śmierci nerwowe, białopióre puszczyki pielęgniarce, czyż nie zapowiadały jej czarne owoce jałowca, czyż wierzyby nie wyplakały twój requiem, wielka rzeko, dzika rzeko, czyż nie zapomniały o tobie kreozot, kaktus i piołun, tak spragnione twój przejścia, tak namiętnie pragnące twój następnego odrodzenia, że już nie pamiętające o twojej śmierci?

wielopiętrowa rzeka powraca do swoich początków z nadmorskich nizin, ich żyzny półksiężyc okrywa całun trzęsawisk, dolina zarzuca kotwicę między sosną a cyprysem, dopóki nie podniesie jej znowu lot gołębi, zabierając rzekę na sam szczyt urwiska, gdzie ziemia pękła już pierwszego dnia stworzenia pod ręką Boga - teraz Bóg codziennie wyciąga rękę w stronę wielkiej rzeki, dzikiej rzeki, zapraszając ją pod swój balkon i pozwalając, aby baraszkowała na dywanach jego antyszambrów, zanim otworzy przed nią wrota do następnej przystani, o stopień wyżej kierując jej wody, jeśli uda im się przedostać przez ogromne przepaści ku dachom świata, gdzie każda wyżyna posiada swój wierny obłok, towarzyszący jej i odbijający ją niby powietrzne lustro:

ale teraz ziemia wysycha i rzeka nie może na to poradzić nic, prócz wyznaczania palami kierunku sobie i swoim wędrowcom, bo tu wszyscy pogubiliby się,

gdyby nie opiekuńcza obecność gór Guadalupe, przywracających rzekę na swoje łono, wielką rzekę, dziką rzekę, na powrót bezpieczną w swojej pieczarze-karmicielce, skąd nigdy nie powinna była się ruszyć na wygnanie, ku śmierci, ku chłostanemu ślepymi huraganami morzu, które czeka, aby ją znowu wchłonąć...

Benito Ayala

Benito Ayala stoi pośród nocy na brzegu rzeki, w otoczeniu ludzi podobnych do niego. Wszyscy są w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat, wszyscy w takich samych słomianych kapeluszach, wszyscy ubrani w dżinsowe koszule i spodnie, w solidnych butach, odpowiednich do pracy w zimnym klimacie, w różnobarwnych wzorzystych kurtkach.

Wszyscy unoszą ramiona, rozkładają je na podobieństwo krzyża, zaciskają pięści, proponują swoją pracę bez słowa po meksykańskiej stronie rzeki, oczekując, że ktoś ich zauważy, wybawi ich, zwróci na nich uwagę. Wolą narazić się na figurowanie w policyjnych kartotekach niż przestać ogłaszać, pokazywać swoją obecność: jesteśmy tutaj, chcemy pracy.

Wszyscy są podobni, ale Benito Ayala wie, że każdy z nich przekroczy rzekę z innym bagażem wspomnień, niewidzialnym plecakiem, w którym mieści się jedynie jego własna pamięć.

Benito zamyka oczy, żeby zapomnieć o nocy i wyobrazić sobie niebo. Przez jego głowę przebiega wspomnienie pewnego miejsca. To było jego miasteczko, w górach Guanajuato. Niewiele różniące się od innych miasteczek w tym rejonie. Jedna ulica, będąca zarazem drogą. Po obu jej stronach domy, wszystkie parterowe. A w nich sklepiki spożywcze, z artykułami gospodarstwa domowego, bar, apteka. Przy wjeździe - szkoła. Przy wyjeździe - stacja benzynowa, a w niej najbardziej luksusowy w miasteczku wychodek, najlepsze radio, najzimniejsze napoje gazowane. Ale żeby móc skorzystać z wychodka, trzeba przyjechać samochodem. Znano tu miejscowych. I ze śmiechem odsyłano ich za potrzebą do lasu.

Za domami pola warzywne, ogródki, rzeczka. Wszystkie ściany pokryte reklamami piwa, hasłami rządzącej partii PRI, przyszłymi lub przeszłymi ogłoszeniami wyborczymi. Cóż, gdy dobrze się przyjrzeć, jest to mimo wszystko zad-

bane miasteczko, śliczne miasteczko, miasteczko z własną historią i tym, co przeszłość ofiarowuje jego potomkom, żeby mogli budować dostatnie życie.

Ale wcale takiego nie budowali.

Miasteczko Benito Ayali żyje z wysyłania robotników do Stanów Zjednoczonych i z pieniędzy, które robotnicy ślą do miasteczka.

Starcy i dzieci, nieliczni handlarze, nawet władze polityczne, przyzwyczaili się do tego. To przecież główne i niewykluczone, że jedyne, dochody miasteczka. Bo i po co szukać innych? Z przekazanych pieniędzy finansowano szpital, ubezpieczenia społeczne, renty, urlopy macierzyńskie, wszystko.

Z zamkniętymi oczami, stojąc pośród nocy po meksykańskiej stronie rzeki, z rozwartymi jak ramiona krzyża rękami i zaciśniętymi pięściami, Benito Ayala wspomina dawne pokolenia mieszkańców swojego miasteczka.

To jego pradziadek, Fortunato Ayala, był pierwszym, który wyjechał z Meksyku, uciekając przed rewolucją. Ta wojna nigdy się nie skończy - oznajmił pewnego dnia, na krótko przed bitwą pod Celaya, mieście leżącym właśnie w Guanajuato. - Będzie trwała dłużej niż moje życie. Dopóki wszyscy byliśmy zjednoczeni w walce przeciwko tyranowi, jakim był Huerta, mogłem się jeszcze wahać. Ale teraz, kiedy brat będzie zabijał brata, wolę się stąd wynieść.

Wyjechał do Kalifornii i na początek założył restaurację, tylko że jankesom nie bardzo smakowało meksykańskie jedzenie. Widok kurczaka w sosie czekoladowym przyprawiał ich o mdłości. Fortunato zbankrutował. Zaczął szukać pracy w przemyśle, ponieważ mówił, że jeżeli ma zginać grzbiet przy zbiorach pomidorów, to już lepiej wrócić do Guanajuato. Ale gdziekolwiek poszedł, odpowiedź była zawsze taka sama, jak jakiś katechizm:

Wy nie zostaliście stworzeni do pracy w fabryce. Spójrzcie na siebie. Jesteście niscy. Trzymacie się blisko ziemi. Zegnijcie karki, zbierajcie owoce i warzywa. Do tego Bóg was przeznaczył.

Fortunato zbuntował się. Dotarł jakoś (nawet podróżując wagonami towarowymi, w ukryciu, byleby na gapę) do Chicago i nie zważając na zimno, wiatr i nieprzychylność ludzi, znalazł pracę w hucie żelaza. Prawie połowa pracowników odlewni to byli Meksykanie. Nawet nie musiał uczyć się angielskiego. Wysłał do Guanajuato pierwsze pieniądze. W tamtych czasach działała już poczta i koperta z dolarami w środku docierała do celu, którym było miasteczko mu-

nicypalne Purisima del Rincón, i właśnie tam jechała po odbiór przesyłki jego rodzina. Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści dolarów. Prawdziwa fortuna w kraju zniszczonym wojną, gdzie każda frakcja rewolucyjna drukowała własne banknoty, słynne *bilimbiques*.

Fortunato Ayala, zanim wysłał swoje dolary, długo na nie patrzył, pieszcząc je wzrokiem, wyobrażając sobie, że są z atlasu, jedwabiu, a nie z papieru, takie błyszczące i wyprasowane, długo oglądał je pod światło, jakby chcąc się upewnić co do ich prawdziwości a nawet chłonąc ich zielone piękno, z prezydentem George'em Washingtonem z jednej strony i okiem boga Indian plemienia Huicholi z drugiej. Jak święty symbol meksykańskich Indian znalazł się na jednodolarowym jankeskim banknocie? W każdym razie trójkąt z boskim spojrzeniem symbolizował ochronę i zapobiegliwość, choć także nieubłagane przeznaczenie. George Washington na jednodolarówce przypominał babunię w białym bawełnianym czepeczku i ze sztuczną szczęką.

Ale nikt nie ochronił pradziadka, kiedy amerykański kryzys 1930 roku wyrzucił go poza granice Stanów Zjednoczonych, Fortunato został deportowany razem z tysiącami innych Meksykanów. Wyjechał z ciężkim sercem, także dlatego, że w Chicago zostawiał meksykańską dziewczynę w zaawansowanej ciąży, której nigdy nie dał nic więcej prócz miłości. Ona wiedziała, że Fortunato jest żonaty i ma już dzieci - pragnęła tylko nazwiska dla dziecka, Ayala, i Fortunato ofiarował jej to, o co prosiła; nie obyło się przy tym bez odrobiny strachu, ale ostatecznie zgodził się na ten hojny gest.

Wyjechał. Ustanowił w ten sposób pewną tradycję. Miasteczko miało odtąd żyć z przekazów pochodzących stąd robotników, którzy wyemigrowali. Jego syn, Fortunato tak jak on, mógł wyjechać do Kalifornii podczas drugiej wojny całkiem legalnie. Jako niewykwalifikowana siła robocza. Wyjechał zatem legalnie, ale szefowie dawali mu do zrozumienia, że tak czy owak, jego sytuacja wygląda bardzo kiepsko. On znajduje się zaledwie o krok od swego własnego kraju, Meksyku. Łatwo będzie go deportować, kiedy zaczną się źle dziać w Stanach. Jak to dobrze, że nie interesuje go obywatelstwo amerykańskie. Jak to dobrze, że tak bardzo kocha swój kraj i chce jedynie móc do niego wracać.

- Jak to dobrze, że jestem robotnikiem, a nie obywatelem - odparował na to Fortunato syn, i to nie spodobało się jego pracodawcom. - Jak to dobrze, że jestem tani i pewny, prawda?

Później pracodawcy wymienili uwagi na temat zalet meksykańskiego robotnika, który nie przyjmuje obywatelstwa i nie organizuje związków zawodowych ani strajków, tak jak imigranci z Europy. Ale jeśli ten Fortunato Ayala stanie się krnąbrny, trzeba będzie się go pozbyć, ukarać go.

- Wszystkim zaraz woda sodowa uderza do głowy - rzucił jeden z pracodawców.

- Wszyscy oni wcześniej czy później dowiadują się o swoich prawach - rzekł inny.

Dlatego kiedy skończyła się wojna, a wraz z nią zapotrzebowanie na najemną siłę roboczą, młody wnuk Fortunata ojca i syn Fortunata syna zastał granicę zamkniętą. Meksykanie już nie byli Stanom potrzebni. Ale miasteczko w pobliżu Purisima del Rincón przyzwyczało się do życia z przekazów. Wszyscy, cała jego młodzież, porzucali miasteczko, żeby szukać pracy na północy. Jeżeli by tego nie robili, miasteczko umarłoby, tak jak umiera dziecko porzucone w lesie przez swoich rodziców. Warto było zaryzykować wszystko. Mężczyźni, chłopcy. Najsilniejsi, najsprytniejsi, najodważniejsi. Oni odchodzili. Dzieci, kobiety, starcy zostawali. Wszyscy zależeli od robotników.

- Tutaj widać, że się żyje, bo są ludzie, którzy odchodzą. Niech nikt nie mówi, że tu się umiera, bo nikt nie odchodzi.

Salvador Ayala, ojciec Benita, syn i wnuk obu Fortunatów, został „mokrym grzbietem”, nielegalnym pracownikiem, przepływającym przez rzekę i dającym się złapać z drugiej strony przez patrol graniczny. Ryzykowali. On i cała reszta. Warto było zaryzykować. Jeżeli teksańscy rolnicy potrzebowali siły roboczej, mokry grzbiet był jedynie odstawiany z powrotem na meksykańską stronę. Już suchego natychmiast brał pod opiekę jeden z pracodawców po stronie teksańskiej. Ale co roku powtarzała się ta niepewność. Czy tym razem uda mi się wyjechać, czy nie? Czy tym razem będę mógł wysłać sto, dwieście dolarów do miasteczka?

Wieści krążyły po Purisima del Rincón. Od rynku do kościoła, od zakrystii do kantyny, od rzeczki do pól pełnych kaktusów i chwastów, od stacji benzynowej do zakładu krawieckiego, wszyscy wiedzieli, że w czasie zbiorów prawo nie istnieje. Tamci otrzymują rozkaz, żeby nikogo nie deportować. Możemy iść. Możemy przejść na drugą stronę. Policja nawet nie podchodzi pod opiekuńcze teksańskie rancza, choćby nawet wiedziała, że wszyscy pracują tam nielegalnie.

Nie przejmuj się. To nie zależy od nas. Kiedy jesteśmy im potrzebni, pozwalają nam przejść na drugą stronę, czy jest to zgodne z prawem, czy nie. Kiedy nie jesteśmy im potrzebni, przepędzają nas kopniakami, czy jest to zgodne z prawem, czy nie.

Nikomu nie poszło gorzej niż Salvadorowi Ayali, ojcu Benita i wnukowi pierwszego z Fortunatów. Jego dotknęły najgorsze represje, wydalenia i operacje czyszczenia granicy. To on stał się ofiarą brutalnego kaprysu. Pracodawca decydował, kiedy traktować go jak pracownika kontraktowego, a kiedy jak bandytę, którego należy oddać do dyspozycji Urzędowi Imigracyjnemu. Salvador Ayala nie mógł się bronić. Jeżeli się bronił, twierdząc, że pracodawca zaoferował mu pracę nielegalnie, skazywał się sam, nie mając przy tym żadnych dowodów przeciwko tamtemu. Pracodawca posiadał fałszywe dokumenty, wedle których Salvador był legalnym pracownikiem, kiedy zachodziła taka potrzeba, ale mógł owych dokumentów nie okazać i deportować Salvadora, kiedy już mu na nim nie zależało.

Teraz nadszedł najgorszy czas. Benito, wnuk drugiego z Fortunatów i syn Salvadora, pochodzący w prostej linii od prekursora tego eksodusu, Fortunata pierwszego, wiedział, że każdy czas jest trudny, ale ten był trudniejszy niż inne. Bo w dalszym ciągu istniało zapotrzebowanie na pracę. Ale istniała także nienawiść.

Czy ciebie też tak nienawidzono? - zapytał Benito swojego ojca Salvadora.

Tak jak ciebie będą nienawidzić, nie.

Nie znał powodów tej nienawiści, ale wyczuwał je. Stojąc po meksykańskiej stronie Rio Bravo, czuł strach tutejszych i nienawiść tamtych z drugiego brzegu. Ale mimo wszystko gotów był przejść. Pomyślał o tych wszystkich, którzy zależeli od niego w Purisima del Rincón.

Rozwarł, jak tylko mógł najszerzej ramiona, rozkrzyżował je, zaciskając pięści, pokazując całe swe ciało, gotowe do pracy, prosząc o trochę litości i współczucia. Sam nie wiedział, czy zaciska pięści z gniewu, agresji, czy tylko z rezygnacji i zniechęcenia.

to nigdy nie była ziemia, na której człowiek nie istniał: od trzydziestu tysięcy lat ludy podążają z biegiem wielkiej rzeki, dzikiej rzeki, idą z północy, emi-

grują na południe, w poszukiwaniu nowych terenów łowieckich, po drodze odkrywają Amerykę, i nęci i odpycha je ten nowy świat, nie spoczywają, dopóki nie przemierzają go całego, żeby dowiedzieć się, czy to kraina przyjazna, czy wroga, aż docierają do przeciwległego bieguna ziemi, co miała pępowinę z miedzi, ziemi, co będzie nosiła imię ze srebra, do wszystkich ziem o największej migracji w dziejach ludzkości, od Alaski po Patagonię, ziem ochrzczonych przez migrację; odkrywają Amerykę oswojoną, przez loty i obrazy, metafory i metamorfozy, które czynią wędrówkę lżejszą, ocalają ludy od zmęczenia, przygnębienia, oddalenia, czasu, wieków potrzebnych na przebycie kontynentu od bieguna do bieguna;

nie zdradzę ich imion, znają je tylko ci, co umieją słuchać głosu ciszy,

nie opowiem o ich bohaterskich czynach, opiewają je tylko zakurzone gwiazdy ze szlaku,

nie przypomnę ich cierpień, krzyczy o nich huragan ptaków, nie nazwę ich kalendarzy, wszystkie są już rzeką popiołów; ale kiedyś ludy zmęczyły się tą ciągłą wędrówką, spuściły psy, które zdziczały, zbierając się w groźne watahy, a podróżnicy osiedli, zdecydowali, że środek świata będzie właśnie tutaj, gdzie stoją ich stopy w tej chwili, w samym środku świata, w krainie wielkiej rzeki, dzikiej rzeki:

świat wytrysnął kiedyś z niewidzialnych źródeł wodnych pustyni: podziemne rzeki, mówią Indianie, są muzyką Boga; dzięki nim rośnie kukurydza, fasola, dynia i bawełna, i zawsze kiedy jakaś roślina dojrzeje i daje owoce, Indianin zmienia się, Indianin staje się gwiazdą, zapomnieniem, ptakiem, ostem, falą, błoną, strzałą, kadzidłem, deszczem, zapachem deszczu, ziemią, drzeniem ziemi, zgaszonym ogniem, świstem pośród gór, skradzionym pocałunkiem, wszystkim tym staje się Indianin, a kiedy ziarno umiera, staje się dzieckiem i praojcem dziecka, pamięcią, wyciem, skorpionem, ptakiem urubu, chmurą i stołem, stłuczonym naczyniem narodzin, karzącą tuniką śmierci, staje się maską, drabiną, gryzoniem, staje się koniem, staje się strzelbą, staje się biały;

Indianin śni i jego sen zamienia się w przepowiednię, wszystkie sny Indian stają się rzeczywistością, ucieleśniają się, przyznają im rację, napętniają ich przerażeniem, i dlatego Indianie są tacy podejrzliwi, aroganccy, zazdrośni, dumni, ale także boją się poznać przyszłość, podejrzewają bowiem, że stanie się rzeczywistością to, co powinno być tylko sennym koszmarem: biały człowiek, koń, strzelba;

ay, ustał już wszelki ruch, czas wielkich migracji skończył się, trawa porasta wędrownie szlaki, góry dzielą siedliska ludów, języki przestały się rozumieć, ludzie zdecydowali, że nie ruszą się już z jednego miejsca od narodzin aż do śmierci, będą tkąć całun uczciwości, obowiązków, wartości, żeby się ochronić;

aż zaczęła płonąć rzeka i ziemia drgnęła po raz kolejny

Dan Polonsky

Chudy i blady, ale muskularny i zwinny, Dan Polonsky chełpił się, że mimo iż mieszka na granicy, nigdy nie wystawia się na promienie słońca. Miał bladą cerę swoich europejskich przodków, imigrantów, którzy zostali źle przyjęci, byli dyskryminowani, traktowani jak śmieci. Dan pamiętał skargi swoich dziadków. Brutalną dyskryminację, której byli przedmiotem, ponieważ mówili inaczej, jedli inaczej, wyglądali inaczej. Pachnieli inaczej. Anglosasi zatykali sobie nosy, kiedy przechodzili ci starcy (choć bowiem byli młodzi, wyglądali jak starcy, zarośnięci, ubrani na czarno), woniejący cebulą i kiszoną kapustą. Ale oni byli uparci, zasymilowali się, stali się obywatelami. Nikt nie potrafił bronić swojej ojczyzny lepiej niż oni, pomyślał Dan, patrząc z amerykańskiej na meksykańską stronę rzeki.

- Widziałeś już „Air Force”? - pytał go jego dziadek, Adam Polonsky; ponieważ Dan był zbyt młody, żeby pamiętać filmy z czasów drugiej wojny światowej, stary podarował mu kasetę wideo, by sam zobaczył, iż siły powietrzne składały się z bohaterów o różnym pochodzeniu etnicznym, nie tylko z Anglosasów, ale także z potomków Polaków, Włochów, Żydów, Rosjan, Irlandczyków. Nigdy z Japończyków, ci oczywiście byli wrogami. Ale także nigdy z Latynosów, Meksykanów. Może z paru Murzynów, mówią, że czarni też brali udział w wojnie. Ale Meksykanie nie, nigdy. Nie byli obywatelami. Byli tchórzami, wysysali krew z USA i pędem wracali do siebie, żeby utrzymywać swoich leniwych rodaków...

- - Widziałeś już „Air Force”? Johna Garfielda? Naprawdę nazywał się Julius Garfinkle. Chłopak z getta, i jak ty, syn imigrantów, drogi chłopcze.

Oddawali życie w dwóch wojnach światowych, a także w Korei i w Wietnamie. Dorównywali ofiarnością pokoleniom Anglosasów z zeszłego stulecia, zdobywcom Dzikiego Zachodu. Dlaczego nikt tego nie mówi? Dlaczego w dal-

szym ciągu ludzie wstydzą się swojej imigracyjnej przeszłości? Dan był dumny, kiedy patrzył na mapę i widział, że Stany Zjednoczone nabyły więcej terenów niż jakiegokolwiek inne mocarstwo w minionym wieku. Luizja- na. Floryda. Po- łowa Meksyku. Alaska. Kuba. Portoryko. Filipiny. Hawaje. Kanał Panamski. Rząd wysepek na Pacyfiku. Wyspy Dziewicze... Ach, Wyspy Dziewicze! Tam chciałby pojechać na wakacje. Dla samej nazwy, tak uwodzicielskiej, tak sexy, tak nieprawdopodobnej. I dla samego wyzwania. Pojechać na wakacje na Kara- iby i nie opalić się ani trochę w tamtym słońcu. Wrócić równie biały jak jego dziadkowie z Pomorza. Zwyciężyć kolor. Nie pozwolić zabarwić się niczym, ani poprzez kontakt z czarnymi, ani z Meksykanami, ani ze słońcem.

Poprosił o służbę w nocy z tego właśnie sekretnego powodu, o którym ni- komu nawet nie wspomniał, bo bał się wyjść na głupka. Istniał kult opalanej skóry. Ba, mężczyzna o skórze tak białej wyglądał nawet podejrzenie. „Jesteś chory?” - zapytał go inny oficer, a on nie dał mu po pysku tylko dlatego, że znał konsekwencje takiego czynu. Dan Po- lonsky nie chciał za nic w świecie stracić pracy, dawała mu zbyt dużo satysfakcji. Od chwili gdy zaczęto stosować no- woczesną technikę do wykrywania nocnych przepraw nielegalnych imigrantów przez Rio Grande, Dan poprosił o przyjęcie, i został przyjęty w szeregi brygad, które oglądają mroczny świat przez specjalne okulary i noktowizory, pozwala- jące widzieć w ciemnościach ludzkie ciała, tak jakby fosforyzowały... Niedobre było to, że aż tylu strażników patroli pogranicznych, chociaż oczywiście Tek- sańczyków, miało rodowód meksykański, i czasami Polonsky mylił się, wykry- wał za pomocą swoich czerwonych gogli małego śniadego człowieczka, a potem okazywało się, że ten legitymował się dokumentami strażnika służby granicznej, chociaż miał twarz niewykwalifikowanego robota... Dobrze natomiast było to, że tych teksańsko-meksykańskich strażników łatwo było szantażować, wykorzy- stywać ich podwójną, rozdwojoną wierność, polecić im, żeby wykazali, iż są dobrymi Amerykanami, a nie tylko przebranymi za nich Meksykanami, no dalej, już... Polonsky śmiał się z nich. Wyglądali naprawdę żałośnie, bawił się nimi, traktował ich jak myszy doświadczalne.

Co mu jednak przeszkadzało, to dziwna zasada upierania się przy faktie, że Stany Zjednoczone są zawsze moralne i uczciwe. Dlaczego politycy i dziennika- rze udają, że nie kierują się nigdy osobistymi ambicjami czy interesami, że są nieodmiennie moralni, uczciwi i dobrzy? Denerwowało to Dana Polonskiego. Wszyscy przecież mają jakieś interesy, jakieś ambicje, jakąś złość. Wszyscy, którzy chcą coś osiągnąć. Obserwował uważnie przez swoje nocne okulary, roz-

jaśniające mroki, wyschnięty i nieprzyjazny nadrzeczny pejzaż, nie potrzebował słońca, upajał się tym czerwonym krajobrazem niby kieliszkiem clama- to zmieszanego z wódką. Według Dana, Stany Zjednoczone uratowały świat od wszelkiego zła dwudziestego wieku, Hitlera, kajzera, Stalina, komunistów, Japończyków, Chińczyków, Wietnamczyków, Ho Szi Mina, Castro, Arabów, Husajna, Noriegi...

Lista wrogów wyczerpała się, a on pozostał sam na sam ze swoim problemem, najważniejszym i wciąż nieuregulowanym. Trzeba ratować południową granicę. To właśnie tędy wdziera się teraz wróg. To tutaj broni się dziś ojczyzny, jak w Pearl Harbor albo na plażach Normandii, tak samo.

Byli tam, nieprzyzwoicie prowokujący, zgrupowani po meksykańskiej stronie, ukazujący rozkrzyżowane ramiona i zaciśnięte pięści, jakby mówili tym z drugiego brzegu: potrzebujecie nas. Przychodzimy na granicę, ponieważ bez nas wasze uprawy zgniją, nie będzie miał ich kto zebrać, nie starczy ludzi do pracy w szpitalach, do opieki nad dziećmi, do restauracji, jeżeli nie ofiarujemy wam naszych ramion. To było wyzwanie. A żona Dana drwiła, nie owijając sprawy w bawełnę:

- Słuchaj, potrzebuję niańki do dziecka. Nie mów mi, że doniesiesz na Josefinę. Nie bądź taki uparty. Im więcej ludzi z tamtej strony będzie pracowało, tym pewniejsze jest, że nie stracisz pracy, *buster...* to znaczy, *darling*.

Kiedy Selma stawiała się nie do wytrzymania, Dan organizował sobie podróż do stolicy stanu, Austin, żeby zabiegać o więcej funduszy i wpływów dla patrolu granicznego, którego był członkiem. Chciał przekonać władze: jeżeli nie dacie nam pieniędzy, nie będziemy mogli bronić ojczyzny przed niewidzialną inwazją Meksykanów. Wyregulował ostrość w swoim noktowizorze. Byli tam. Niezdolni nawet do zdjęcia kapeluszy z głów, jak gdyby i w nocy świeciło dla nich słońce. Poczul wściekłą chęć oddania moczu. Rozpiął rozporek i spojrzał w dół. Jego mocz we fluorescencyjnym świetle także był jasny, bezbarwny, jak strumień wytrawnego chablis. Nie podobało mu się, że winogrona dojrzewają i robią się twarde w promieniach słońca. Ale pocieszył się myślą, że robotnicy najemni zbierają je w Kalifornii.

Próbował skorygować jakoś tę swoją wewnętrzną sprzeczność. Nie był człowiekiem lubiącym sprzeczności. Nienawidził ludzi bez dokumentów. Ale także uwielbiał ich i potrzebował. Bez nich, cholerny świat, nie byłoby forsy z budżetu na helikoptery, radary, potężne reflektory na podczerwień, bazooki, pi-

stolety... Chodźcie, zachęcił, usiłując strząsnąć z fiuta ostatnie blade kropelki, niech was tu przyjdą miliony, poprosił, żeby nadać sens mojemu życiu. Musimy w dalszym ciągu być niewinnymi ofiarami, orzekł, przekonawszy się, że choćby nie wiadomo jak (Hugo potrząsał fiutem, ostatnia kropla i tak zmoczy mu majtki firmy Jockey.

pojawiły się koń, prosiak, bydło, owce, pojawiły się stał i proch,

pojawiły się ogary, pojawił się strach,

pojawiła się śmierć: pięćdziesiąt cztery miliony mężczyzn i kobiet mieszkało na tym ogromnym kontynencie migracji, od Yukonu do Ziemi Ognistej, i cztery miliony na północ od wielkiej rzeki, dzikiej rzeki, kiedy pojawili się Hiszpanie;

pięćdziesiąt lat później mieszkało ich tylko cztery miliony na całym kontynencie i ziemie rzeki stały się prawie tym, czym - jak miano później o nich mówić- były zawsze: ziemią, na której człowiek nigdy nie istniał

albo prawie przestał istnieć, zdziesiątkowany ospą, odrą, tyfusem,

i z której ci, co przeżyli, musieli odejść na wyżyny, szukając schronienia i woli walki;

gdzie Francisco Vazquez de Coronado przybył pewnego pięknego dnia wraz z trzystoma Hiszpanami (wliczając w to trzy kobiety - dziwna proporcja), z sześcioma franciszkanami, z półtora tysiącem koni i tysiącem sprzymierzonych Indian, zabranych z ziem Coahuila i Chihuahua, w poszukiwaniu miast ze złota, drogi do baśniowego Orientu, powtórzenia Meksyku i Peru;

nie znaleźli nic, tylko śmierć, która ich poprzedzała, ale zostawili owce, kury, kury i osły, śliwki, czereśnie, arbuzy, winogrona, brzoskwinie oraz zboże, rozrzucone niczym hiszpańskie słowa, z tą samą hojnością, z tą samą płodnością po obu stronach wielkiej rzeki, dzikiej rzeki.

Margarita Barroso

Przechodziła codziennie przez granicę, z El Paso do Ciudad Juarez, żeby kontrolować składanie telewizorów w jednej z montażowni. Czasami chciała porozmawiać o czymś innym, ale praca całkiem wysysała z niej mózg, jak mawiała jej babcia Kamelia, i Margarita postanowiła już dawno, że jej jedynym

ratunkiem będzie praca, w pracy odnajdowała swoją godność, swoją osobowość, szacunek dla samej siebie i wymagała szacunku od innych, wypracowała sobie twardy, nieprzejeđnany charakter, pewnie, że były tutaj sympatyczne dziewczyny, łagodne, nawet sentymentalne, a także poważne, fachowe siły, ale wystarczyła jedna postrzelona - a zawsze było ich więcej niż jedna - żeby zepsuć wszystko i zmusić brygadzystkę do użycia swojej ciężkiej ręki, skrzywienia się, rzucenia nieprzyjemnej uwagi...

Teraz, w nocy, wracała. Był piątek i wszystkie zawsze szły się gdzieś zabawić, Margarity nie mogło zabraknąć, było to jej jedyne ustępstwo na rzecz relaksu, no dobra, nawet rozluźnienia obyczajów, nie będzie taka sztywna i pójdzie z dziewczynami w piątek na dyskotekę, i tak tam zmiesza się z tłumem, kobietom pozwalano trochę pofantazjować, jeżeli chodzi o ciuchy, widywało się najróżniejsze gusta... Rosa Lupe z tą swoją manią składania ślubów i ubierania się a la karmelitanka; Marina, ta oddałaby życie, żeby zobaczyć morze, co za głuptas, tak jakby, kiedy już raz się tu wdepnie, nie mogło się im przydarzyć nic dobrego, jakby nie było na to żadnej nadziei; Candelaria, która uważa, że jest drugą Fridą Kahlo lub kimś w tym rodzaju, najpiękniejsza z całej wsi, no i ta, co to już nie tańczy, Dinorah, nosi żałobę po swoim synku, chłopiec się udusił, bo nie miała faceta, który by się dzieciakiem opiekował, a kto jej kazał samej wychowywać szczeniaka, idiotce, i to jeszcze w tej dziurze, jaką jest Buenavista; lepiej już co dzień chodzić przez rzekę, mieszkać gdzieś na obrzeżach El Paso, chociażby w murzyńskiej dzielnicy, ale zasymilować się, niech inni czują, że jest zasymilowana. Ona nie chciała wyglądać jak *mexicana*, *pocha* czy *chicana*, ona była *gringa*, mieszkała w El Paso, nazywano ją Margarita w Chihuahua, ale w Teksasie Margie, już w szkole przekonywano ją, słuchaj, ty jesteś biała, nie pozwól, żeby zwracano się do ciebie per Margarita, niech cię nazywają Margie, i uchodź za białą, nikt się nawet nie dowie - nie mów po hiszpańsku, nie pozwól, żeby cię traktowano, jakbyś była *mexicana*, *pocha* lub *chicana*.

- Jak cię traktuje twoja rodzina?

- Oni są niemożliwi. Nie mogę mieć żadnego chłopaka, żeby mama zaraz nie zameęczała mnie pytaniami: czy aby jest z dobrej rodziny? Czy aby jest z dobrej rodziny? Mam ochotę puścić się z jakimś Murzynem, dopiero by im oko zbiełało.

- Nie bądź głupia. Znajdź sobie jakiegoś blondasa. Nie przyznawaj się, że jesteś Meksykanką.

Zbuntowała się. Uparła się, że musi dyrygować zespołem defilujących dziewcząt ze szkoły średniej. Powiedziała rodzicom, że będzie występowała w szkolnym zespole muzycznym, który ma grać podczas meczów futbolowych. Ale kiedy zobaczyli, jak w środku jesieni paraduje z gołymi nogami, w krótkich spodenkach, wystawiając uda na pokaz, ba, żeby tylko uda, pokazując wszystkim pośladki, części służące do siedzenia, jak mawiała babcia Kamelia, która nigdy nie wymówiła słowa „pośladki”, demonstrując to wszystko i wywijając pałką, jak gdyby to był symboliczny fallus, wiedzieli już, że ją stracili, odeszła z domu, uprzedzali ją, mówili, że żaden przyzwoity chłopak nie zechce się nigdy z nią ożenić, że pokazuje publicznie tyłek, dziwka, ale ona nie miała ani czasu, ani głowy do chłopaków, ona chodziła jedynie w piątki do „Excalibura”, żeby pokręcić się przy meksykańskich rytmach z mężczyznami wyglądającymi zawsze tak samo, wszyscy tańczyli w białych kapeluszach, wszyscy byli farmerami, bogatymi albo biednymi, któż to wie, bo wszyscy wyglądali identycznie, albo z długowłosymi alfonsami, noszącymi przepaski z chust na głowach i kamizelki z frędzlami, facetami ze świata przestępczego, o nieokreślonej tożsamości, zwanymi tu *pachucos*, nie traktowała ich jednak poważnie - służyło to tylko odwraniu się od rzeczywistości, zamroczeniu, żeby nie pamiętać o dziadku, któremu się nie powiodło i który siedział unieruchomiony w wózku inwalidzkim, o łagodnej babci Kamelii, która nigdy nie wymówiła słowa „pośladki”, o swoich rodzicach, którzy gdzieś tam byli zajęci własnymi sprawami, ojciec jako sprzedawca u Woolwortha, matka w innej montażowni, o bracie, który przygotowywał *burritos* w „Taco Bell”, i o wuju, potężnym, przebogatym self-made manie, niewierzącym w rodzinną filantropię: mam utrzymywać to stado obiboków, niech pracują jak ja, niech się dorobią swojej fortuny, nie mają rąk czy co, pieniądź smakuje tylko wtedy, jeżeli się go zarobi samemu, a nie dostanie w podarunku, albo jak mówią jankesi: lunch nie jest za darmo - ona, Margarita Margie, ma ambicje, jest zdyscyplinowana, i co jej z tego przyszło, utknęła tu, na granicy, próbując przedrzeć się przez tę gównianą manifestację, która wszystko przerwała, pragnie czym prędzej uciec z Meksyku każdego wieczoru, zmęczona przechodzeniem do Ciudad Juarez każdego ranka, pomiędzy stalowymi rusztowaniami, cmentarzyskiem drapaczy chmur, budów, rozpoczętych i porzuconych z powodu pecha, który prześladowuje Meksyk - skończyła się forsa, przyszedł kryzys, wsadzili do ciupy przedsiębiorcę, urzędnika państwowego, samego burmistrza, ale i tak nie kończy się korupcja, pieprzony kraj, pierdolony kraj, zrozpaczony kraj jak mysz przywiązana do młyńskiego koła, robiąca sobie nadzieje, że jest w stanie iść naprzód, ale nigdy nie rusza się z miejsca, no ale trudno, to tu

jest robota, a na swojej robocie znała się jak mało kto, miała w jednym palcu cały proces seryjnej produkcji telewizorów, od montażu płyty głównej poprzez lutowanie, automatykę, obudowę i kineskop, aż do sprawdzania małym przyrządem, czy wszystkie części działają sprawnie i o ile wszystkie noworodki są zdrowe, jak mawiał żartem zastępca dyrektora, Włoch, marsz do strojenia obwodów, które ma odizolować telewizor od zewnętrznego pola magnetycznego; uzyskujemy dzięki temu odbiornik całkowicie wolny od wszelkiego rodzaju zakłóceń. No i jak, rzucała niby to od niechcienia swoim partnerom w tańcu, a ci aż mylili krok, bo wiedziała więcej od nich, i nie chcieli więcej tańczyć, zostawiali ją w spokoju, a ona mówiła im o testach, folii plastikowej, pakowaniu odbiornika w styropian i na sam koniec w kartonowe pudło, trumnę każdego telewizora przygotowanego do wywiezienia do sklepu RTV, cały proces trwa dwie godziny, jedenaście tysięcy odbiorników dziennie. Co? Ależ z ciebie oblatana babka! A jeżeli jesteś po to, aby się upewnić, że każdy etap produkcji przebiega prawidłowo, i naklejasz zielone gwiazdki na odbiorniki z wadami i niebieskie gwiazdki na te, które nie mają żadnych usterek, no to zasługujesz na jedną wielką złotą gwiazdę na czole, na samym środku czoła, tak jak grzeczne dziewczynki w szkołach zakonnych, jak majoretki wywijające buławą i maszerujące w krótkich spodenkach, przebierające się w paradne stroje pułkowników, żeby kroczyć na czele defilad i żeby chłopcy na nią gwizdali, nazywali ją Margie i mówili: ona nie jest *pocha*, nie jest *chicana*, nie jest *mexicana*, jest taka jak ty i ja...

rozbitek, zwyciężony, wygłodniały i spragniony, w łachmanach,

od kogóż, jeżeli nie od niego mógłby pochodzić ten nie mogący się ziścić sen o bogactwie rzeki, rajskim bogactwie, o złotych jabłkach w zasięgu ręki i o grzechu - któż jeżeli nie rozbitek w malignie mógłby uczynić wiarygodnym podobne złudzenie, jak to znad wielkiej rzeki, dzikiej rzeki?

Alvar Nunez Cabeza de Vaca z Estremadury, uciekinier od bezsennego kamienia, jak większość konkwistadorów (Cortes z Medellin, Pizarro i Orellana z Trujillo, Balboa z Jerez de los Caballeros, De Soto z Barcarrota, Valdivia z Villanueva de la Serena, mężczyźni z granicy, mężczyźni zza Due-ro), także chciał przemienić kamień Estremadury w złoto Ameryki, wyruszył więc w roku 1528 statkiem z Sanlucar w stronę Florydy wraz czterystuosobową załogą, z której po katastrofie w zatoce Tampa pozostało czterdziestu dziewięciu mężczyzn;

brnąc przez bagna, wlokąc się brzegiem zatoki aż do Missisipi, budując prymitywne łodzie, aby z powrotem wypłynąć w morze, w tłoku tak wielkim, że nie mogli się ruszyć, tym razem także zaskoczeni przez sztorm, z którego tylko trzydziestu uszło z życiem, wyrzuceni na ląd w Galveston, maszerowali na zachód, aż do wielkiej rzeki, dzikiej rzeki, opędzając się od indiańskich strzał, jedząc swoje konie, a z ich skór szyjąc buklaki na wodę, aż do ziem zamieszkanym przez Indian, na północ od rzeki,

ale odległości, nieznajomość kraju i jego mieszkańców są niczym wobec głodu, pragnienia, opuszczenia, nocy bez dachu nad głową, dni bez cienia, ciała coraz bardziej obnażonych, coraz bardziej ogorzałych, tak że wreszcie piętnastu pozostałych przy życiu Hiszpanów nie różni się już od tubylców, Alabamów i Apaczów - tylko czarny służący, Estebani- co, jest ciemniejszy niż wszyscy inni, ale jego sny są świetlane, złoczone, to on widzi w oddali złote miasta, podczas gdy Alvar Nunez Cabeza de Vaca tylko przegląda się w lustrze pamięci i tam stara się odnaleźć swoje odbicie jako szlachcica, którym był, hiszpańskiego rycerza, którym już nie jest, jedynym zwierciadlanym odbiciem jego samego są napotykanie Indianie, stał się taki sam jak oni, ale traci szansę zostania jednym z nich, jest całkiem taki jak oni, lecz nie rozumie, że ma okazję stać się jedynym Hiszpanem, który mógłby zrozumieć Indian i zostać tłumaczem ich dusz na hiszpański - Cabeza de Vaca nie może pojąć opowieści wiatru, kroniki wędrówek bez końca, która prowadzi Indianina od wyczerpującego polowania na łąkach do wigwamu rozbitego na śniegu; od opalonego i obnażonego ciała w lecie do opatulonego w koce i skóry ciała w zimie,

on nie chce być królem tego świata, życie nomady pociąga go, ale wyrzeka się go, bo tutaj nikt nie przemieszcza się dla konkwisty, tylko po to, żeby przeżyć,

on nie rozumie Indian, Indianie nie rozumieją jego - widzą w Hiszpanach szamanów, znachorów, czarowników, i Cabeza de Vaca godzi się na jedyną rolę, którą mu powierzają, staje się okazjonalnym czarownikiem, lecz za pomocą pijawek, dmuchania, nakładania rąk, modlitw i znaków krzyża, ale w rzeczywistości z przerażeniem walczy przeciwko utracie, kawałek po kawałku, swojej skóry i odzienia, skrywających jego europejską duszę, jej się kurczowo trzyma, nie słucha swojego rozsądnego głosu wewnętrznego: Bóg przyprowadził nas nagich, abyśmy poznali ludzi takich samych jak my w swojej nagości...

co to za Bóg? Cabeza de Vaca widzi Go, jak krąży po korytarzach i sypialniach domów w miasteczkach, widzi jakiegoś Boga, którego nie rozpoznaje, jak

ucieka z piętra na piętro po drabinie, którą w nocy zabiera, żeby odizolować się od księżyca, śmierci, nieproszonego gościa...

osiem lat poniewierki, nieplanowanego życia nomady, aż wreszcie odnajdują busolę wielkiej rzeki, dzikiej rzeki, i wychodzą na drogę do Chihuahua, do Sinaloa, na brzeg Oceanu Spokojnego i dalej, ku środkowi lądu, do miasta Meksyk, gdzie są witani jako bohaterowie przez wicekróla Mendozę i konkwistadora Cortesa;

z czterystu mężczyzn, którzy wypłynęli z Sanlucar na Florydę, pozostało przy życiu tylko czterech: Cabeza de Vaca, Andres Dorantes, Alonso del Castillo Maldonado i czarny służący Estebanico;

goszczą ich z największymi honorami, pytają, gdzie byli, co widzieli, czego się dowiedzieli, co obiecują;

Cabeza de Vaca, dwóch pozostałych Hiszpanów i Murzyn nie opowiadają tego, co widzieli, tylko to, o czym śnili, zostali uratowani po to, żeby opowiadać o złudzeniu, jak to dostali turkusy i wspaniałe skóry zdarte z grzbietów przedziwnych szarych krów, pasących się na tamtejszych łąkach, bizonów,

jak to dostrzegli siedem złotych miast Cibola, zdobyli wiadomości o niezliczonych bogactwach Quivira, rozslawiają mit Eldorado, drugiego Meksyku, drugiego Peru, dalej niż sięga wielka rzeka, dzika rzeka,

opowiadają nieśmiertelny sen o bogactwie, potędze, złocie, szczęściu, rekompensujący wszystkie cierpienia, pragnienie, głód, katastrofy na morzu i ataki Indian; przeżyli, żeby kłamać;

śmierć pojednałaby ich z prawdą o ziemiach pustych, marnych, nieprzyjaznych, bezludnych,

życie ofiarowało im niezmierzone bogactwo kłamstwa, mogą oszukiwać, kogo tylko chcą, bo przeżyli - wielka rzeka, dzika rzeka, od tamtej chwili - granica miraży.

Serafin Romero

Elegant, mówili o nim od małego z powodu jego czarnych, błyszczących, jakby lakierowanych, włosów i długich rzęs, ale on mówił o sobie Dupek, bo też

zawsze tak się czuł, wzrastając pośród gór śmieci w Chalco, zajmując się od dziecka grzebaniem w bezkształtnej masie zepsutego mięsa, zwymiotowanej fasoli, szmat, martwych kotów, skrawków nierozpoznawalnej egzystencji, wdzięczny losowi, kiedy coś zachowało swoją formę - jakaś butelka, jakiś kondom - i mogło być zanesione do domu. Chmura kwaśnego odoru towarzyszyła Serafinowi od dziecka i kiedy się z niej wydobywał, czuł zapach tak słodki, tak czysty, że prawie dostawał mdłości, czuł nawet lekkie obrzydzenie; jego ojczyzną były zabłocone ulice, kałuże, kulejące dzieci, niezdolne do chodzenia prosto, bezpańskie psy, rozmnażające się, afirmujące swoje życie, mówiące nam szczekaniem, że wszystko można przeżyć, można przeżyć, mimo handlarzy wciągających w narkotyki ośmioletnie dzieci, mimo stosującej wymuszenia policji, która zabija w nocy, a później pojawia się za dnia, aby policzyć trupy i dopisać je do gigantycznej listy miejskiej śmierci, pokonywanej zawsze przez płodność suk, szczurów, matek - wszystko można przeżyć, dlatego że rząd i partia same czynnie popierają korupcję, pozwalają jej rozkwitnąć, a później starają się ją zorganizować w takie formy, żeby była najlepszym wyjściem i żeby wszyscy zaakceptowali hasło: albo PRI, albo anarchia, co wolicie? Tak więc kiedy tylko Serafinowi wyrosły włosy pod pachami, wiedział już wszystko na temat zła miasta, już nikt nie mógł mu nic nowego pokazać, kwestią było jedynie, żeby przeżyć, ale jak tu naprawdę przeżyć, podporządkowując się przywódcom śmieciarzy, głosując na PRI, uczestnicząc w mityngach, obserwując, jak bogacą się królowie śmieci, niech to szlag, a może trzeba mówić „nie” i przyłączyć się do rockmanów, tylko oni mają odwagę olewać wszystko naokoło, stworzyć w Dystrykcie Federalnym podziemną sieć zbuntowanych chłopaków, albo mówić jeszcze odważniej „nie”, nie głosując na PRI i narażając się, tak jak on i jego rodzina, na szukanie schronienia w niewykończonym budynku szkolnym, wspólnie z tysiącem innych, wspierających się nawzajem, bo ich domostwa zostały zburzone przez policję, a ich nędzny dobytek przez nią rozkradzony, wszystko dlatego, że odważyli się powiedzieć: będziemy głosować, jak nam się zechce.

W wieku dwudziestu lat Serafin Romero ruszył na północ, powiedział do swoich, chodźcie stąd, na ten kraj nie ma lekarstwa, PRI to wystarczający powód, żeby odejść z Meksyku, ja wam przyrzekam, że znajdę sposób, żeby wam pomóc, kiedy będę już na północy, mam krewnych w Ciudad Juarez, czekajcie na wiadomość ode mnie, chłopaki...

Tej nocy, nocy rozkrzyżowanych ramion i zaciśniętych pięści, Serafin, w wieku dwudziestu sześciu lat, nie oczekuje już nic od nikogo, dwa lata temu

zorganizował bandę, która każdej nocy przekracza granicę z trzydziestką uzbrojonych Meksykanów, znosi i ustawia w stosy na szynach linii kolejowej Southern Pacific drewniane skrzynie, wraki silników, dachówki i wnętrza telewizorów, porzucone w stanie Nowy Meksyk, przekłada zwrotnice na trasach, zatrzymuje pociągi, kradnie wszystko, co się da później sprzedać w Meksyku, i zapełnia wagony Meksykanami bez dokumentów. Ileż to już nocy takich jak ta pamięta Serafin Romero, oddalając się swoim wozem terenowym od pociągu zatrzymanego pośrodku pustyni; auto pełne jest skradzionych przedmiotów, pociąg pełen pasażerów potrzebujących pracy, towary są nowiutkie, pięknie opakowane, lśniące, pralki, tostery, odkurzacze, jeszcze niezamienione w śmieci, które spotyka się na wysypisku odpadków w Chalco... Teraz to rzeczywiście jest z niego Elegant, teraz przestał być Dupkiem. Serafin Romero, oddalając się od zatrzymanego pociągu, pomyślał, że jedyne, czego mu brak, żeby zostać prawdziwym bohaterem, to rżący rumak... Ach, to nocne powietrze pustyni, takie suche, takie czyste.

nikt nie opływa w większe dostatki w zamożnym mieście Meksyk niż Juan de Oñate, syn konkwistadora Cristobala o tym samym nazwisku, odkrywcy kopalni w Zacatecas, nieprzebranych pokładów srebra, który przybył do Villa Rica de la Vera-cruz bez grosza przy duszy, a teraz może zostawić swojemu synowi w spadku jedną z największych fortun Indii, niewyczerpaną żyłę srebrnego kruszcu, umożliwiającą Juanowi wybór na stanowisko regulatora cen w stolicy Nowej Hiszpanii, rozjeżdżanie się po niej najlepszymi karocami, z najpiękniejszymi kobietami, najdworniejszymi paziarnymi, trzymanie w pałacu całych zastępów kamerdynerów i księży modlących się dzień i noc o to, by Onate dostąpił łaski niebieskiej

dlaczego ten mężczyzna porzuca ów luksus, otrząsa się z inercji i rusza ku nieznanym ziemiom nad wielką rzeką, dziką rzeką?

czyżby tak bardzo miał dość starego srebra, że zapragnął nowego złota?

nie chce nic zawdzięczać swojemu ojcu? zacząć jak on, biedny i dumny?

a może pokazać, że nie ma większego bogactwa nad to, które jest nieosiągalne?

spójrzcie na Juana de Oñate, jak stąpa swymi czarno obutymi stopami po ciemnym brzegu wielkiej rzeki, dzikiej rzeki —

jest gruby, łysy, wąsaty, prawdziwy żółw w skorupie z żelaza i holenderskich koronkach na szyi i u mankietów, ma potężny brzuch i chude nogi, a między nimi nieodzowny futerał na genitalia, żeby móc wysikać się bez problemu pośród konkwist i bitew, które ogłasza jego srebrny hełm z zatkniętym na czubku pióropuszem -

przybywa nad wielką rzekę ze stoma trzydziestoma żołnierzami i pięciuset osadnikami, kobietami, dziećmi, służbą -

zakłada El Paso del Norte i ogłasza hiszpańskie panowanie nad wszystkim, od liści na drzewach aż po kamienie i piaski rzeki - nic go nie zatrzyma, założenie El Paso to tylko brama prowadząca do jego wielkiego imperialnego snu, gruby, brzuchaty, łysy, z wąsiskami, utwardzony stalą i zmięczony koronkami, Juan de Oñate jest prywatnym przedsiębiorcą, człowiekiem czynu, który uwierzył w kłamstwa Cabezy de Vaca, nie zwrócił uwagi na wyprawy brata Marcosa de Nizy i na śmierć nieszczęsnego, upartego Murzyna Estebanico, który nie powrócił z poszukiwań swojego własnego kłamstwa, złotych miast -

Oñate nie idzie szukać złota, tylko je wymyślić, stworzyć bogactwo, odkryć to, czego jeszcze nie odkryto w Nowym Świecie, kopalnie, których nie ma, imperia, które nie istnieją, drogę do Azji, porty po obu stronach oceanów -

żeby ziścić swój sen, rozpoczyna kampanię śmierci, przybywa do Acama, centrum indiańskiego świata (środką stworzenia, pępka wszechświata) i tam burzy miasto, morduje pół tysiąca mężczyzn, trzysta dzieci i kobiet, a resztę zamienia w jeńców, chłopcy od dwunastu do dwudziestu lat będą służącymi, dwudziestopięcioletnim młodzieńcom obetnie się publicznie jedną nogę -

chodzi o to, żeby naprawdę ustanowić nowy świat, stworzyć naprawdę nowy porządek, gdzie Juan de Oñate byłby królem podług swojego kaprysu, nie musząc zawdzięczać nic nikomu, zdecydowany na utratę wszystkiego pod warunkiem, że będzie nieskończenie wolny, aby narzucać własne pomysły, być swoim własnym królem, a nawet stwórcą -

tutaj nie było nic przed przybyciem Juana de Oñate, nie było historii, nie było kultury - on je ustanowił -

ale były odległości, ogromne odległości, i te odległości w końcu go zwyciężyły.

Elorno i Mario

Polonsky powiedział do Maria, że tej nocy więcej nielegalnych niż zwykle będzie próbowało przekroczyć granicę, wykorzystując przepychanki na moście, ale Mario wiedział dobrze, że dopóki biedny kraj będzie istniał obok najbogatszego kraju świata, to to, co oni, straż graniczna, robią, będzie tylko ścisaniem napompowanego balonu - naciśniesz z jednej strony, powietrze wychodzi z drugiej, nie ma na to sposobu, i chociaż na początku Maria bawiła ta praca, przypominająca dziecięcą zabawę w chowanego, powoli zaczęło go opanowywać rozdrażnienie, dlatego że przemoc zaczęła wzrastać, dlatego że Polonsky był nieubłagany w swojej nienawiści do Meksykanów; żeby wypaść dobrze w jego oczach, nie wystarczyło solidnie wypełniać swoje obowiązki, trzeba było wykazać się prawdziwą nienawiścią, co było trudne w wypadku Mario Islasa, w końcu syna Meksykanów, mimo że urodzonego już z tej strony Rio Grande; ale właśnie to podsycalo podejrzenia jego przełożonego - pewnej nocy Mario spotkał go w pubie, Polonsky mówił, że wszyscy Meksykanie to tchórze, a on omal go nie uderzył, tamten zauważył to, oczywiście celowo go sprowokował, wiedział, że Mario jest w pobliżu, i dlatego to powiedział, a później wykorzystał, żeby oświadczyć:

- Pozwól, że będę z tobą szczery, Mario, wy, Meksykanie służący w patrolu, musicie wykazać się większą lojalnością niż my, prawdziwi Amerykanie...

- Ja się tutaj urodziłem, Dan. Jestem takim samym Amerykaninem jak ty. Nie opowiadaj mi, że Polonscy przyплыnęli na „Mayflower”.

- Tylko bez impertynencji, koleś.

- Jestem oficerem. Nie mów do mnie „koleś”. Ja ciebie szanuję. Ty szanuj mnie.

- Chciałem powiedzieć: jesteśmy biali, jesteśmy Europejczykami, kapujesz?

- A Hiszpania nie leży w Europie? Moimi przodkami byli Hiszpanie, twoimi Polacy, wszyscy jesteśmy Europejczykami...

- Ty mówisz po hiszpańsku. Murzyni mówią po angielsku. To nie czyni z nich Anglików ani z ciebie Hiszpana...

- Dan, ta dyskusja nie ma sensu. - Mario uśmiechnął się i wzruszył ramionami. - Lepiej wykonujmy dobrze naszą pracę.

- Ja nie mam z tym problemów. Ty - tak.

- Bo na wszystko patrzysz jak rasista. Nie zmienię cię, Polonsky. A więc wykonujmy dobrze naszą pracę. Zapomnij o tym, że jestem takim samym Amerykaninem jak ty.

Podczas długich nocy nad Rio Grandę, Rio Bravo, Mario Islas mówił sobie, że być może Polonsky słusznie w niego wątpi. Ci biedni ludzie przybywają tu jedynie w poszukiwaniu pracy. Nie zabierają jej nikomu. Czy to wina Meksykanów, że zamknięto zakłady zbrojeniowe i jest więcej bezrobotnych? Bo przecież Stany mogły w dalszym ciągu być w stanie wojny z imperium zła, jak je nazywał Reagan.

Te wątpliwości przemykały niekiedy przez czujny umysł Maria. Noce były długie i niebezpieczne i czasami chciałby, żeby całe Rio Grandę, Rio Bravo były naprawdę przedzielone żelazną kurtyną, bardzo głębokim rowem albo przynajmniej jakimś ogrodzeniem, które miałoby moc powstrzymania napływu nielegalnych. Zamiast tego noc rozbrzmiewała dźwiękami; znał je aż za dobrze, te trele i gwizdy nieistniejących ptaków, którymi kojoty, ludzie przeprowadzający nielegalnych przez granicę porozumiewali się między sobą, czasem tym się zdradzali, ale czasem była to tylko sztuczka myśliwego, używającego kaczki z drewna na przynętę; przekraczanie granicy odbywało się w innym miejscu, daleko stąd, bez najmniejszego odgłosu.

Ale nie tym razem. Chłopak wyłonił się z wody, niczym rączy jeleń, przemoczony do nitki puścił się biegiem wzdłuż brzegu i zderzył się z Mariem, z jego zielonym mundurem, z jego odznakami, z jego utensyliami, z całym wyposażeniem strażnika; zwarli się obaj w uścisku nieomal, przyklejeni do siebie wilgocią spływającą z ciała nielegalnego imigranta, i potem spływającym z ciała strażnika. Kto wie, dlaczego trwali w tym zwarci, ciężko dysząc, nielegalny z powodu szybkiego biegu, żeby ominąć patrol, Mario z powodu pościgu, żeby odciąć chłopakowi drogę... Kto wie, dlaczego każdy z nich wsparł głowę na ramieniu drugiego, nie chodziło o wyczerpanie, to było coś innego, niezrozumiałego...

Rozłączyli się, żeby spojrzeć na siebie.

- Ty jesteś Mario? - zapytał nielegalny.

Strażnik przytaknął.

- A ja jestem Elorno. Eloino, twój chrześniak. Już nie pamiętasz? No tak, właściwie niby dlaczego miałbyś pamiętać!

- Tego imienia się nie zapomina - zdołał wykrztusić Mario.

- Jestem synem twojego kuma. Znam cię ze zdjęć. Powiedzieli mi, że jak będę miał szczęście, to cię tu spotkam.

- Jak będziesz miał szczęście?

- Ty nie odeślesz mnie z powrotem, prawda, ojcie chrzestny? - Eloino obdarował go białozębym uśmiechem, ogromnym jak kolba kukurydzy, błyszczącym w nocy pomiędzy mokrymi wargami.

- Co ty sobie myślisz, dupku? - zareagował Mario z wściekłością.

- Ja wrócę, Mario, choćbyś mnie łapał tysiąc razy, wrócę kolejnych tysiąc i jeszcze raz, i nie mów do mnie „dupku”, dupku. - Znow się roześmiał i uściśnął Maria, uściśnęli się, tak jak tylko dwóch Meksykanów potrafi to uczynić, bo i strażnik nie umiał oprzeć się fali czułości, utożsamienia, męskiej zażyłości, zaufania, a nawet pewnej konfidencji, zawartych w braterskim uścisku dwóch mężczyzn z Meksyku, a zwłaszcza krewniaków...

- Ojcie chrzestny, całe nasze miasteczko musi przyjść tu do pracy w lecie, żeby spłacić długi zaciągnięte w zimie. Ty dobrze o tym wiesz. Nie rujnuj nas.

- W porządku. I tak w końcu wrócisz do Meksyku, jak wszyscy. To jedyny plus całej tej sprawy. Nie możecie żyć bez Meksyku. Nie zostajecie tutaj.

- Tym razem nie, ojcie chrzestny. Uprzedzono mnie, że teraz będzie trudniej wejść niż przedtem. A więc zostanę, ojcie chrzestny. Cóż mogę na to poradzić?

- Wiem, co sobie myślisz. Przedtem te ziemie były nasze. Najpierw były nasze. I znow będą nasze.

- To myślisz ty, ojcie chrzestny, bo jesteś mężczyzną całą gębą, jak mówi moja mama. Ja przychodzę, żeby mieć co jeść.

- Biegnij, chrześniaku, ale pamiętaj, żeśmy się nie widzieli, i więcej mnie tak nie ściskaj, bo to boli... Wystarczająco boli ta służba.

- Dzięki, ojczy chrestny, dzięki...

Mario ujrzał, jak oddala się biegiem chłopak, którego nigdy w życiu nie widział na oczy, jaki tam z niego chrześniak, co za bzdury, o jakiego kuma chodzi, ten cały Eloino (jak naprawdę ma na imię?) przeczytał imię Maria na identyfikatorze i tylko dlatego je znał, to nie żadna tajemnica, zagadką jest co innego, ciekawe mianowicie, dlaczego obaj zaakceptowali tę fikcję w sposób tak naturalny, dlaczego dwóch nieznajomych mężczyzn przeżyło wspólnie taką właśnie chwilę...

te tereny utracono, nim zostały zdobyte, nie przybyło ziem, nie przybyło mieszkańców, przybyło misji,

przybyło batów w rękach franciszkanów, nieubłaganych kolonizatorów, którzy kierowali się filozofią wspólnego dobra, stawianego ponad wolność osobistą, literę łatwiej wbić do głowy batem, wiarę także,

batem w osady, bo wcześniej braciszczkowie używali go przeciwko sobie samym, zadawali sobie pokutę - przybyło buntów,

Indianie przeciwko Indianom, osady przeciwko Apaczom,

Indianie przeciwko Hiszpanom, Pimowie przeciwko białym,

aż zakończyło się to wszystko wielkim buntem ludności w roku 1680, dwa tygodnie wystarczyły mieszkańcom, żeby wyzwolić swoje ziemie, zniszczyć, złupić, zabić dwudziestu jeden misjonarzy, spalić zbiory, wypędzić Hiszpanów i zdać sobie sprawę, że już nie potrafią bez nich żyć, żyć bez ich upraw, bez ich strzelb, ich koni –

Bernardo de Galvez, mężczyzna dwudziestokilkuletni, obdarzony energią dwudziestu kilku mężczyzn, ustanawia pokój, używając fortelu -

sposób na ujarzmienie dzikich Indian znad wielkiej rzeki to rozdanie im strzelb, ale zrobionych z podłego metalu,

o długiej lufie, łatwo się psujących, tak żeby reperacje uzależnione były od Hiszpanów. „Im więcej strzelb, tym mniej strzał” - mawiał młody, energiczny pacyfikator ludności znad wielkiej rzeki i przyszedł wicekról Nowej Hiszpanii,

niech Indianie oduczą się strzelać z łuku strzałami, które zabijają więcej Hiszpanów niż nieumiejętnie obsługiwane strzelby -

„Lepszy zły pokój niż pyrrusowe zwycięstwo” - oto przesłanie Galveza,

ale i czas pokoju potrzebuje mieszkańców, a jest ich tylko trzy tysiące nad wielką rzeką, dziką rzeką - zostają zatem zaproszone rodziny z Wysp Kanaryjskich, z Teneryfy, rozdaje się im ziemię, pozwala na przejazd bez opłat, nadaje tytuły szlacheckie, piętnaście kanaryjskich rodzin przybywa do San Antonio, rodzin wyczerpanych podróżą z Santa Cruz do Veracruz, przybywają osadnicy z Malagi, wyczerpani podróżą do Saltillo i nad Rio Grande, i przybywają pierwsi gringos te tereny utracono, nim zostały zdobyte.

Juan Zamora

Juan Zamora miał koszmarne sen, a gdy się obudził i przekonał, że to o czym śnił, jest prawdą, ruszył nad granicę i teraz stoi tutaj wśród demonstrantów. Ale Juan Zamora nie podnosi pięści ani nie rozkrzyżowuje ramion. W jednej ręce niesie swoją walizczkę lekarza. A pod pachami dwa kartony leków.

Śniła mu się granica jako ogromna krwawiąca rana, chore ciało, nieme wobec własnych dolegliwości, choć znajdujące się na krawędzi krzyku, speszzone atakami własnej lojalności, i zbite, na koniec, przez brutalną politykę, demagogię oraz korupcję. Jak nazywała się choroba, na którą zapadła granica? Doktor Juan Zamora nie wiedział tego i właśnie dlatego tutaj był, aby uśmierzyć ból, aby odwdzińczyć się Stanom Zjednoczonym za studia w Cornell, za stypendium, które załatwił mu don Leonardo Barroso czternaście lat temu, kiedy Juan był jeszcze chłopcem i przeżywał swoją trudną miłość...

Do białej koszuli ma przypięty blaszany znaczek z numerem 187 i ukośną kreską, przekreślającą numer ustawy przyjętej w Kalifornii, a odmawiającej meksykańskim imigrantom prawa do nauki i opieki lekarskiej. Juan Zamora wystarał się o zaproszenie do jednego ze szpitali w Los Angeles i stwierdził, że Meksykanie nie przychodzą, żeby się w nim leczyć. Wyruszył więc sam do meksykańskich dzielnic. Ludzie byli tam zastraszeni. Jeżeli zgłoszą się do szpitala - tak mu powiedzieli - zostaną zadenuncjowani i oddani w ręce policji. Juan zapewnił ich, że nie, że dyrekcja szpitala jest ludzka, nie doniesie na nikogo. Ale

strach był nie do przewyciężenia. Choroby także. Jeden przypadek tutaj, drugi tam, infekcja, zapalenie płuc, źle leczone, śmiertelne. Strach zabijał skuteczniej niż jakikolwiek wirus.

Rodzice przestali posyłać swoje dzieci do szkół. Dziecko meksykańskiego pochodzenia jest łatwo rozpoznawalne. Cóż mamy robić, pytali rodzice. Płacimy więcej, o wiele więcej podatków, niż otrzymujemy w zamian w formie nauki i usług. Cóż więc mamy robić? Dlaczego się nas oskarża? O co? Pracujemy. Jesteśmy tutaj dlatego, że oni nas potrzebują. Jankesi nas potrzebują. Gdyby nie potrzebowali, nie byłoby nas tutaj.

Stojąc na wprost mostu łączącego Ciudad Juarez i El Paso, Juan Zamora niechętnie sięga pamięcią do czasów, kiedy mieszkał w Cornell. Nie chce, żeby jego osobiste bóle zaciążyły na odbiorze tego, co widzi i słyszy, żeby nie wpłynęły na ocenę hipokryzji i arogancji, w które może popaść naród poczciwych jankesów. Ale Juan Zamora nauczył się nie skarżyć. Nauczył się też działać. Bez słowa. Nie prosi w Meksyku o pozwolenie na zajęcie się najpilniejszymi przypadkami, przeskakuje ponad biurokratycznymi szlabanami, pojmując ubezpieczenia społeczne jako jedną z należnych ludziom usług, nie opuszcza chorych na AIDS, narkomanów, żebraków, całego tego ciemnego i spienionego szlamu, który miasto osadza na swoich śmiecionośnych brzegach...

- Za kogo ty się uważasz? Myślisz, że jesteś Florence Nightingale?

Żarty z jego zawodu i jego homoseksualizmu już dawno przestały Juana irytować. Znał dobrze świat, znał dobrze swój świat, umiał rozróżnić to, co jest powierzchowne, zwykłe gadanie, to pedał, to konował, od tego, co jest konieczne: przynieść ulgę narkomanowi, przekonać rodzinę chorego na AIDS, aby pozwoliła mu umrzeć w domu i, do cholery, nawet gołnąć sobie setkę mezcalu z żebrakiem...

Teraz czuł, że jego miejsce jest tutaj. Jeżeli władze amerykańskie odmówią prawa do opieki lekarskiej meksykańskim robotnikom, on, Florence Nightingale, zamieni się w wędrownego szpitala, ruszy od domu do domu, od wsi do wsi, od Teksasu do Arizony, od Arizony do Kalifornii, od Kalifornii do Oregonu, podburzając, rozdając lekarstwa, wypisując recepty, podnosząc na duchu chorych, oskarżając władze o brak humanitaryzmu...

- Jak długo zostanie pan w Stanach?

- Mam wizę wielokrotną ważną do dwutysięcznego dziesiątego roku.

- Nie może pan tu pracować, czy pan o tym wie?
- Ale leczyć mogę?
- Co takiego?
- Leczyć, leczyć chorych.
- Nie potrzeba. Mamy tutaj szpitale.
- Zapelnia się imigrantami bez dokumentów.
- Więc niech ci ludzie wracają do Meksyku. Leczą ich tam.
- To niemożliwe, podobnie jak i tu. Ale pracują tutaj, u was.
- Leczenie ich kosztuje nas zbyt drogo.
- Drożej będzie was kosztować zwalczanie epidemii, jeżeli w porę się jej nie zapobiegnie.
- Pan nie może brać zapłaty za swoją pracę, czy pan o tym wie?

Juan Zamora tylko się uśmiechnął i przekroczył granicę.

Teraz, po drugiej stronie, czuł przez chwilę, że to inny świat. Niespodziewanie zakręciło mu się w głowie. Od czego zaczniesz? Kogo odwiedzi? Tak naprawdę to nie wierzył, że pozwolą mu przekroczyć granicę. To by było zbyt proste. Nie oczekiwał, że wszystko pójdzie tak dobrze. Coś złego musiało się zdarzyć. Stał po jankeskiej stronie ze swoją lekarską walizką i medykamentami. Usłyszał pisk opon, jednoczesne wystrzały, dźwięk tłukącego się kryształu, przedziurawianego metalu, odgłos trafienia, wrzawę, krzyk:

- - Lekarza! Lekarza!

pojawił się gringos (kim są, kim są, na Boga, jak mogą istnieć, kto ich wymyślił?),

pojawił się jeden za drugim, powoli, pojawili się na ziemiach niezamieszkałych, niesprawiedliwych, zapomnianych; zapomnianych przez hiszpańską monarchię, a teraz przez republikę meksykańską;

odizolowane, niesprawiedliwe ziemie, gdzie gubernator meksykański posiadał dwa miliony owiec, oporzędzanych przez dwa tysiące sześciuset pracow-

ników, a najczystsze złoto z kopalni w Real de Dolores nie powracało nigdy do rąk tych, którzy dotknęli go pierwsi,

gdzie wojna między rojalistami a powstańcami wyraźnie osłabiła hiszpańską obecność,

a później ciągła wojna Meksykanów przeciwko Meksykanom, żalosne przejście od monarchii absolutnej do federacyjnej i demokratycznej republiki -

niech przyjdą gringos, oni także są niepodlegli i demokratyczni,

niech wejdą, choćby nielegalnie, przepływając rzekę Sabinas, mocząc sobie grzbiety, posyłając w cholere całą tę granicę, mówi inny energiczny młodzieniec, szczupły, niewielkiego wzrostu, zdyscyplinowany, rozsądny, honorowy, spokojny i umiejący grać na flecie - całkowite przeciwieństwo hiszpańskiego szlachcica;

nazywa się Austin, to on wiezie za sobą pierwszych osadników nad Rio Grandę, nad Rio Colorado, nad Rio Brazos, trzystu patriarchów, założycieli jankesko-teksańskiej państwowości, za nimi przybywa jeszcze pięciuset, rozpętują prawdziwą gorączkę Teksasu, wszyscy chcą ziemi, własności, gwarancji, chcą także wolności, protestantyzmu, procesów w majestacie prawa, sądów ludowych,

ale Meksyk ma im do zaoferowania tyranie, katolicyzm, arbitralne sądy,

chcą niewolników, prawa do prywatnej własności, ale Meksyk już zniósł niewolnictwo i wystąpił przeciwko własności prywatnej,

oni chcą, żeby jednostka mogła robić, co jej się żywnie podoba;

Meksyk wierzy jeszcze w hiszpańskie państwo autorytarne, które rządzi w imię dobra wszystkich, nie pytając nikogo o zgodę;

teraz jest nad Rio Grandę, Rio Bravo trzydzieści tysięcy amerykańskich osadników z północy i tylko cztery tysiące Meksykanów,

powstaje konflikt nie do uniknięcia: „Albo Meksyk natychmiast zajmie Teksas, albo straci go na zawsze” - mówi Mier y Teran,

Meksyk rozpaczliwie poszukuje europejskich imigrantów,

ale nic nie może powstrzymać gorączki Teksasu, znad Missisipi schodzi tyśiąc rodzin miesięcznie, dlaczego mają nami rządzić ci tchórzliwi, leniwi i brudni Meksykanie? To nie może być zamysł Boga!

pyrrusowe zwycięstwo w Alamo, krwawa jatka w Goliaci, Santa Anna to nie Galvez, woli złą wojnę niż zły pokój, oto i oni, obaj na wprost siebie, w San Jacinto - Houston wysoki na prawie dwa metry, skrywający twarz pod skórzanym kapeluszem, w kamizelce z lamparciej skóry, struga cierpliwie nożem każdy znaleziony po drodze kawałek drewna,

Santa Anna, w epoletach i napoleońskim trójgraniastym kapeluszu na głowie, przesyfia sjęstę w San Jacinto, podczas gdy Meksyk traci Teksas -

to, co tak uparcie struga Houston, to przyszła drewniana noga dla malowniczego, frywolnego, niekompetentnego meksykańskiego dyktatora;

„Biedny Meksyk, tak daleko od Boga i tak blisko Stanów Zjednoczonych” - powie pewnego dnia, wślawiając się tymi słowy, inny dyktator, a ciszej doda inny prezydent: „Między Stanami Zjednoczonymi i Meksykiem jest pustynia”

Jose Francisco

Siedząc na swoim harleyu-davidsonie po jankeskiej stronie rzeki, Jose Francisco przyglądał się zafascynowany niesamowitemu strajkowi, bynajmniej nie opuszczonych, tylko podniesionych rąk po meksykańskiej stronie rzeki. Oto miłośnik ubóstwa, nerw bezsenności, ustnie przekazywana mądrość narodu (który był jego narodem), powiedział przedtem z dumą Jose Francisco, wdrapując się na swój motor, czubkiem buta naciskając pedał gazu, niepewny, czy tym razem, z powodu zamieszania po drugiej stronie, patrole obu państw nie zatrzymają go za ekstrawagancki wygląd, rozczochrane włosy do ramion, kowbojski kapelusz, srebrne szkaplerze i sarape barwne jak tęcza. Jego jedynym godnym zaufania dokumentem była okrągła jak księżyc w pełni twarz, jasna, bez zarostu, ot, uśmiechnięte ciało niebieskie. Chociaż jego wspaniałe, mocne, bardzo białe zęby także niepokoiły tych, którzy nie byli do niego podobni. Kto nigdy nie był u dentysty? Jose Francisco.

- Musisz iść do dentysty - mówili mu w teksańskiej szkole.

Szedł. Wracął. Ani jednej plomby.

- To jakiś fenomen. Dlaczego temu dziecku nie psują się zęby?

Dawniej Jose Francisco nie wiedział, co na to odpowiadać. Teraz już tak.

- To dzięki wielu pokoleniom, jedzącym głównie chili, fasolę i tortillas. Sam wapń, sama witamina C. Ani grama tłuszczu na ciele.

Zęby. Włosy. Motor. Zawsze musieli znaleźć w nim coś podejrzanego, nie po to, by stwierdzić, że jest dziwny, tylko inny, odmienny niż oni. Miał w sobie coś, co go odróżniało, co nie mogło czekać beczynnienie. Coś, co nie mogło powstać z jednej albo z drugiej strony granicy, tylko po obu stronach. Trudno to było zrozumieć i tu, i tam.

- To, co jest tu, jest także tam. Ale co to jest „tu” i co to jest „tam”, czy to po meksykańskiej stronie jest jego „tu” i „tam”, czy też po jankeskiej, czy cała ziemia nie ma przypadkiem swojego niewidocznego sobowtóra, cienia obcego jej samej, podążającego obok niej, tak jak obok każdego z nas podąża jego drugie, nieznanne ja?

Jose Francisco właśnie dlatego pisał, żeby dać szansę temu drugiemu Jose Franciscowi, który posiadał, jak widać, swoją własną wewnętrzną granicę. Chciał być miły wobec siebie samego, ale nie udawało się. Był podzielony na cztery części.

Chcieli, żeby bał się mówić po hiszpańsku. Ukarzemy cię, jeżeli będziesz gadał jak Indianiec.

To właśnie wtedy zaczął śpiewać hiszpańskie piosenki podczas przerw, na całe gardło, aż doprowadził do prawdziwego szaleństwa wszystkich jankesów, nauczycieli i uczniów.

To właśnie wtedy wszyscy przestali się do niego odzywać, ale on nie czuł się dyskryminowany. Boją się mnie, powiedział sobie w duchu, a do nich: boicie się do mnie odezwać.

To właśnie wtedy jego jedyny przyjaciel szybciotko przestał nim być, kiedy powiedział do Jose Francisca:

Nie rozpowiadaj, że jesteś Meksykaninem; nie przychodź już do mnie więcej.

Właśnie wtedy Jose Francisco odniósł swoje pierwsze zwycięstwo, wywołując w szkole skandal po to, żeby sprawić - i udało mu się za pomocą pamfletów odbijanych na powielaczu z wyzymaczki, zameczania i zanudzania władz ciągłym proszeniem o to samo - żeby wszyscy w klasie, Murzyni, Meksykanie, biali, usiedli w ławkach w porządku alfabetycznym, a nie w grupach rasowych.

Skąd w nim tyle pewności siebie, tyle animuszu?

To geny, to te cholerne geny.

Wszystko dzięki ojcu. Ojciec przybył z Zacatecas z wyeksploatowanych kopalni Juana de Oñate z żoną i synem, ale bez grosza. Inni Meksykanie pożyczili mu jedną krowę, żeby mógł mieć mleko dla dziecka. Ojciec zaryzykował. Wymienił krowę na cztery prosięta, zarznął prosięta i kupił dwadzieścia kurczaków, a kiedy odchowwał już kurczaki, założył własny sklep z jajami i tak wyszedł na swoje. Przyjaciele, którzy pożyczili mu krowę, nie poprosili, żeby ją zwrócił, ale on otworzył im nieograniczony kredyt i mogli wziąć „bieluśkich”, jak wstydliwie nazywano tam jajka, ile tylko chcieli.

Tutaj, tam. Żeby zmienił sobie imię z Jose Francisco na Joe Frank, powiedziano mu przed końcowymi egzaminami w szkole średniej. Jest inteligentny. Tak będzie lepiej.

- Tak będzie lepiej, *boy*.

- Ale nie będę mówił własnym głosem, chłopie.

Komu, jeśli nie sobie samemu, kiedy wybierał spod

kur jajka na fermie swojego ojca, przebiegłego imigranta, któremu się powiedło, miał wyznać, że chce, aby go usłyszano, że pragnie coś pisać, wydobyć głos z wszystkich tych historii, których słuchał od dziecka, historii o imigrantach, o nielegalnych, o meksykańskiej biedzie, o jankeskim dobrobycie, ale przede wszystkim historii rodzin, to właśnie było bogactwo granicznego świata, mnogość niepogrzebanych opowieści, opierających się śmierci, błądzących swobodnie niby duchy od Kalifornii do Teksasu, czekających, żeby ktoś je opowiedział, ktoś spisał. Jose Francisco stał się kolekcjonerem historii.

opiewał pradziadów, co nie mieli daty urodzenia ani nazwiska,

pisał o ludziach, którzy nie wiedzieli, że istnieją cztery pory roku,

opisywał niekończące się, wystawne posiłki, przy których zbierały się całe rodziny,

a kiedy zaczął to robić, w wieku dziewiętnastu lat, zapytano go, a on zapytał sam siebie: w jakim języku mam pisać, po angielsku czy po hiszpańsku? I wtedy po raz pierwszy postanowił, że to będzie coś zupełnie nowego, język chicano, i uświadomił sobie, kim jest, ani Meksykaninem, ani Amerykaninem z północy, jest chicano, język mu to wyjawiał, zaczął pisać po hiszpańsku to, co płynęło z jego meksykańskiej duszy, po angielsku zaś to, co narzucał mu jankeski rytm, wpięrw mieszał, później starał się oddzielać, niektóre historie po angielsku, inne po hiszpańsku, w zależności od akcji, od postaci, ale zawsze łącząc wszystko, wątki, charaktery, jednym właściwym sobie impulsem i przekonaniem.

- Nie jestem Meksykaninem. Nie jestem jankesem. Jestem chicano. Nie jestem jankesem w USA, Meksykaninem w Meksyku. Wszędzie jestem chicano. Nie muszę się asymilować. Mam własną historię.

Pisał ją, ale to mu nie wystarczało. Jego motor przejeżdżał tam i z powrotem po moście przerzuconym nad Rio Grandę, Rio Bravo, załadowany odręcznie przepisanyimi tekstami, Jose Francisco woził teksty chicanos do Meksyku, a teksty meksykańskie do Teksasu, motor służył do tego, żeby szybko przewozić napisane słowa z jednej strony na drugą, to był właśnie przemyt Jose Franciscy, literatura obu stron, żeby wszyscy poznali się lepiej, żeby wszyscy pokochali się trochę bardziej, żeby pojawiło się słowo „my” po obu stronach granicy...

- Co tam wiesz w tych swoich sakwach?

- Pisma.

- Polityczne?

- Każde pismo jest polityczne.

- No więc wywrotowe.

- Każde pismo jest wywrotowe.

- Jak mówisz?

- Mówię, że brak porozumienia wkurza najbardziej. Ze ten, co nie może się porozumieć, czuje się gorszy. Ze ten, co milczy, ma przesrane.

Strażnicy meksykańscy dołączyli do amerykańskich, żeby dowiedzieć się, o co chodzi, cóż to za zamieszanie robi ten rozczołkaniec na motorze, jadąc przez most i śpiewając „Cielito lindo” i „Valentin de la Sierra”, z plecakiem pełnym fałszywych banknotów, narkotyków, jak się spodziewali, a tu nie, to były papiery, polityczne, powiedział, wywrotowe, sam przyznał, no to dawaj je, trzeba to obejrzyć, zaczęli rozrzucać rękopisy, które porwane przez nocny wiatr, szybowywały jak papierowe gołębie, obdarzone własnym lotem, nie wpadały do rzeki, zauważył Jose Francisco, tylko wlatywały z mostu w jankeskie niebo, z mostu w meksykańskie niebo, poemat Riosa, opowiadanie Cisnerosa, esej Nericia, strony z Sillera, rękopis Cortazara, zapiski Garaya, dziennik Aguilara Melantzo- na, pustynie Gardei, motyle Aluristy, drozdy Denise Chavez, wróble Carlosa Nicolasa Floresa, pszczoły Rogelio Gomeza, milenia Cornejo, i sam Jose Francisco radośnie pomagał strażnikom wyrzucać rękopisy w powietrze, do rzeki, ku księżycowi, ku granicom, przekonany, że słowa doleczą do miejsc swojego przeznaczenia, do czytelników, słuchaczy, języków, oczu, uszu...

Spostrzegł, że rozkrzyżowane ramiona demonstrantów po stronie Ciudad Juarez podniosły się, żeby schwytać w locie kartki papieru, i wydał z siebie okrzyk zwycięstwa, od którego trwale pękła kryształowa granica...

granica nie jest już wielka rzeka, dzika rzeka, tylko rzeka Nueces, ale dla jankesów nueces to nazwa granicy, która nie pozwala, żeby wypełniło się ich objawione przeznaczenie -

dotrzeć do Oceanu Spokojnego, stworzyć naród zaludniający cały kontynent, zająć Kalifornię -

pełne wagony, wozy, ludzie na koniach, miasta pośpiesznie zasiedlone pionierami, poszukującymi dokumentów, które nadałyby im nowe ziemie, trzydzieści tysięcy jankesów w Teksasie, w dniu Alamo, sto pięćdziesiąt tysięcy dziesięć lat później, w dniu wybuchu wojny,

przeznaczenie objawione przez protestanckiego Boga jego nowej rasie wybranej po to, żeby ta ujarzmiła rasę niższą, republikę ogarniętą anarchią, karykaturę narodu, winną pieniądze wszystkim naokoło, z karykaturalną armią, posiadającą jedynie połowę ze swoich czterdziestu tysięcy żołnierzy, którymi się chępli, a i te dwadzieścia tysięcy to prawie bez wyjątku Indianie, co zeszli z gór

w rytmie bębnow, mężczyźni siłą zaciągani do wojska, uzbrojeni w bezużyteczne angielskie muszkiety; ubrani w obszarpane mundury -

„Jest taki jeden meksykański garnizon, którego żołnierze dotąd nie mogą pokazać się publicznie w Matamoros, ponieważ żołnierze nie mają ubrań” -

czy lepsza była armia amerykańska? nie, odpowiadają wrogowie wojny, której chciał Polk, mają tylko osiem tysięcy żołnierzy, mięsa armatniego, które nigdy nie widziało walki, to nielojalni więźniowie, dezercerzy, najemnicy...

niech nas wystawią przeciwko jankesom, krzyczą po stronie dzikiej rzeki w Chihuahua i Coahuila, zwyciężymy ich z pomocą naszych naturalnych sprzymierzeńców: gorączki i pustyni, wyzwolonych niewolników, którzy przyłączą się do nas, nie przekraczajcie wielkiej rzeki, mówią wrogowie wojny, której chciał Polk, to wojna o utrzymanie niewolnictwa, o zdobycie terenów na południu -

wielka rzeka, dzika rzeka, Teksas żąda, aby tam była granica,

Meksyk odmawia, Polk rozkazuje Taylorowi zająć brzeg rzeki, Meksykanie bronią się, są ofiary śmiertelne, wojna rozpoczęła się,

„Gdzie? - pyta Abraham Lincoln w Kongresie. - Powiedzcie mi, gdzie dokładnie padł pierwszy meksykański strzał i które ziemie zajął Meksyk jako pierwsze?”

generał Taylor śmieje się - on sam jest karykaturą swojej armii, nosi długie białe i brudne spodnie, kurtę pełną dziur i przepasuje się szeroką szarfą z białego lnu, jest mały, tłusty, okrągły jak kula armatnia,

i śmieje się widząc, jak pociski wystrzeliwane z meksykańskich armat lecą, odbijając się po północnoamerykańskiej stronie Arroyo Seco, tylko jeden armatni wystrzał na tysiąc oddanych trafia w cel, śmiech jest złowieszczy, dzieli samą rzekę, od tej chwili wszystko, co ma nastąpić, to spacerek, do Nowego Meksyku i do Kalifornii, do Saltillo i do Monterrey, z Veracruz do miasta Meksyk - armia Taylora traci dziurawe portki swego dowódcy i zdobywa zapięty na ostatni guzik mundur generała Scotta z West Point;

jedynym, który się nie zmienia, jest Santa Anna, polerujący swoje piętnaście paznokci, kogucik, donzuan, który potrafi tracić cały kraj pośród śmiechu, jeśli tylko w zamian dostanie piękną kobietę i zniszczy politycznego rywala;

Stany Zjednoczone? O tym pomyślę jutro;

żuje gumę, wyprawia uroczysty pogrzeb swojej nodze, zamawia własne posągi na koniu we Włoszech, ogłasza się jego Najpogodniejszą Wysokością, Meksyk to znosi, Meksyk zniesie wszystko, kto powiedział Meksykanom, że mają prawo być dobrze rządzeni?

kraju będący łupem, kraju złupiony, kraju wykpiony, bolesny, przeklęty, cudowny kraju cudownych ludzi, który nie odnalazł swego słowa, swojego oblicza, swojego własnego przeznaczenia, nie objawionego, tylko niepewnego, ludzkiego, co się rzeźbi powoli, a nie objawia dzięki opatrności - przeznaczenia podziemnej rzeki, wielkiej rzeki, dzikiej rzeki, gdzie Indianie słuchają muzyki Boga

Gonzalo Romero

Serafin powiedział swojemu ciotecznemu bratu, kiedy ten przyjechał, cuchnąc jeszcze wysypiskiem, że tutaj na północy starczy roboty dla wszystkich. Tak więc ani Serafin, ani Gonzalo nie będą walczyć ze sobą o strefy wpływów, tym bardziej że są ciotecznymi braćmi, a zwłaszcza że obaj będą pomagać swoim ziomkom, ale Serafin uprzedził Gonzala, że napadać na pociągi po drugiej stronie granicy to inna sprawa, niebezpieczna, na to nie odważył się nikt od czasów Pancho Villi, przeprowiać natomiast ludzi na drugą stronę rzeki, tak jak to robi Gonzalo, którego nazywają w Kalifornii kojotem, to praca nawet całkiem honorowa, wolny zawód, jak mawiają jankesi - razem z grupą kolegów, czternaściami dwudziestoletnimi jak on chłopakami, siedzi Gonzalo na masce samochodu, oczekując klientów na tę noc, nie marzycieli demonstrujących na wprost mostu, ale ludzi pewnych, którzy będą się starali wykorzystać zamęt granicznej nocy, żeby przejść właśnie o tej porze, nie za dnia, według zaleceń kojotów; ci znają na pamięć całe Rio Grande, Rio Bravo, El Paso, Ciudad Juarez - nie idą na łatwiznę ogólnie znanych brodów, najwyższych miejsc na rzece, bo tam zbierają się złodzieje, ćpuny i drobni handlarze narkotyków; Gonzalo Romero zorganizował nawet własną flotę gumowych tratw, żeby przeprowiać nieumiejących pływać, kobiety w ciąży, dzieci, kiedy rzeka naprawdę staje się wielka, naprawdę staje się dzika, teraz jest łagodniutka i przeprowić się przez nią będzie łatwo, poza tym wszyscy są zajęci rzeczoną demonstracją, nawet nie zauważają, przeprowimy się w nocy, jesteśmy zawodowcami, opłatę pobieramy tylko wtedy, gdy pracownik dotrze do swojego celu, a wówczas, powiedział Gonzalo swojemu ciotecznemu bratu Serafinowi, trzeba jeszcze podzielić zarobione pieniądze między kierowców i kierowników zaufanych hoteli, a czasami są wydatki

na telefon i na samolot, trzeba to widzieć, ilu z nich zapisuje się na wyjazd do Chicago, do Oregonu, bo tam jest mniej surowa kontrola, mniejsze prześladowania, nie ma takich ustaw jak słynna ustawa numer 187, całe miasteczko z Michoacan lub z Oaxaca zbiera swoje oszczędności, żeby jeden z rodaków mógł zapłacić tysiąc dolarów i polecieć samolotem do Chicago.

- A ty z tego co masz, Gonzalo?

- Jakieś trzydzieści dolarów od osoby.

- Lepiej dołącz do mojej bandy - roześmiał się Serafin. - Przysięgam na twoją matkę, że tam jest przyszłość.

Zamęt, chaos tej chłodnej nocy pozwolił Gonzalowi Romero przeprowadzić pięćdziesięciu czterech ludzi, tylko że ta noc była jedną ze złych i później, w jego mieszkaniu w Ciudad Juarez, wszyscy płakali razem z dziećmi i żoną Gonzala, a cioteczny brat Serafin powiedział, że kiedy wszystko idzie jak po maśle, trzeba być ostrożnym, bo na pewno zaraz coś się pochrzani, takie są prawa życia i ten, który sądzi, że wszystko mu się będzie udawać przez cały czas, jest po prostu wielkim głupcem, oczywiście bez obrazy dla jego pechowego ciotecznego brata Gonzala.

To było tak, jakby tej nocy pracodawcy teksańscy wszyscy naraz się umówili, żeby zrobić na złość przeprowadzającym się przez rzekę, podekscytowani manifestacją rozkrzyżowanych ramion, i nie wysiadając ze swojego wozu terenowego, pięćdziesięciu czterem ludziom zebranym przez Gonzala Romero przy stacji benzynowej na obrzeżach El Paso powiedzieli, że jest ich zbyt dużo, że nie mogą zatrudnić aż tylu mokrych grzbietów, chociaż ci, którzy chcieliby pracować za dolara od godziny, zostaną przyjęci; mimo że wcześniej powiedziano zebranym, iż dostaną po dwa dolary za godzinę, wszyscy i tak podnieśli ręce, a wtedy pracodawcy znów powiedzieli nie, jest was jeszcze za dużo, zobaczmy, ilu z was się zgodzi na pięćdziesiąt centów za godzinę, prawie połowa uznała, że to jest w porządku, druga połowa wpięła się zmieszana, później zaczęła się wściekać, ale pracodawca powiedział ludziom, żeby szybko wracali do Meksyku, ponieważ on zaraz uprzedzi o ich obecności patroli graniczne, odrzuceni zaczęli lżyć wyzwiskami zaangażowanych, a ci odwzajemnili się pełnym pogardy traktowaniem tamtych jak najgorszych żebraków; niech się lepiej pośpieszą, bo tu wszędzie narasta wobec nich wrogość.

Romero zaczął ich zbierać do kupy, trudno, nie weźmie od nich zapłaty, pobiera pieniądze tylko wtedy, kiedy oddaje pracownika nowemu szefowi, jest zawodowcem; słuchajcie, powiedział, ja nawet staram się już przyuczać moich synów, żeby kiedy dorosną, przeprawiali ludzi tak jak ja, wychowuję ich na kojotów, jak to się mówi w Kalifornii, tak wielkim szacunkiem cieszy się ten cholerny zawód...

To właśnie wtedy pustynna noc zapełniła się echem burzy, którą Gonzalo Romero wpięrow próbował umiejscowić na niebie, ale niebo było czyste, pełne gwiazd, z wyraźnie rysującymi się konturami brzoź, nasycone kadzidłem sennych szyszek. Czyżby wstrząs pochodził z wnętrza ziemi? Gonzalowi Romero przemknęła przez głowę myśl, że skorupa z cierni i kreozotu jest tak mocnym pancerzem na równinie Rio Grandę, że żadne trzęsienie ziemi nie mogłoby go skruszyć; nie, łoskot, wstrząs, echo pochodziły z innego pancerza, z asfaltu i smoły, z prostych linii dróg przecinających równinę, z kół motorów zwęgłających pustynię, motorów w płomieniach, tak jakby ich światła były ogniem, a dosiadający ich jeźdźcy, czy raczej wojownicy, hordą, której imienia lepiej nie wymawiać - i wtedy zobaczył ramiona z tatuażami nazistowskich symboli, wygolone głowy, podkoszulki z napisami głoszącymi wyższość białej rasy, ręce uniesione w faszystowskim pozdrowieniu, dłonie zaciśnięte na puszkach z piwem, dwudziestu, trzydziestu z nich, cuchnąc piwem, piklami i cebulą, raptem otoczyło Gonzala Romero i grupę pracowników, otoczyło ich kręgiem motocykli, zaczęło wrzeszczeć: wyższość białej rasy, śmierć Meksykanom, najedziemy Meksyk, lepiej zacząć już teraz, jesteśmy tu, żeby zabijać Meksykanów, i każdy z nich wystrzelił z bliska ze swojej wielkokalibrowej strzelby w Gonzala Romero oraz dwudziestu trzech robotników, a później, kiedy wszyscy oni już byli martwi, jeden ze skinheadów zsiadł z motoru, uniósł czubkiem buta broczącą krwią głowę każdego z nich, tak, wycelowali dobrze, nikt nie żyje, a drugi włożył czapkę na wygoloną głowę i powiedział do nikogo, do swoich towarzyszy, do zabitych ludzi, ku pustyni, w noc:

- Odkręciłem dziś kurek śmierci na cały regulator! Wyszczrzył zęby. Na wewnętrznej stronie wargi widniał wytatuowany napis: WE ARE EVERYWHERE. Jesteśmy wszędzie.

w przebraniu francuskiego adwokata Benito Juarez zdołał schronić się w El Paso del Norte, bo Francuzi zostawili mu tylko to zakole i wielkiej rzeki, dzięki rzeki do obrony jego meksykańskiej republiki -

przyjechał w swojej czarnej karocy i ze swoimi wozami pełnymi papierów, listów, praw, przyjechał w swoim czarnym płaszczu, czarnym garniturze, czarnym cylindrze, on sam ciemny jak pradawny język, jak zapomniany język z Oaxaca, on sam ciemny jak pradawny czas, kiedy nie było ani wczoraj, ani jutra,

ale on o tym nie wiedział, był meksykańskim adwokatem o liberalnych poglądach, podziwiającym Europę, zdradzonym przez Europę, który ukrywał się teraz w zakolu wielkiej rzeki, dzikiej rzeki, nie posiadając żadnych innych relikwii, na których mógłby się wesprzeć w swoim eksodusie, nic, tylko sterty papierów, praw podpisanych przez niego, identycznych jak prawa Europy,

patrzy Juarez na drugą stronę rzeki, na Teksas i na jego rosnący dobrobyt, tam gdzie Cabeza de Vaca, wysłannik Hiszpanii, zostawił jedynie siady swoich stóp, a Meksyk - dosłownie krowią głowę, zakopaną w piasku,

jankeski Teksas założył ośrodki handlowe, przyciągnął imigrantów z całego świata, czterokrotnie zwiększył długość sieci kolejowej, rozmnożył chleb i bydło i otrzymał diabelski podarunek, roponośne studnie, w dodatku bez konieczności robienia znaku krzyża -

„Teksas jest tak bogaty, że ten, kto chciałby żyć w ubóstwie, powinien iść gdzie indziej, Teksas jest tak zdrowy, że ten, kto chciałby umrzeć, powinien iść gdzie indziej” -

spójrzcie na mnie, mówi do nich Juarez z drugiej strony rzeki, ja nie mam nic i nawet nie pamiętam, co mieli moi dziadowie, ale chcę być taki jak wy, zamozny, bogaty, demokratyczny, spójrzcie na mnie, zrozumcie mnie, mój bagaż jest inny, chcę, żeby rządziły nami prawa, a nie tyrani, ale muszę stworzyć państwo, które każe szanować prawa, nie popadając w despotyzm -

a Teksas nie patrzył na Juareza, tylko patrzył na Teksas, i Teksas dostrzegł jedynie dwóch prezydentów, którzy przekroczyli most, żeby odwiedzić się i pogratulować sobie, był to Howard Taft gruby jak słoń (tak bardzo, że kiedy marszerował przez most, wszyscy się bali, że ten nie wytrzyma jego ciężaru), ogromny, uśmiechnięty, o szelmowskich oczach i wąsach cyrkowego tresera, i Porfirio Diaz, lekki i chudziutki, przytłoczony ciężarem swoich niezliczonych medali, Indianin z Oaxaca, rachityczny osiemdziesięciolatek o białych wąsach, zmarszczonym czole, rozdętych nozdrzach i smutnych oczach podstarzałego wojownika; obaj pogratulowali sobie, że Meksyk będzie kupował towary, a Teksas bę-

dzie je sprzedawał, że Meksyk będzie sprzedawał ziemię, a Teksas będzie je kupował, Jennings i Blocker ponad milion akrów w Coahuila, Texas Company prawie pięć milionów akrów w Tamaulipas, William Randolph Hearst prawie osiem milionów akrów w Chihuahua,

oni nie widzieli Meksykanów, którzy chcieliby widzieć Meksyk całym

zraniony, ciemny, splamiony srebrem i przyozdobiony błotem, o brzuchu z kamienia niby brzuch prehistorycznego zwierzęcia; jego dzwony pękające łatwo jak szklane kieliszki, jego góry połączone ze sobą łańcuchem jak w jakimś orograficznym więzieniu,

jego pamięć roztrzęsiona - Meksyk, jego uśmiech jak przed plutonem egzekucyjnym - Meksyk, jego zadymiona genealogia - Meksyk, jego korzenie tak stare, że zdecydowały się wyłonić bez wstydu,

jego owoce wybuchające jak gwiazdy, jego śpiewy pękające jak gliniane garnki z prezentami; aż tutaj przybyli mężczyźni i kobiety rewolucji, stąd wyszli, na brzegu wielkiej rzeki, dzikiej rzeki zatrzymali się, pokazując jankesom rany, które chcieliśmy zamknąć, sny, które pragnęliśmy śnić, kłamstwa, które powinniśmy przepędzić, koszmary senne, które powinniśmy zaakceptować- pokazaliśmy się i zobaczyli nas,

byliśmy jeszcze jeden raz dziwakami, gorszymi, niepojętymi, zakochanymi w śmierci, w sjeście i lachmanach, zaczęli nam grozić, pogardzać, nie zrozumieli, że na południe od wielkiej rzeki, dzikiej rzeki, przez chwilę, w czasie rewolucji, rozbłysła prawda, że chcieliśmy być i dzielić się wszystkim z nimi, choć tak różni od nich, dopóki nie powróciły do Meksyku plagi korupcji i nadużyć, biedy dla większości, zbytku dla nielicznych, pogardy jako reguły, współczucia jako wyjątku, być tacy sami jak oni -

czy będzie czas, czy będzie czas, czy będzie czas? czy będzie czas na to, żebyśmy się zobaczyli i zaakceptowali takimi, jakimi rzeczywiście jesteśmy, jankesi i Meksykanie, których przeznaczeniem jest żyć razem po obu stronach granicznej rzeki aż do chwili, kiedy świat się zmęczy, zamknie oczy, strzeli sobie w łeb, mieszając śmierć ze snem?

Leonardo Barroso

O czym mówił Leonardo Barroso minutę wcześniej?

Prawie że pluł do telefonu komórkowego, wyliczając wydatki, jakie przynoszą mu szkody wyrządzane przez bandy napadające na pociągi - tych uczniów Pancho Vil- li - i to pod koniec drugiego tysiąclecia, wznoszących debryse na torach kolejowych, przechwytyjących przesyłki wysyłane z montażowni na północ, przemycający pracowników - czy Murchinson wie, ile kosztuje zatrzymanie jednego pociągu, sprawdzenie, czy nie ma nielegalnych imigrantów w środku, posłanie w cholerę całego rozkładu jazdy, zastąpienie skradzionych towarów nowymi, sprawienie, żeby zamówienia wyekspediowane przez montażownię dotarły na czas do odbiorców, dotrzymanie podjętych zobowiązań, w ogóle to wszystko?

O czym myślał Leonardo Barroso minutę wcześniej? Pogrożki powtórzyły się tego ranka. Przez telefon komórkowy. Strefy wpływów trzeba uszanować. Obowiązki także. W sprawie przemytu narkotyków tylko Latynosi mogą być winni, señor Barroso, Meksykanie, Kolumbijczycy, nigdy Amerykanie ze Stanów; to oś systemu, w Stanach nie może istnieć ani jeden baron narkotykowy, taki jak Escobar czy Caro Quintero, winni są ci, co oferują, a nie ci, co zamawiają, w Stanach nie istnieją przekupni sędziowie, wy macie na nich monopol, tu nie ma ukrytych lotnisk, tu się nie pierze brudnych pieniędzy, señor Barroso, jeśli pan sądzi, że można nas szantażować, wyjawiając nasze sekrety po to, żeby uratować własną skórę i przy okazji zostać bohaterem narodowym, będzie to pana bardzo drogo kosztować, bo w grę wchodzi miliony milionów, pan to wie, i cała pana strategia polega na naruszaniu stref, które do pana nie należą, señor Barroso; zamiast zadowolić się okruszynami, pan chce zjeść cały obiad, señor Barroso... a tak nie może być...

Co czuł Leonardo Barroso minutę wcześniej?

Ręka Micheliny w jego ręce, on gorliwie poszukujący dawnego ciepła dziewczyny i nie odnajdujący go, tak jakby przez długi czas pieszczony i pocieszany ptak w końcu zmarł z braku powietrza, od nadmiaru czułości, zbytku troskliwości...

Gdzie był Leonardo Barroso minutę wcześniej?

W swoim cadillacu coupe de ville, prowadzonym przez kierowcę, którego mu załatwił jego wspólnik Murchinson, on i Michelina na tylnym siedzeniu, szofer prowadzi wolno, pomiędzy budkami i zakrętami wymyślonymi przez amerykański Urząd Imigracyjny, żeby imigranci nie mogli przebiegać przez granicę bez ryzyka, że przejedzie ich jakiś samochód, Michelina wypowiadająca

banalne uwagi na temat meksykańskiego kierowcy Leandra Reyesa, który rozbił się w tunelu w Hiszpanii, zderzywszy się z jakimś ogłupiałym dziesiętnastolatkiem jadącym pod prąd...

Gdzie był Leonardo Barroso minutę później?

Podziurawiony jak sito, przeszyty pięcioma strzałami z szybkostrzelnego karabinu, martwy kierowca za kierownicą, Michelina cudem uratowana, krzycząca histerycznie, zaciskająca palce na szyi, jakby chciała zdusić krzyk, przypominająca sobie zaraz o łzach, wycierająca je łokciem i plamiąca przy tym tużem do rzęs rękaw żakietu od Moschina.

Gdzie był Juan Zamora dwie minuty później?

Obok ciała Leonarda Barroso, odpowiadając na przenikliwy krzyk: - Lekarza! Lekarza! - który usłyszał, przechodząc przez międzynarodowy most; doszukiwał się oznak życia w pulsie, sercu, ustach, cóż, nie ma tu już nic do zrobienia. Taki był pierwszy przypadek, którym zajął się Juan Zamora na terytorium Stanów Zjednoczonych. Nie rozpoznał w tym mężczyźnie o roztrzaskanej czaszce dobroczyńcy swojej rodziny, protektora swojego ojca, silnego człowieka, który wysłał go na studia do Cornell... Co robił Rolando Rozas trzy minuty później? Rozmawiał przez swój telefon komórkowy, przekazując skąpą informację: zadanie wykonane bezbłędnie, żadnych komplikacji, zanim przesunął spoconą ręką po marynarce koloru samolotu, jak to określiła Marina, poprawił sobie krawat i zaczął, tak jak każdego wieczoru, wędrówkę po ulubionych restauracjach, barach, ulicach w El Paso, rozglądając się, czy nie trafi mu się jakaś nowa dziewczyna.

teraz przechodzi przez most nad wielką rzeką, dziką rzeką Malintzin z montażowni i troskliwie prowadzi pod rękę maleńką staruszkę, owiniętą meksykańską chustą, staruszkę o twarzy niewidocznej pod palimpsestem zmarszczek, które poorwały jej twarz, czyniąc ją podobną do mapy kraju utraconego na zawsze,

powierzyła ją jej opiece Dinorah, przeprowadź moją babcię na drugą stronę mostu, Marina, oddaj ją po drugiej stronie mojemu wujowi, Ricardowi, on nie chce przyjechać do Meksyku, już nie umie mówić po hiszpańsku i choć czuje ból z tego powodu, boi się, że potem nie pozwoli mu wrócić,

*przeprowadź moją babcię na drugą stronę wielkiej rzeki, dzikiej rzeki, żeby
mój wuj mógł zawieźć ją z powrotem do Chicago,*

ona przyjechała tylko, żeby pocieszyć mnie po śmierci dziecka

sama nie umie nic zrobić, i to nie tylko dlatego, że ma prawie sto lat,

*ale także dlatego, że tak długo już mieszka jako Meksykanka w Chicago, że
dawno przestała pamiętać, jak się mówi po hiszpańsku, ale jeszcze nie nauczyła
się mówić po angielsku,*

a zatem nie może porozumieć się z nikim

*(oprócz czasu, oprócz nocy, oprócz niepamięci, oprócz meksykańskich
psów ixcuitles i papug, oprócz papai wybieranych na targu i kojotów odwie-
dzających ją każdego ranka, oprócz snów, których nie może opowiedzieć niko-
mu, oprócz ogromnej rezerwy tego, czego nie można ogłosić dzisiaj, żeby można
było ogłosić to jutro)*

*ale z przeciwnej strony, próbując przejść przez most wśród panującego tu
zamętu, dwaj mężczyźni zbliżają się do budek Urzędu Imigracyjnego, to pięć-
dziesięcioletni mężczyzna o posrebrzonych skroniach, ciągnący za rękę cherla-
wego chudzińca, sama skóra i kości, ciemna karnacja, obaj tłumaczą się, niczym
pomyleni, że nie pozwolono im wyjechać przez San Diego i wjechać przez Tiju-
anę, ani wyjechać przez Calexico i wjechać przez Mexicali, ani wyjechać przez
Noga- les Arizona i wjechać przez Nogales Sonora, dokąd wy nas odeślecie? do
morza?*

*więc mamy wpłynąć do Meksyku? dlaczego nie rozumiecie, że chcemy wró-
cić do Meksyku bez niczego, ograbieni ze wszystkiego, czyści? przyjmijcie nas, w
imię boże!*

*nie zauważyliście jeszcze, że prześladują nas uzbrojone śmieci, śmierć z
dezodorantu, że zbliża się ku nam prawo strzelania do uciekających, martwa
ziemia, niesprawiedliwa ziemia?*

*chcemy wjechać, żeby opowiedzieć historię kryształowej granicy, nim bę-
dzie za późno, mówcie wszyscy,*

*mów, Juanie Zamoro, pochylony nad martwym ciałem, mów, Margarito
Barroso, okazując swoją niepewną tożsamość, by przekroczyć granicę,*

mów, Michelino Laborde, przestań krzyczeć, pomyśl o swoim mężu, porzuconym chłopcu, spadkobiercy Leonarda Barroso,

wyobraź sobie, Gonzalo Romero, że nie zabiły cię wygolone głowy, tylko kojoty, które teraz otaczają twojego trupa

i dwudziestu trzech pracowników kręgiem nierozłącznego głodu i zdziwienia,

wkurz się, Serafinie Romero, i powiedz sobie, że napadniesz na każdy pociąg, który pojawi się na twojej drodze, że by na granicę powróciła odwieczna wojna, żeby nie mogli na nas napadać tylko oni,

nastaw swoje noktowizory, Danie Polonsky, czekając, aż strajkujący odważą się wreszcie zrobić krok naprzód,

stchórz, Mario Islasie, żeby twój chrześniak Eloino mógł pobiec w głąb amerykańskiej ziemi, młody, mokry, bez tchu, zdecydowany już nigdy nie wrócić,

unieś ramiona, Benito Ayalo, ofiaruj je rzece, ziemi, wszystkiemu, co potrzebuje twojej siły, żeby żyć, przeżyć,

rzucaj na wiatr papiery, Jose Francisco, wiersze, notatki, dzienniki, powieści, ciekawe, gdzie zanieś te kartki wiatr, ciekawe gdzie upadną, z której strony, tu czy tam, na północ od Rio Grandę, na południe od Rio Brawo,

rozzucaj papiery, jakby to były pióra, ozdoby, tatuaże, chroniące przed nieubłagany czasem totemy, naszyjniki z kamienia, kości i muszelek, diademy rasy, ozdoby talii i nóg, takie pióra, które mówią, Jose Francisco, na północ od Rio Grandę, na południe od Rio Bravo,

pióra-symbole każdego czynu, każdej bitwy, każdego imienia, każdej pamięci, każdej porażki, każdego triumfu, każdego koloru,

na północ od Rio Grandę, na południe od Rio Bravo, niech lecą słowa biedny Meksyk biedne Stany Zjednoczone tak daleko do Boga tak blisko siebie.

Spis treści

Meksykanka	5
Ból	28
Grabież.....	51
Linia niepamięci	82
Malintzin z montażowni.....	105
Przyjaciółki.....	132
Kryształowa granica.....	151
Zakład	173
Wielka rzeka, dzika rzeka	195

Carlos Fuentes (ur. 1928), prozaik i eseista meksykański, jeden z najwybitniejszych — przedstawicieli literatury iberoamerykańskiej. Do jego najśłynniejszych utworów należą: *Śmierć Artemid Cruz* i trylogia powieściowa *Terra nostra*. W 1987 roku pisarz został laureatem Nagrody Cervantesa.

Tę książkę, wydaną w 1995 roku, autor określił

jako powieść w dziewięciu opowiadaniach. Centralną postacią utworu jest wszechwładny meksykański oligarcha, Leonardo Barroso, człowiek o silnych i nie do końca jasnych powiązaniach ze Stanami Zjednoczonymi, a bohaterami poszczególnych historii - osoby, które z rozmaitych względów pozostają w zasięgu jego wpływów. Kolejne epizody,

uzupełniając o nowe elementy portret głównego bohatera, opowiadają zarazem o splataniu się, niejednokrotnie burzliwym, losów ludzi mieszkających po obu stronach północnej granicy Meksyku oraz ukazują kulturowe, społeczne i ekonomiczne kontrasty między sąsiadującymi krajami. *Kryształowa granica* to również książka o wymiarze uniwersalnym: zbiór groteskowych opowieści o ludzkich dramatach i błazeństwach.

Informacje o naszych książkach można znaleźć na stronie www.proszynski.com.pl

Cena 26 zł